

A dark, textured handprint is visible on a blue background. The handprint is rendered in shades of brown and black, with a rough, almost charcoal-like texture. It is positioned in the upper half of the frame, with the fingers pointing towards the right. The blue background has a vertical, wood-grain-like texture.

Wiesław Szymbański

MAM DO POWIEDZENIA



Wiesław Szymański,

rocznik 1957.

Mieszka w Białymstoku.

Od 1980 roku pracuje w Radiu Białystok.

Debiutował jako poeta w 1975 roku. Jest autorem kilku tomików poetyckich oraz zbioru słuchowisk "I po balu".

W 2003 roku wydał tom wierszy zebranych pt. "Wiersze".

"Mam do powiedzenia" to wybór felietonów radiowych pisanych przez Autora w latach 1980 -2005 i emitowanych na antenie Radia Białystok.

WIESŁAW SZYMAŃSKI

MAM DO POWIEDZENIA ...

Felietony radiowe z lat 1980 - 2005

(wybór)

© Copyright by Wiesław Szymański 2005

ISBN 978-83-7507-64-4

Wydawnictwo PRYMAT, Marcin Siewowski
12-000 Białystok, ul. Zwycięstwa 20C lok. 7
tel. (85) 740 14 27, 0202 706 304
www.prymat.stoc.pl, e-mail: prymat@stoc.pl

Od Autora

WIESŁAW SZYMAŃSKI

MAM DO POWIEDZENIA ...

Felietony radiowe z lat 1980 - 2005

(wybór)

*Wysłuchano
Krzysztofowi Poduchowej
na pamięć*

Wiesław Szymański

POLSKIE RADIO BIAŁYSTOK
2005

19.05.2009

KP Białystok-EO-3001452114



8211621-92

KP Białystok-EO-2005/1544/1

Od Autora

Najbardziej ulotne jest w radiu słowo. Nie muzyka, nie cisza, ale właśnie słowo.

Muzykę można - z tej samej taśmy, płyty, czy srebrnego kążka - zagrać kilkadziesiąt lub kilkaset razy.

Cisza? - nic prostszego - wystarczy wyłączyć odbiornik.

Ze słowem jest inaczej. Rzucone w eter - żyje chwilę. Oczywiście - można je nagrać i przechować. Wówczas może przetrwać dziesiątki i setki lat, czego najlepszym przykładem są choćby zachowane do dziś fragmenty przemówień Marszałka Piłsudskiego.

Nagrywa się i archiwizuje dla potomnych słuchowiska, audycje dokumentalne, reportaże i audycje literackie. Piosenki kabaretowe, skecze, głosy mężów stanu, poetów, pisarzy, artystów.

Kto by tam nagrywał i przechowywał felietony. Pisane z dnia na dzień, niekiedy z godziny na godzinę - często na zasadzie: „A może byś o tym napisał ze dwie minuty?”. No i się pisze.

Te najstarsze pisałem na początku roku 80-tego - jako świeżo upieczony młodszy redaktor Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku - do MMAKS-sa - czyli „Młodzieżowego Magazynu Aktualności Kulturalno - Społecznych”, redagowanego przez Tomasza Piotrowskiego.

Kolejnym etapem wtajemniczenia był „Poranek u dziennikarzy” dosłownie wypieszczany co niedzielę ręką Janusza Weroniczaka.

Kiedy Vero podpisywał do emisji mój pierwszy felieton - serce biło mi bardziej, niż wtedy, gdy 1 lutego 1980 roku przyjmował mnie do pracy.

Nie do wiary, ale to już 25 lat. Ćwierć wieku. A przecież pamiętam jak dziś ten niezwykle dreszcz przebiegający po całym ciele, gdy zapalił się napis „Antena” i powiedziałem do mikrofonu pierwsze słowa.

Minęło tyle czasu, napis „Antena” zapalał się dla mnie już dziesiątki tysięcy razy, a ów niezwykły dreszcz pozostał. I czuję go za każdym razem, gdy mówię do Was – drodzy Słuchacze Radia Białystok.

Książka, którą oddajemy Wam do rąk, to wybór felietonów pisanych przeze mnie przez 25 lat pracy w niewielkim budynku przy Świerkowej 1.

Dłuższych i całkiem krótkich, bardziej i mniej poważnych, bliższych raz felietonowi literackiemu, to znów radiowej publicystyce.

Przez te wszystkie lata odkładałem te moje teksty do zwykłej, szarej teczki. Kiedy zapełniła się ta pierwsza – szara – zacząłem odkładać do drugiej, tym razem zielonej. I tak się uzbierało. Wybrałem do tej książki te – moim zdaniem – najlepsze.

Pisałem je zawsze z przekonaniem, że muszę, że powinienem, coś ważnego komuś powiedzieć.

Dzisiaj, po 25 latach pracy przy mikrofonie Radia Białystok, coraz bardziej nabieram przekonania, że dopiero teraz naprawdę mam coś do powiedzenia ...

Miłej lektury. I do usłyszenia.

1 lutego 2005

Wiesław Szymański

O prawie

Szczycimy się wśród narodów europejskich tym, że mamy w Polsce nowoczesne, bardzo tolerancyjne prawo karne. I jesteśmy z tego dumni. Ale niekiedy zdarzają się wypadki, że owa nowoczesność zakrawa na pobłażliwość, a tolerancyjność graniczy z brakiem zdrowego rozsądku. Dołożmy do tego wielość interpretacji, jaką polskie prawo karne dopuszcza, a obraz będzie pełny. Skąd takie wynurzenia?

W „Gazecie Współczesnej” z 9 grudnia ukazały się dwie informacje o wyrokach wymierzonych chuliganom w Szczecinie i Białymstoku. Informację ze Szczecina gazeta wydrukowała na stronie drugiej, informację z Białegostoku na czwartej – czyli ostatniej. Ale nie to jest najważniejsze. Dowcip polega na tym, że obie traktują o takim samym przestępstwie.

29 listopada ubiegłego roku dwaj mieszkańcy Szczecina, będąc w stanie nietrzeźwym, pobili do nieprzytomności 60 –letniego emeryta, który wskutek odniesionych ran zmarł. 11 lipca roku bieżącego dwaj białostoczanie napadli na wracające do domu małżeństwo – Halinę i Stanisława M. Szczególnie dotkliwie pobity został Stanisław M., który wskutek silnego wykrwawienia wewnętrznego, spowodowanego kopaniem - także zmarł. Bandyci ze Szczecina otrzymali wyroki: jeden – kara śmierci, drugi – 25 lat pozbawienia wolności.

Bandytów z Białegostoku sąd potraktował łagodniej – jeden z nich został skazany na 6, drugi na 7 lat pozbawienia wolności. W porównaniu z wyrokami ze Szczecina - brzmi to jak skierowanie na wczasy. Dlaczego? Skąd tak olbrzymia dysproporcja? Okoliczności obu przestępstw są takie same. Więcej, bandyci szczecińscy działali pod wpływem alkoholu - mieli więc ograniczoną samokontrolę, natomiast białostoccy zrobili to z zimną krwią. Dlaczego tak

różne wyroki? Przecież i jedno i drugie przestępstwo – to morderstwo. Dobrze, że mamy nowoczesne i tolerancyjne prawo – ale chyba obowiązuje ono w całym kraju? A może Sąd Rejonowy ma inny Kodeks Karny? A może sędziowie ze Szczecina są zacofani, konserwatywni i nietolerancyjni? W takim przypadku sędziom białostockim trzeba by pogratulować nowoczesności? postępowości.

Chodzi mi tutaj nie tylko o prawny, ile o społeczny aspekt sprawy. Chuligaństwo i bandytyzm stały się w ciągu kilku ostatnich miesięcy zjawiskiem powszechnym. Wypadki pobicia zdarzają się w biały dzień, w ruchliwych punktach miasta, nie mówiąc już o tym, co dzieje się wieczorem i w nocy. Rabunki, pobicia, rozboje stały się prawdziwą plagą – a co najgorsze, ich autorami są coraz częściej ludzie młodzi, nieraz są to uczniowie szkół średnich czy nawet podstawowych. A tutaj zamiast surowej kary dwaj mordercy otrzymują – mówiąc ogólnie – łagodny wymiar kary. Chyba każdy z nas potrafi sobie wyobrazić, co pomyśli młodociany przestępca po przeczytaniu tej informacji w Gazecie. Jedno jest pewne – na pewno się nie przestraszy. Bo skoro mamy takie tolerancyjne prawo, to cóż mu grozi za pobicie, czy napad rabunkowy, prawda?

Cieszymy się więc, proszę państwa, że mamy w Polsce nowoczesne i tolerancyjne prawo karne. I bądźmy z tego dumni. Ale wychodząc rano lub wieczorem do pracy, po zakupy czy do znajomych – pamiętajmy o jednym – że już za najbliższym rogiem może na nas czekać ktoś, kogo nasze polskie prawo karne obroni lepiej, niż nas.

O siedmiu mitach polskiej gospodarki

Historia rozwoju cywilizacji związana jest nierozłącznie z liczbą 7. Zaczęło się wszystko od siedmiu pracowitych dni Stwórcy, potem było siedem cudów świata, siedem grzechów głównych, siedem sakramentów świętych, było najważniejsze – siódme – przykazanie, ludzkich cnót – też było siedem, później zjawiało się siedmiu Samurajów, a po nich siedmiu wspaniałych.

Siódemkę powszechnie uznaje się za liczbę szczęśliwą, siódemką zaklinano choroby i boleści, a Hindusi uważali siódemkę za cyfrę prawie boską.

Sprzyjała więc siódemka szczęściu ludzi – i chyba dlatego ktoś mądry wymyślił, aby kupon totolotka składał się z okienek o wymiarach siedem na siedem. Dziwne jest tylko – dlaczego losuje się sześć, a nie siedem liczb.

I tak to już było, że czego by ludzie nie wymyślili – zawsze gdzieś była siódemka. Cieszyć się wypada z tego, że wśród owych pomysłodawców byli także Polacy. Ostatnio wymyślili oni siedem mitów gospodarczych Polski. Wprawdzie mitologii tej – nie ludowej – ale raczej biurkowej, opowiadanej nie przez Homerów, ale ustami prominentów życia politycznego, daleko do wierzeń Greków czy Rzymian – ale skutek jest jeden: i jedni i drudzy – czy to kilka tysięcy lat temu czy kilka lat – jednakowo w nią wierzą.

Pierwszy i najważniejszy mit naszej gospodarki – to mit bogactwa surowcowego. Mamy wszystkiego w bród – ale tylko na papierze. Mamy więc ogromne złoża rudy żelaza – ale nie stać nas na jej wydobycie, mamy miliardy ton zapasów węgla – ale nie możemy się do nich dokopać. I tak to jakoś jest.

Mit drugi – to mit kraju żyznego, mlekiem i miodem płynącego. Tymczasem ziemia nam się wyjaławia, nawozów nie ma, a jeszcze na dodatek od czasu do czasu ktoś miewa zachcianki i buduje

wielkie fabryki na glebach I i II klasy zamiast na nieużytkach.

Mit trzeci – to mit zachodnich kredytodawców, którzy niczym dobrzy wujaszkwowie będą nam ciągle dawać i dawać i patrzeć, jak ich z dobrego serca płynące datki marnujemy na budowę urzędowych gmachów w nowopowstałych województwach. Aż się kiedyś dobrzy wujaszkwowie w końcu zdenerwują, pożyczkodajne kurki zakręcą, a my – w poszukiwaniu nowych źródełek wyślemy gdzieś na Saharę specjalną ekspedycję z którymś z eks-prezesów na czele.

Czwarty mit – to mit możliwości natychmiastowego wzrostu eksportu. Takich możliwości nie ma, a to dlatego, że: po pierwsze – nikt na świecie nie chce handlować z krajem stojącym na krańcu katastrofy gospodarczej, po drugie – ceny na światowym rynku znacznie poszły w górę, po trzecie – w międzynarodowym handlu pojawił się nowy partner – kraje rozwijające się, które swoje towary oferują po cenach niższych i po czwarte – nasz przemysł nie produkuje aż tak dużo, aby zawierać długoterminowe umowy. Także i ten mit pryska jak bańka mydlana.

Mit piąty – to mit szybkich efektów reformy gospodarczej. Więcej się o reformie mówi, niż się robi. A wiadomo przecież, że opóźnienie wprowadzenia w życie reformy – zmniejsza znacznie jej skuteczność. A oprócz tego projekt reformy pomija całkowicie aspekt społeczny – koncentrując się na sprawach gospodarki.

Przedostatni szósty mit – mit możliwości szybkiego zlikwidowania luki inflacyjnej w naszym kraju. Po to, aby inflację zlikwidować – trzeba trzykrotnie podnieść ceny wszystkich towarów i czterokrotnie zwiększyć produkcję naszego przemysłu. A to ostatnie długo jeszcze pozostawać będzie w sferze cichych marzeń.

I ostatni siódmy mit – to mit wzrostu konsumpcji przez ograniczenie inwestycji. I tylko on – jak mówią ekonomiści – stwarza pewne szanse.

Tak więc mitów jest siedem, Polaków 35 milionów, a rząd ma program 10 – punktowy. Jak by nie liczyć, jak by nie rządzić i tak wiadomo, że czeka nas kilka chudych lat. Może siedem. Chyba, że ktoś wymyśli siedem polskich cudów gospodarczych, a wtedy wszystko zacznie się od nowa...

O wystawach

Reklama jest dźwignią handlu – to fakt niezaprzeczalny. Ale co reklamować – kiedy na półkach brakuje towaru. Okno wystawowe każdego sklepu może swoim wyglądem albo odstraszyć albo przyciągnąć klienta. W czasach, gdy nie mieliśmy kłopotów z wypełnieniem półek – wystawy były na jako takim poziomie, choć wygląd niektórych pozostawiał wiele do życzenia. Dzisiaj – w dobie wychodzenia z kryzysu – o ładną, ciekawą i estetyczną ekspozycję prezentującą w atrakcyjny sposób posiadane w sprzedaży towary – znacznie trudniej.

Nie ma się zatem co dziwić, że handlowcy próbują wszelkich możliwych sposobów, by pustkę za szyba zapełnić.

Ostatnio przykładem takich właśnie prób jest wystawa w białostockim „Centralu”. Jeśli ktoś z państwa nie widział – opisze ją krótko. Są to dwie scenki. Pierwsza w plastyczny sposób okazuje skutki picia alkoholu w pracy, przy warsztacie / manekin z obciętą dłonią przy maszynie, a wszystko bogato skropione czerwoną farbą/. Drugie – skutki alkoholizmu w rodzinie / pijany manekin – ojciec przy opróżnionych butelkach, a obok rodzina i zapłakana matka na czele/. Całość utrzymana w konwencji najtańszego realizmu, a do tego olbrzymie plansze z odpowiednimi napisami.

Nie wiem doprawdy, czy był to pomysł etatowych dekoratorów „Centralu”, czy też dyrekcja sklepu popadła w konflikt z ustawą antyalkoholową – i ekspozycję tę urządzić musiała za karę.

Nie to jest najważniejsze. Ważne jest, co mówią o tym ludzie – mieszkańcy miasta, a także przyjezdni. Jak zwykle zdania są podzielone. Dominuje jednak opinia, że jest to tania propaganda, nie najwyższego lotu – i że widocznie kryzys jest bardzo głęboki, skoro nic innego na wystawie umieścić nie można.

Moje zdanie jest nieco odmienne – owszem, jestem za tym aby

ustawę antyalkoholową propagować w każdy sposób, aby zapoznać z nią społeczeństwo wszelkimi metodami.

Ale na litość boską, nie posuwajmy się do takich sposobów. Przecież pijanych facetów mamy na co dzień - na ulicy, w pracy, w domu, niezależnie od pory dnia i nocy. Po co nam jeszcze zmory w wystawowych oknach.?

Wydaje mi się, że społeczeństwo polskie dawno wyszło z epoki, w której przemawiały doń gigantyczne manekiny i jeszcze większe transparenty. Dzisiaj trzeba inaczej.

I dlatego właśnie jestem za tym, aby ekspozycje w oknach wystawowych „Centralu” zmienić czy prędeż. Nie tędy droga. A kórędy? – proszę bardzo – zamiast owych niezbyt szczęśliwych manekinów proponuje wywiesić w oknach „Centralu” pełny tekst ustawy antyalkoholowej. Każdy chętny będzie mógł się z nią zapoznać dokładnie a przeciętnemu przechodniowi zawsze jakiś fragment w oczy się rzuci.

O taksówkarzach

Białostoccy taksówkarze mają w kraju opinię całkiem dobrą – uważani są za ludzi kulturalnych, jeżdżących rozważnie - słowem prawie ideał. I chociaż nam - mieszkańcom Białegostoku – wydaje się czasem zupełnie co innego - fama o porządnym taksówkarzach z Białegostoku chodzi po kraju. Być może podobną, generalnie dobrą opinią cieszyliby się właściciele taksówek wśród białostoczan, gdyby nie przypadki dobrą markę psujące.

Już kilkakrotnie miałem z tego miejsca okazję mówić o braku kultury, wychowania a nawet chamstwie niektórych białostockich taksówkarzy. O kolejnym przypadku takiego właśnie zachowania poinformowała nas wczoraj telefonicznie jedna z naszych słuchaczek. Przedwczoraj około godziny 16:30 razem ze swoim narzeczonym wsiadła do białego poloneza numer boczny 415 – z zamiarem udania się na Osiedle Słoneczny Stok. Na pierwszy rzut oka kierowca sprawiał wrażenie kulturalnego, a samochód był starannie utrzymany, czysty, schludny – na tylnym siedzeniu - pod szybą – leżał nawet koc. I właśnie o ten koc poszło. Jako, że pasażerowie byli ludźmi młodymi, a w dodatku narzeczeństwem – chłopak w pewnej chwili otoczył dziewczynę ramieniem.

Kątem oka ruch ten zauważył we wstecznym lusterku taksówkarz – i warknął: - koc mi pan zabrudzisz. Młody człowiek – jako że ręce i kożuch miał czyste, ramienia nie cofnął, bo i niby dla czego – weź mi pan tę rękę – mówię – bo mi koc zabrudzisz – powtórzył taksówkarz. I w tym momencie rozpoczęła się dyskusja - młody człowiek stwierdził, że nie widzi nic, czym ów drogocenny i nie taki znów czysty koc – mógłby zabrudzić. Na to taksówkarz – puszcżając odpowiednią wiązkę – zagroził, że zawiezie młodych ludzi na milicję, że im pokaże, że tacy młodzi a tacy chamscy – i w ogó-

le. – No to wież pan - powiedział młody człowiek. W tym momencie polonez zatrzymał się nagle - a kierowca warknął – wynocha ale już – i dołożył kilka epitetów. Młodzi ludzie wysiedli – bo jak życie uczy – z pijanym i głupim lepiej nie zaczynać. A kierowca białego poloneza numer boczny 415 nie był tego dnia pijany, czy głupi - nie wiem – ale na pewno niezbyt kulturalny. Argumentacja „kocyk mi pan zabrudzisz” jest po prostu śmieszna, a zachowanie właściciela białego poloneza numer boczny 415 – co najmniej nietaktowne.

Takich przypadków jak ten - zdarza się codziennie wiele. Porządny, uczciwy i kulturalny kierowcom białostockich taksówek psują one opinię, nam - użytkownikom – psują nerwy. Dlatego wszelkie przejawy chamstwa muszą być ukarane. Liczę, że tak będzie w przypadku kierowcy białego poloneza numer rejestracyjny BKV 8799, numer boczny 415.

Czekamy na wyjaśnienie tej sprawy przez władze Zrzeszenia - liczymy na szybką odpowiedź.

Czy jesteśmy pokoleniem straconym?

91 tysięcy Polaków przebywa aktualnie za granicą. Większość z nich nie przekroczyła 35 roku życia, znaczna część wyjechała za granicę z rodzinami. Czy wróca? – po 13 grudnia wróciło do Polski ponad 40 tysięcy osób – w tym sporo młodych. Wrócili, bo tu jest ich miejsce. Tak przynajmniej twierdzą. Ale są też tacy, którzy - gdyby to było możliwe – wyjechaliby choćby jutro – bo jak mówią – nie widzą dla siebie przyszłości. Tych jest bardzo dużo – może nawet kilkaset tysięcy.

Roczniki 50, 52, 55 – młodzi ludzie urodzeni, wychowani, wykształceni w Polsce Ludowej. Czy rzeczywiście bez szans? – wiem, na mieszkanie trzeba czekać nieraź i dwadzieścia lat, ogromne kłopoty z kupieniem czegokolwiek, a jeśli są dzieci – jest jeszcze trudniej. Wiem, opadają ręce, oczy boją od zielonego światła, które dla młodych pali się już ponoć od dłuższego czasu – i to ciągle mówienie o stawianiu na młodych. Wyjechać stąd – do Szwecji, Kanady, Australii... rozpocząć nowe życie. Jakie – nie wiadomo.

Czy jesteśmy pokoleniem straconym?

W „Rzeczpospolitej” przeglądam kronikę zmian kadrowych – ministrowie, dyrektorzy, roczniki 30, 35, z rzadka 40, bardzo rzadko 45. A przecież ktoś, kto urodził się w roku 45, ma dziś 37 lat, jest wykształcony, ma za sobą pewien staż pracy, wiele osób - także kilkuletni staż partyjny. Gdzie są młodzi?

Czy jesteśmy pokoleniem straconym?

Sierpień 80 – narodziny Solidarności. Większość jej członków to ludzie młodzi – inżynierowie, technicy, naukowcy, a przede wszystkim młodzi robotnicy – młode pokolenie, które chce być współgospodarzem w swoim kraju, pokolenie ludzi dorosłych, świadomych, dojrzałych, pokolenie – które chce się liczyć. To nie Związek poszedł inną drogą - to niektórzy jego działacze. Stan wo-

jenny sprawy pokolenie sierpnia nie rozwiązał – zawiesił jedynie - i czas już do problemu wrócić. Związki zawodowe, wokół których trwa powszechna dyskusja muszą być młode... muszą kilkunastu milionom obywateli tego kraju dać szansę, dać wiarę w to, że jest się potrzebnym...

Czy jesteście pokoleniem straconym?

Z kryzysu nie wyjdziemy w rok, dwa czy pięć lat – nie będzie to akt, lecz proces – długotrwały, żmudny, codzienny trud. Nie wyjdziemy z kryzysu bez młodych – na pewno. W kronikach zmian kadrowych muszą pojawić się roczniki 40, 45 – 50.

Nie jesteście pokoleniem straconym. Kto chce – niech wyjeżdża – niech spróbuje... Niech wyjedzie 20 tysięcy, 50 – nawet 100.

Ci – którzy zostaną – to właśnie ci najbardziej potrzebni. Wyprowadzenie Polski z kryzysu gospodarczego i świadomościowego – to właśnie zadanie dla nich.

Polsce potrzebna jest zmiana warty – od naczelnika gminy – po ministra, od kierownika wydziału w zakładzie – po dyrektora departamentu.



12 IX 1983

Wołga, Wołga....

Kilka lat temu na ulicach Białegostoku pojawiły się dwie Wołgi z napisem „Nadzór Ruchu MPK”. Uzbrojone w sieć anten, głośniki na dachu, radiotelefony – i Bóg wie co jeszcze, krążyły majestatycznie budząc postrach wśród kierowców autobusów, natomiast nadzieje u mieszkańców miasta skazanych na codzienne obcowanie z komunikacją miejską.

Nadzieje na to, że skończą się gonitwy na trasach, biwaki kierowców na końcowych przystankach, że nie będzie już godzinnych dziur w rozkładach jazdy – czyli, że kursowanie autobusów poprawi się.

Czas płynął. Autobusy jeździły po swojemu, Wołgi z napisem „Nadzór Ruchu MPK” również – a pasażerowie nadal wyczekiwali godzinami na 9 czy 12. Ale było to jeszcze przed kryzysem – benzyny mieliśmy wtedy w bród – i Wołgi mogły jeździć jak i gdzie chciały a to na plaże w Jurowcach, a to na lotnisko – czasem również na końcowy przystanek którejś z linii. Kto wtedy myślał o oszczędzaniu – kogo kłuły w oczy puste przebiegi, liczone w setki kilometrów.

Znów minął rok, czy dwa, Nadszedł czas reform. W Białymstoku wprowadzono w życie nowy układ tras komunikacyjnych autobusów. Zamęt powstał niesamowity. Pasażerowie nie wiedzieli jaki autobus w którą stronę jedzie, kierowcom płały się linie, przystanki, numery. Na ulicach znów pojawiły się Wołgi – „Nadzór Ruchu MPK”. Panowie kontrolerzy udzielali informacji pasażerom, pilnowali kierowców, sprawdzali funkcjonalność wozu, układu. Ale po kilku tygodniach dwie Wołgi z ulic zniknęły. Może ktoś w końcu zrozumiał, że są zbyt ciężkie – pomyślałem sobie wówczas. I o owej roztropności władz MPK myślałbym do dziś dnia, gdyby nie

zdarzenie sprzed kilku dni.

Stałem sobie na przystanku „ósemki”, nawiasem mówiąc dobre pół godziny, wściekły – bo w tamtą stronę, na końcowy przystanek, pojechały już trzy „ósemki” – a z powrotem żadna ani ruszać nie chciała. I nagle zobaczyłem sunącą majestatycznie Wołgę „Nadzór Ruchu MPK” – No, myślę sobie – zaraz będzie autobus. Stała się rzecz inna – z Wołgi, która zatrzymała się vis a vis przystanku wysiadł pan w czapce, podszedł do przystankowej wiaty, wyjął z kieszeni... szpachelkę i zaczął zdzierać naklejone na ścianach wiaty ogłoszenia. Robił to z namaszczeniem, bez słowa. Gdy skończył – wsiadł do Wołgi i pojechał – ale nie na końcowy przystanek, gdzie trzy „ósemki” od pół godziny odprawiały sabat, lecz z powrotem do miasta.

Zdaję sobie sprawę, że utrzymanie Wołgi w obecnej sytuacji kosztuje, wiem też, że zgodnie z wytycznymi reformy gospodarczej – Wołga ta musi na siebie zarobić. Ale żeby w ten sposób. A swoją drogą – jak ów pan jest rozliczany – czy od oczyszczonego przystanku, czy od każdego zerwanego ogłoszenia.

Ale dość żartów. Teraz poważnie – kochani decydenci z MPK – znajdźcie dla panów z „Nadzoru Ruchu MPK” lepsze zajęcie niż zrywanie szpachlą ogłoszeń, bo z takiej roboty trudno raczej żyć. A poza tym nikt nie ręczy za pasażerów, czekających na przystanku na autobus 45 minut, którzy widzą jak facet gania po mieście ze szpachlą w kieszeni, zamiast robić co do niego należy.

O papierze toaletowym

Zamknąłem drzwi od mojej domowej toalety. Wrzuciłem do kosza pozostałość po ostatniej rolce papierowego szaleństwa – czyli tekturową rurkę, na która nawija się najbardziej poszukiwany papier w Polsce, umyłem ręce i usiadłem w fotelu. Cholera, pomyślałem, zapas się skończył. Co dalej?

Makulatury nie zbieram od czasu, gdy dowiedziałem się, że towar ten kupujemy od Jugosłowian. Znajomka w punkcie surowców wtórnych nie mam – to i o zaświadczenie o zdanej makulaturze trudno. Co robić?

Łyknąłem gorącej herbaty, sięgnąłem po kolorowy tygodnik, nie powiem jaki, żeby nikt się nie obraził, zmiąłem w dłoni... Twardy, choroba, za twardy.

Plachta innego, równie poczytnego tygodnika była zbyt szorstka, a miesięczniki nie nadają się w ogóle – są zbyt śliskie. Już byłem gotów udać się pod sklep, gdzie o każdej porze dnia i nocy od sympatycznego staruszka kupić można rolkę papierowego rarytasu za jedyne 50 złotych, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Cześć – powiedział sąsiad – mam sprawę

W czym ci mogę pomóc – zapytałem jak zwykle kiedy on potrzebował napisać podanie, ja zaś zreperować przepalony korek od światła.

Tym razem, kochany, ja ci pomogę. Proszę – i położył na stół papierową torebkę z rączkami, wypełnioną... no właśnie, papierem – najbardziej dziś w Polsce poszukiwanym. Oczom nie wierzyłem. Torba była reklamowa. Na górze ładny napis – Śląskie Zakłady Papiernicze w Tychach, Zakład Papieru w Mikołowie. Niżej – śliczne, jak z bajki wyrysowane były trzy rolki, o nie, przepraszam napis głosił, że zwoiki papieru toaletowego.

Na samym dole umieścił artysta – projektant napis: cena jedne-

Z cyklu „Pod semaforem”

Ewa i Agnieszka

Ewa T. i Agnieszka A. nie przepadały za uczciwym życiem. Praca nie kleiła im się do rąk, w przeciwieństwie do walut wymiernalnych czy wyrobów jubilerskich. Znane były nie tylko na własnym podwórku, ale i na podwórku kilkunastu białostockich melin. Miały po 18 lat, niebrzydkie buźki, no ale przede wszystkim głowę na karku. Żyły z dnia na dzień, z drobnych skoków na kioski i z całkiem poważnych, jak na przykład włamania do mieszkań. Miały kolegów, przyjaciół, no i oczywiście adoratorów. Jednym z najczulszym i najwierniejszym był pan Janek, białostocki paser. On to obie panny utrzymywał przy życiu i przy nadziei, że po to aby nieźle żyć, nie trzeba wcale pracować. I żyło się owej trójce (nie mylić z trójkątem) całkiem, całkiem. Ale życie jest brutalne i nie zawsze pozwala wykorzystywać się do maksimum.

Pewnego dnia obie panny wybrały się do koleżanki, żyjącej wygodnie w cieniu mebli ze Swarzędza, w blasku kryształów i złota, wraz z mamusią i tatuńciem. Traf chciał, że koleżanki nie było akurat w domu. Do mieszkania państwa B. obie panny weszły bez kłopotów, drzwi bowiem - dzięki umiejętności psa państwa B. - stały otworem. Nie wierzycie państwo - owszem, z zewnętrznej strony drzwi mieszkania państwa B. opatrzone były przezornie mosiężną, rzeźbiona gałka, ale od wewnątrz znajdowała się zwykła klamka. Usłyszawszy pukanie pies najpierw szczechnął złowrogo, opierając się o klamkę. I w ten właśnie sposób mieszkanie stało otworem, a pies - znający obie panny - wrócił na legowisko i pograżył się w drzemce.

Ewa i Agnieszka okazji - a ta podobno czyni złodziejem nawet najporządniejszego z nas - nie zmarnowały. Wyniosły trochę złota,

go zwoika - z tym że ceny oczywiście nie było, bo ta zmienia się co kilka dni i nikt nie wie, czy jest umowna, regulowana, czy toaletowa. A jeszcze obok inny nadruk - 6 zwoików a 200 gram, dalej cena detaliczna kompletu - naturalnie tej też nie było.

Rzuciłbym się mojemu sąsiadowi na szyję, wyciskał za dar tak cenny w tak trudnych czasach, ale jakoś nie wypadało. Podziękowałem więc przy pomocy dużej kawy, która wypił gawędząc o tym i owym. Po kwadransie wyszedł.

Siedziałem nie wierząc w swoje szczęście. Ale z drugiej strony poza wdzięcznością dla sąsiada rodził się we mnie bunt. Papieru toaletowego nie ma, ustawiają się po niego społeczne kolejki, a tu fabryka funduje sobie gustowne torebki, z kolorowymi napisami i szpanem nie z tej ziemi. Pomijam już - ile rolek najbardziej poszukiwanego w Polsce papieru można wyprodukować zamiast tych torebek, ale chodzi mi o co innego, nie drażnijcie nas, kochani producenci. Nie te czasy. Gdyby ów nieszczęsny papier można było kupić w każdym sklepie w trzech gatunkach proszę bardzo - róbcie sobie torebki, choćby foliowe z rozebranymi panienkami. Ale nie teraz. Są momenty i sytuacje, kiedy szpan graniczy z paranoją. A tak swoją drogą - sąsiedzi są czasami niezastąpieni.

Z cyklu „Pod Semaforem”

Marian i Larysa

Marian i Larysa P. należeli do małżeństw szczęśliwych. Byli młodzi, mieli dzieci, kochali się, ba – mieli nawet własny kąpiel i to nie gdzieś na górce u teściowej, ale pełnometrażowe, samodzielne zakładowe M-4. Ona była skromnym referentem w przytulnym, acz skromniutkim biurze, on monterem w nieco większym państwowym interesie. Ona przynosiła co miesiąc 10 tysięcy, on 18 tysięcy. Niestety – jej marzył się kolorowy telewizor, jemu zaś nowa wersalka, fotele i coś tam jeszcze. Marzyć – ludzka rzecz.

A że ani pan Marian, ani pani Larysa widoków na podwyżkę nie mieli, mimo że starali się pracować zgodnie z sumieniem i oczekiwaniami zwierzchników, postanowili co nieco do małżeńskiej gotówki dorobić. Nie, żadne tam chałupnictwo czy nadgodziny. Po prostu brał pan Marian trochę gotówki do kieszeni, w rękę siatkę bądź torbę, szedł na róg, wracał po kilkunastu minutach, siadał wygodnie w fotelu i oglądał telewizję.

Pierwsze pukanie rozlegało się zwykle gdzieś o wpół do jedenastej. Skrzypnięcie drzwi, krótkie ni to hasło, ni to dobry wieczór, dwie butelki do torby i po wszystkim. Jedni brali po dwie, inni więcej. Kiedy się tatusiowi nie chciało wychodzić w środku przyjęcia na dwór – wysyłał dzieci. Wystarczyło dać bez reszty.

Skromna pani referent w mig połapała się, że można na tym niezłe zarobić, a pan monter zmontował nawet specjalną skrzynkę wewnątrz wersalki, w której mieściło się z powodzeniem 15 flaszek.

W dni świąteczne i w popularne imieniny, skrzynka wskazywała się być za ciasna i z wersalki trzeba było usuwać pościel. Perspektywa kolorowego telewizora stawała się coraz bliższa i wszyst-

jakieś sztuczce i coś tam jeszcze. Zaniósł to panu Jankowi, który w przypiływie uczuć zapłacił za towar 70 tysięcy. Jak się później okazało – skradzione przedmioty warte były znacznie więcej.

Nie długo jednak obie panny cieszyły się łatwym zarobkiem. Urządzona z tej okazji prywatka u pana Janka nie zdążyła się rozkręcić na dobre, gdy do drzwi (bez gałki) zapukała milicja. Jakież było zdziwienie obu pańienek, gdy po otwarciu drzwi rzucił się na nie merdając wesoło ogonem pies państwa B. Najmniej powodów do radości miał jednak pan Janek, który aresztowany został za paserstwo. Bo i z czego tu się cieszyć, skoro na stole zostało tyle dobra, a pozostałe dobra – ukryte w szafach, wersalce i pod podłogą – powędrowały jako dowód rzeczowy do milicyjnego sejfu.

Cóż – nie od dziś wiadomo, że pies to przyjaciel człowieka. I to w każdej sytuacji.

ko byłoby dobrze gdyby nie... no właśnie, gdyby któregoś wieczoru zza pleców sympatycznego dziesięciolatka, który przyszedł po kolejną butelczynę dla tatusia nie wynurzyła się postać w milicyjnym mundurze.

Małżeństwu – Larysie i Marianowi P. udowodniono handel wódką. Kupowaną po 550 „Vistulę” sprzedawali po złotych 800. Proceder trwał kilka ładnych miesięcy. Jak długo musiałby trwać, żeby skromny monter mógł przytulić się do skromnej referentki na nowej wersalce wpatrzony w kolorowy telewizor – łatwo policzyć. Chałupnictwo czy nawet nadgodziny bardziej się chyba opłacały. Niewykluczone jednak, że państwo P. zdecydują się na jedno i drugie, bowiem wymierzoną grzywnę trudno będzie spłacić z pensji skromnej referentki i równie skromnego montera.

A na osiedlu, po kilku dniach żałoby, życie wróciło do normy. Wychodząc naprzeciw postulatam mieszkańców czas pracy znajdującego się tam sklepu monopolowego wydłużono o dwie godziny czyli do 22.00.

Cóż – vox populi, vox Dei.

Z cyklu „Pod Semaforem”

Gustaw P.

Było wczesne sierpniowe popołudnie. Gustaw P. siedział sobie na balkonie, z nogami w miednicy z zimną wodą, z głową nabitą marzeniami o Krynicy czy Międzyzdrojach, nie mówiąc już o Chałupach, z książką w ręku. Już od tygodnia spędzał w ten sposób czas po pracy, a ponieważ nie stać go było na wczasy nawet w którymś z ośrodków rodzimej, pięknej i gospodarnej ziemi suwalskiej, była to jedyna forma rekreacji, jaką Gustaw P. mógł sobie zafundować. Siedział więc na balkonie ciesząc oko lazurem nieba i widokiem szeregu balkonów naprzeciwko. Spokoju i ciszy balkonowej sjęsty nie mąciło ani szczekanie psa, ani krzyki dzieci, ani nawet żona, którą przezornie wysłał Gustaw P. po zakupy.

I trwałaby ta idylla do zachodu słońca, gdyby Gustaw P. nie zauważył w pewnej chwili, że z dachu sąsiedniego budynku schodzi po linie na balkon jednego z mieszkań niepozorna, skulona postać, a tuż za nią – w tenże sam sposób druga. Co za licho – pomyślał Gustaw P. – gdyby był jeden można by pomyśleć, że to mąż wróciwszy wcześniej z delegacji chce zrobić niespodziankę w stylu Belmonda młodej i pięknej żonie. Ale dwóch? – ciekawe. Jeszcze ciekawsze stało się wszystko w chwili, kiedy linoskoczkowie wyjąwszy szybę z drzwi balkonowych weszli do środka. Hm, pomyślał Gustaw P. – przecież ani zazdrosny mąż, ani nawet kochanek spieszący do ukochanej nie wyjmowałby szyby z drzwi. Miska zimnej wody wylana na głowę wróciła Gustawowi P. jasność myśli. Wbiegł do pokoju, wyjął z szafki aparat fotograficzny i zaczął się z teleobiektywem między skrzynką z kwiatami, a stosem makulatury. Długo nie czekał. Stary, zużyty nieco, ale wciąż jeszcze sprawny Zenith pracował cicho i dyskretnie. O całej tej sprawie Gustaw P.

wkrótce zapomniął. Znowś spędzał kojące popołudnia na balkonie, marząc o Wyspach Kanaryjskich, Hawajach czy Mikołajkach. Ale któregoś dnia wyczytał w gazecie informacje o włamaniu do mieszkania jednego z bloków przy tej samej ulicy przy której mieszkał. Złodzieje wynieśli łup wartości 3,5 miliona złotych, a milicja prosi o pomoc w ich ujęciu. I wtedy Gustaw P. przypomniał sobie balkonowe fotografowanie sprzed kilku dni. Po dwóch godzinach spędzonych w ciemni okazało się, że zdjęcia wyszły znakomicie, znacznie lepiej niż fotografie nago opalających się na balkonach pańienek, które Gustaw P. pstrykał zwykle z nudów. Mając zdjęcia w rękę lokalne służby milicji nie miały kłopotów z zatrzymaniem złodziei, odzyskano też w całości skradzione przedmioty.

Cóż, pstrykanie zdjęć gołym pannom na balkonie może - poza doskonaleniem techniki fotografowania - przynieść czasem zupełnie nieoczekiwane korzyści. Niestety - żona Gustawa P. - w przypływie zazdrości zrzuciła stary, aczkolwiek sprawny aparat z wysokości czwartego piętra na betonowy chodnik.

Polskie sierpień

W dziejach każdego narodu, każdego państwa, są daty jak kamienie milowe, jak słupy graniczne, jak gwoździe pamięci. Czym dla Francuzów i dla Francji dzień zburzenia Bastylli, tym dla Polaków 11 listopada 1918 roku. Czym dla Rosjan i Rosji dzień bitwy pod Berezyną, tym dla Polaków data bitwy nad Wisłą. Podobnych analogii w historii narodów Europy odnaleźć można dziesiątki.

Układają się te daty w historię narodów, państw, w historię świata. Umieszczone w podręcznikach historii wyznaczają narodową pamięć, tradycję, umacniają poczucie narodowej wartości Polaków, Francuzów, Rosjan. Daty jak kamienie milowe, jak słupy graniczne, nie do zapomnienia, nie do wymazania - mimo prób i zakusów wynikających z aktualnej koniunktury politycznej, z obowiązujących trendów w nauczaniu historii, czy innych przesłanek, często błahych, byle jakich, śmiesznych.

Ale te właśnie daty - słupy graniczne historii narodu, nie państwa w jego polityczno - administracyjnym kształcie - nie dadzą się z pamięci ludzi wymazać nigdy. Można wymazać je z podręczników historii, można wyrzucić z gazet i książek, archiwów i katedr naukowych, nie dadzą się jednak usunąć z pamięci narodowej. Wręcz przeciwnie - są one ciągle żywe, jak wulkan wrą w narodzie - by przy pierwszej nadarżającej się okazji wybuchnąć grzebiąc okazjonalne doktryny i koniunkturalne racje.

W historii narodu polskiego jest takich dat wiele. Przez całe dziesięciolecia powtarzali nam różni nauczyciele, z mniej lub bardziej wartościowymi tytułami, albo i bez, że 11 listopada 1918 roku to nic wielkiego wobec 22 lipca 1944 roku, że 1 sierpnia 1944 w Warszawie to wybryk nieposłusznych konspiratorów, że nie było żadnego „cudu nad Wisłą”, obrony Lwowa, czy operacji wileńskiej Armii Krajowej.

A my - uczniowie, jak to uczniowie. Jednemu to wystarczało, inny sięgał nie do szkolnych podręczników, lecz do książek z półki ojca, a jeszcze inny szedł do dziadka, siadał na kolana i historii uczył się bez podręczników i stopni.

Zmieniły się czasy, zmieniły się programy nauczania historii, zmienili się nauczyciele – i to częściej niż wykładowcy innych przedmiotów. Daty pozostawały niezmiennie. A że historia jest złośliwa i przewrotna – nadeszły przeto czasy innych podręczników, innych nauczycieli. Trybuna Ludu pisze dziś na pierwszej stronie o polsko – rosyjskiej wojnie 1920 roku. I to nie pisze o „cudzie nad Wisłą”, ale o genialnej wręcz strategii Piłsudskiego. W pierwszym programie Telewizji Polskiej, w audycji poświęconej 50 rocznicy szatańskiego paktu Ribbentrop – Mołotow, słyszę zdanie o czwartym rozbiórce Polski, a w którymś z tygodników czytam wspaniały artykuł o polskich obrońcach Lwowa w 1939 roku.

Jakiego kaca moralnego muszą mieć, ci, którzy jeszcze 10 lat temu wydawali podręczniki historii, w których nie było ani słowa o tych właśnie wydarzeniach. Chociaż, tak naprawdę, wcale nie jestem pewny, czy niektórzy spośród nich nie decydują dziś o emisji takich właśnie audycji, czy drukowaniu takich, a nie innych publikacji. Historia jest historią, a życie życiem. Może to właśnie któryś z owych nauczycieli i profesorów bez dyplomu lecz z legitymacją podszeptną gdzieś na odpowiednim szczeblu, by kwiecień ustanowić Miesiącem Pamięci Narodowej. Przepraszam, mam wątpliwości.

Dlaczego na przykład nie wrzesień? Albo styczeń? Tylko kwiecień. Jak gdyby nie było innych miesięcy, znacznie bardziej tkwiących w pamięci narodu polskiego. Dlaczego nie sierpień? Dlaczego nie ten pachnący dojrzałym zbożem miesiąc naćkany znaczącymi dla Polaków datami jak łan zboża chabrami?

1 sierpnia 1944 rok. Warszawa. Godzina „W”. Ileż już o tych 63 dniach napisano. I każdego roku coraz więcej, o kulisach Powstania Warszawskiego o jego przebiegu, o sytuacji powstałej po jego wybuchu. W publikacjach tego roku wyczytałem o radzieckiej koncepcji wykrwawienia się obu – tzn. polskiej i niemieckiej – stron. Łatwiej było żołnierzom Rokossowskiego wejść do dymiącej, opuszczonej Warszawy, niż ją zdobywać ulica po ulicy, dom

po domu.

Po raz pierwszy także w tym roku przeczytać mogliśmy fragment wspomnień jednego z dowódców oddziałów Armii Krajowej spieszących na odsiecz stolicy – Tomasza Zana – fragment opowiadający o tym, co Rosjanie zrobili z jego i innymi oddziałami maszerującymi na pomoc powstańcom.

1 sierpnia. Data, której z pamięci narodu nie wydrze nic i nikt, nie wymaże nigdy. Data sierpniowa.

Wędrujemy dalej przez polskie sierpnie. 15-tego. Rok 1920. Wielka bitwa warszawska wojsk polskich z armią Tuchaczewskiego. Bitwa obrosła w legendę, wrosła w pamięć narodu jako „cud nad Wisłą”. Historycy dowodzą, że cudu nie było, że był genialny plan strategiczny Piłsudskiego zrealizowany co do joty przez podległych mu dowódców. Angielski dyplomata Edgar Vincent d'Aberon w swoim dzienniku z Warszawy określił tę bitwę jako „osiemnastą decydującą bitwę w dziejach świata”. Taką rangę wyznaczyły jej wojenne cele obu stron. Piłsudski nie tylko pokonał przeważające siły przeciwnika, Piłsudski zatrzymał na ponad 20 lat zbrojna i nie tylko ofensywę rodzącego się komunizmu. Jakże to polska data. Podkreślę data sierpniowa.

Sierpniowa jest także inna data, bolesna dla Polski i Polaków. Żywa do dziś jak rana, która nie chce się zabić. 23 sierpnia 1939 roku, późną nocą, w Moskwie, podpisaną niemiecko – radziecki pakt o nieagresji. Ribbentrop – Mołotow dokonali czwartego rozbiórki Polski. Linia podziału określona w Tajnym Protokole Dodatkowym, biegła wzdłuż Pisy, Narwi, Wisły i Sanu. Adolf Hitler nazwał ten układ „szatańskim paktem”. Najnowsze publikacje jakie ukazały się na ten temat w ZSRR stwierdzają jednoznacznie, że strona inicjująca ów układ była strona radziecka. To właśnie na mocy tego tajnego porozumienia wojska radzieckie wkroczyły 17 września na terytoria polskie. To nasz, polski aspekt tej sierpniowej daty. Nie mniejsze znaczenie ma ona dla Litwinów, Estończyków, Łotyszów, a nawet dla Finów. A przecież po układzie Ribbentrop – Mołotow były porozumienia i traktaty w Jałcie i Poczdamie. Dla nas data ta symbolizuje gwałt i hańbę, w imię imperialistycznych mrzonek o mocarstwowości Rosji Radzieckiej, promieniującej komunizmem na cały świat.

Bolesna to dla Polaków data. Tym bardziej bolesna, że przez całe dziesięciolecie zakazywano na ten temat jakichkolwiek publikacji, wymazując 23 dzień sierpnia 1939 roku nie z podręczników, bo w tych jej nie było, ale z pamięci ludzi przez tamten sierpień i wrzesień doświadczonych.

Przenieśmy się w przeszłość nie tak bardzo odległą. Do sierpnia sprzed 5 lat. Polski sierpień 1980 roku, Gdańsk, Szczecin, Śląsk. Narodziny „Solidarności”. Tamte gorące dni. W przenośni i bez. Jak ziarno owocujące po latach. Sierpień historyczny dla Polski, Polaków, dla Europy.

I jeszcze jedna sierpniowa data – 26 dzień sierpnia – katolickie, nasze polskie święto – Matki Boskiej Częstochowskiej. Pani Jasnogórska była i jest dla wierzących Polaków opoką i ostoją w czasach najtrudniejszych, była, jest i będzie wiarą i nadzieją na dziś i jutro.

Gdyby się tak zagłębić w karty historii – znaleźć by można ich więcej. I bez tego jawi się sierpień w historii Polski i Polaków jako miesiąc szczególnie. Jedyny. Dlaczegoż więc kwiecień obchodzimy jako Miesiąc Pamięci Narodowej? Może nadszedł czas, by datom, wydarzeniom i ludziom wrócić należną cześć, godność i szacunek!

W drodze do Ostrobramskiej

Nie ma chyba w Polsce takiego katolickiego domu, w którym na ścianie, na regale czy kredensie nie wisiałby lub nie stał wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Są wśród nich domy, gdzie obrazek zawiesiła na ścianie babcia, której niemal cudem, w ostatniej chwili, udało się wyjechać do Polski ostatnim repatrianckim pociągiem. Klękała później przez całe lata, kilka razy dziennie, modląc się o jakąkolwiek wiadomość o mężu, który zawieruszył się gdzieś, nie bez pomocy NKWD, a którego do dziś odnaleźć nie może.

Są domy, w których obrazek Matki z Ostrej Bramy zawiesił na ścianie ojciec, Wilniuk z urodzenia, żołnierz Wojska Polskiego, który po powrocie z Berlina dowiedział się, że jego rodzinne miasto zostało po tamtej stronie granicy. On to, z reguły wieczorem, ukradkiem, żeby dzieci nie widziały, ściągnawszy mundur kapitana Wojska Polskiego, klękał na krótko, by zapytać Ostrobramską Panią, czy ojciec i matka żyją, czy są zdrowi, jak im się wiedzie, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy. Dopiero gdzieś w 80, może 87 roku, już jako emeryt, z wycieczką kombatantów odwiedził rodzinne Wilno, szukał... Bez skutku.

Są jeszcze inne domy. Takie, w których wizerunek Ostrobramskiej wieszają na ścianach ludzie młodzi, nie doświadczeni zdarzeniami roku 1920, 1939 czy 1945. I czynią to nie pod wpływem miciekiewiczowskiej Inwokacji, lecz z zupełnie innych powodów.

Tłumaczono nam przez lata, że to nasz polski sentyment, zanikająca tradycja, że to minie wraz z odejściem pokolenia pamiętającego wszystkie te zdarzenia. Stało się jednak coś zupełnie innego. Pokolenia odchodzą, nie ma już wśród nas prawie nikogo z obrońców Wilna w roku 1920, niewielu zostało spośród tych, którzy pamiętają rok 1939, lata sowieckiej okupacji, potem przyjscie Niem-

ców, może więcej jest tych, którzy przygotowywali operację „Ostra Brama”, czy akcję „Burza”. I kiedy wydawało się, że ten – jak nazywają niektórzy „kult Wilna” – będzie słabł i zamierał, stało się coś zupełnie innego. Powstają w całym kraju Towarzystwa Przyjaciół Wilna, Wileńszczyzny, autokary z tabliczką „Pielgrzymka” – spotkać można na przejściu granicznym w Ogrodnikach każdego dnia – pchają się do Wilna naukowcy i studenci, dziennikarze i literaci, pracownicy wielkich zakładów rolnych i robotnicy z fabryk. Polscy studenci sprzątają zapomniane i zaniedbane historyczny cmentarz na Rossie, a polscy murarze i stolarze spod znaku Budimexu czy PKZ –ów przywracają wileńskiej starówce jej świetność i blask, tak mocno nadszarpięte zębem czasu i nie tylko zębem.

Właśnie oni w ciągu dwóch niespełna lat odrestaurowali kościół świętej Teresy z całym kompleksem budynków sąsiednich, a także Ostrą Bramę. Dzięki ich wysiłkom promienieje na całe Wilno odnowiona kopuła kościoła świętego Kazimierza z ogromną koroną Jagiellonów. I od kilku miesięcy – dzięki staraniom innych osób – w kościele tym rozbrzmiewa język polski. A jeszcze niedawno znajdowało się tam Muzeum Ateizmu. Historia jest przewrotna – oto w głównej nawie świętego Kazimierza, gdzie stoją co niedziela tłumy Polaków z polskiej parafii – jeszcze lat temu trzy królowały popiersia Marksa, Engelsa i Lenina.

Jeśli zdarzy się wam być w Wilnie, czy to z zakładową wycieczką, czy z parafialną pielgrzymką – znajdźcie dwie, może trzy godziny i zróbcie spacer. Spacer w stronę Ostrej Bramy. Wyruszamy z Placu Giedymina, który kiedyś nosił nazwę Katedralnego. Ruszamy spod katedry św. Stanisława. W jej podziemiach spoczywają prochy Barbary Radziwiłłówny i wielkich Jagiellonów. Jeszcze do niedawna była tam galeria malarstwa. Wiosną tego roku kapłani i wierni wrócili w jej mury. Nie wszyscy – bowiem w katedrze nie odprawiają się nabożeństwa w języku polskim. Uroczystościom rekonsekracji katedry towarzyszył zorganizowany przez Sajudis wiec, który z przyjaźnią polsko – litewską czy litewsko – polską niewiele miał wspólnego.

Ruszamy więc spod katedry w stronę Uniwersytetu. Po kilku minutach jesteśmy na dziedzińcu Piotra Skargi, mijamy dziedziniec Mickiewicza, laboratorium astronomiczne / jedyne miejsce, gdzie

na ścianie budynków nie zamalowano jeszcze polskich napisów/ i trafiamy na dziedziniec centralny. W podcieniach, na ścianach tablice upamiętniające rektorów tej uczelni. Czytamy – i coś nie tak. Obco brzmią nazwiska Sniadickusa czy Skargisa. Starsi wiedzą o kogo chodzi, ale młodzież?

W kościele katedralnym, zamienionym na muzeum Litwy, obejrzeć można piękne zbiory dotyczące dziejów Litwy przed i po unii z Polską. I tylko nigdzie nie spotkacie słowa o Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Z uniwersytetu do Ostrej Bramy niedaleko. Po drodze radzę wstąpić do budynków byłego klasztoru Bazylianów. Tam polscy restauratorzy jeszcze nie dotarli. Jeśli traficie państwo na przewodnika z polskim rodowodem – pokaże okna celi, w której więziony był Mickiewicz, jeśli będzie to Litwin lub Rosjanin – na pewno tego nie zrobi.

Przechodząc przez bramę Bazylianów, w brudnym i zaniedbanym zaułku z płynącym rynsztokiem znajdziecie budynek odnowiony, otynkowany, wybijający się wyglądem od reszty. To budynek polskiego konsula. Jest nawet miejsce na tablicę, są nawet dziury w ścianie na jej zawieszenie, ale konsulatu nie ma. Choć jest konsul, miły, sympatyczny pan.

Mijamy kościół świętej Teresy, kawiarnie medyków i przed nami miejsce opiewane nie tylko przez Mickiewicza. Ostra Brama. Pielgrzymują tu nie tylko Polacy. Spotkać tu można katolików z całego Związku Radzieckiego – z Estonii, Łotwy, Litwy, z Moskwy i Leningradu, z Kijowa i Tbilisi.

Panna święta, co w Ostrej świeci Bramie wysłucha każdego, słyszy modlitwę w każdym języku. Pielgrzymują do Niej po wiarę i nadzieję, po zdrowie i opiekę, po siłę i ufność. Polacy, Litwini, wielu innych.

Są na świecie miejsca święte, promieniujące ponad granice polityczne, narodowościowe, administracyjne, przenikające granice wyznań, przekonań i poglądów politycznych. Czy zawędrowalibyśmy do Lourdes, do Mekki czy Betlejem, na Jasną Górę, czy do Ostrej Bramy – z jednakową czcią uszanujemy te miejsca. Z jednaką zadumą pomyślimy o życiu i śmierci, o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Są na świecie miejsca o wymiarze uniwersali-

stycznym. Ostra Brama jest jednym z nich.

Przed Jej wizerunkiem klękają i modlą się Polacy i Litwini, działacze Solidarności i Sajudisu, Ligi Wolności Litwy i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jesteśmy braćmi w wierze. Od nas, z Polski, wzięła Litwa religię chrześcijańską. Skąd więc na sajudisowskich wiecach biorą się hasła: „Polacy do domu”, „Litwa dla Litwinów”, „Polacy do krematorium”? Skąd bierze się lęk moich wileńskich przyjaciół, Polaków z dziada pradziada, że któreś nocy wsadzą ich do pociągu i wywiozą w nieznanym kierunku? Estońscy Rosjanie strajkują. Strajkują z poczucia zagrożenia. Rosja radziecka upomni się o nich. Litewscy Polacy strajkować nie będą. Kto się wstawi za nimi? Takie są blaski i cienie pierestrojki. Scena i kulisy wielkiego, historycznego spektaklu pod tytułem – Litwa 1989.

Ale dlaczego nas tak bardzo to interesuje? Czy dlatego, że na ścianie wisi kopia Ostrobramskiej? Czy dlatego, że list od rodziny spóźnia się dwa tygodnie? Czy z zupełnie innych powodów?

Z kościoła wysypała się grupka białowłosych staruszków. Na rękach opaski, w klapach marynarek krzyże Virtuti Militari. Skończyła się msza w intencji żołnierzy Armii Krajowej poległych w bitwie o Wilno. Wracają do domów wspominając braci, przyjaciół, kolegów z oddziału. Patrzą na nich w skupieniu. Może za dwadzieścia, czy trzydzieści lat, ja - tak samo posrebrzony - będę mógł w zwykłą niedzielę, czy w pierwsze lepsze święto, wsiąść w samochód i wyskoczyć na mszę świętą do Ostrej Bramy. Wpadnę przy okazji do moich wileńskich przyjaciół na herbatę, położę kwiaty na kilku polskich grobach na Rossie i wrócę na wieczorne wydanie niezależnego dziennika telewizyjnego.

Jesteśmy - my, Europejczycy, jedną wielką rodziną. Może kiedyś będziemy rodziną Europą.

Lato w odcieniach zieleni

Czy zdarzyło się państwu kiedykolwiek śnić przez dłuższy czas sny w jednakowym kolorze? Nie myślę, niestety, o snach czarno - białych, chociaż jak twierdzą psychologowie i badacze snu ludzkiego - stanowią one zaledwie 30 procent widzianych i przeżywanych przez nas sennych obrazów. Myślę - na przykład, o snach w kolorze czerwieni, purpury, czy fioletu. Następcy Freuda i Junga twierdzą, że kolory snów są odbiciem naszych kolorów osobniczych. Tutaj z kolei kłaniają się radiesteci i bioenergoterapeuci ze swoją teorią kolorów. Są więc ludzie emitujący kolor szary, fioletowy, seledynowy, czy nawet czarny. Każdy z nich oznacza inny potencjał energetyczny, inne właściwości biopola itd. Można by się nad tym zatrzymać dłużej - dochodząc na przykład do wniosku, że ludzie lubiący czerwone wino mają predyspozycje do śnienia obrazów w tymże kolorze, który to zresztą wniosek jest wnioskiem absurdalnym. Poważnie jednak - nie od dziś wiadomo, że stan naszego ducha, przeżycia dnia codziennego itd. - wszystko to rzutuje na barwy naszych sennych marzeń. Czasami zdarza się jednak coś nieprawdopodobnego. Od kilkunastu dni, a może nawet dłużej, zdarzają mi się sny w kolorze.... zielonym. Czy śnię pozaziemskie podróże, czy romans z sympatyczną blondynką z sąsiedztwa, czy też co innego - wszystko w zieleni. Nawet nowalijka w sklepie przed końcem miesiąca też była zielona, nie mówiąc już o innych obrazach. Początkowo myślałem, że to po prostu wpływ wosny - jak w pio-sence: „kiedy wiosna buchnie majem... itd.”. Rzeczywiście - wiosna w tym roku była i wybuchowa, i cudownie zielona. Wprawdzie potem liście drzew, krzewów i trawy nieco pożółkły, ale mnie nadal śniło się wszystko na zielono. Wychodziłem więc przed snem na balkon, gapiłem się przez kwadrans lub dłużej na szare bloki osiedla, na którym mieszkam... lecz nic. Zieleń nie ustąpiła. Pomyśla-

łem, że może potrzebny jest inny rodzaj antidotum – i gustowną pi-dżamę w brązowe paseczki zmieniłem na równie ładną, z tym że w kolorze łagodnego błękitu. Myślicie państwo, że pomogło. Skądże !

Owa dziwna choroba mojej sennej wyobraźni ustąpiła jak nożem uciał. Nagle wszystko przyśniło mi się szare, momentami nawet czarne. I wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że ta zieleń – zje-rajająca moje senne fantazje – pochodzi z Meksyku. Oczywiście – była to zieleń wysokiej, źle przystrzyżonej trawy na stadionie w Monterrey. Ponieważ należę do zapalonych kibiców futbolu obej-rzałem chyba wszystkie – no może bez jednego lub dwóch – mecze tegorocznego Mundialu. I dopiero teraz skojarzyłem sobie, że to właśnie stąd – a nie z żadnej tam mniej lub bardziej zielonej wio-sny. Tylko dlaczego w takim razie śniłem zielone sny jeszcze po pamiętnym meczu naszych z Brazylią, kiedy wiadomo, że jesteśmy szarzy i bez takiego kolorytu, jak w Hiszpanii cztery lata temu. Mo-że to telepatia? Może wtedy, gdy nasi nie mogli jeszcze pożegnać się ze snem o zielonym premiach i czekach za występ, ja także od-bierałem wszystko na zielono. Nie wiem. Wiem jednak, że na zielo-no, a właściwie na szaro zrobili nas piłkarze Maroka, którzy prawie wszyscy jak jeden mąż zakupieni zostali po Mundialu do zagranicz-nych, w większości europejskich klubów. Też za zielone. A gwiaz-da Dziekanowskiego czy Urbana, nie mówiąc już o innych asach również zrobiła się zielona, tyle że ze złości. Bo jakoś nikt ich nie chce nigdzie wziąć. Nawet za nie zielone niemieckie marki. Może by tak myślę sobie – warto teraz połowę z zarobionych na Mundia-lu 900 tysięcy zielonych przeznaczyć dla Maroka w podzięce za to, że nam pozwolili swoją postawą w ostatnim meczu ten prawie mi-lion zarobić. Mniejsza o metodę. Zawsze może być to pomoc, sub-wencja czy też pożyczka na ochronę środowiska.

Zresztą zielono było po tym Mundialu nie tylko mnie, ale paru innym ludziom również. Pewien starszy pan chce nawet zrezygno-wać z zielonych premii, zrzekając się stołeczka. Zupełnym przeci-wieństwem jest inny starszy pan, którego mogliśmy czasami oglą-dać w tzw. Studiu unilateralnym, który to pan pozostał w Meksyku do końca, a gdyby mógł zostać jeszcze dłużej, bowiem zdawał so-bie doskonale sprawę, że jest to jego ostatnia szansa, by parę zielo-nych zebrać. Nie chodzi naturalnie o zielone kamienie z plaż Zatoki

Meksykańskiej. Ludzie, kto tu kogo robi na szaro, a kto na zielono? Przecież nawet gra w zielone ma swoje zasady fair play.

Zostawmy jednak zielony piękny Meksyk, na którym wyszli-śmy na szaro i wróćmy do naszej – nie powiem szarej rzeczywisto-ści. Buchnęła nam wiosna przywiewdłą zielenią, a tuż za nią przyszło lato. Też zielone. Urlopy, wycieczki, wczasy. Kto ma zielone – do Jugosławii / gdzie nawiasem mówiąc zielone coraz droższe/, do Grecji / gdzie ponoć zielone potaniały/ czy do Włoch. A jeśli kto nie ma - huzia po zielone. Gdzie? – a na Węgry. I jadą rodacy jak się da, gdzie się da – byle tylko wyjechać. W biurach turystycznych ruch, jakiego już dawno nie było. W biurze paszportów tylko w pierwszej połowie tego roku załatwiono tyle wyjazdów do krajów zachodnich, ile przez cały rok ubiegły. Powroty nie zawsze są różo-we – przepraszam, chciałem powiedzieć zielone. Ileż to snów i ma-rzeń o zielonych – na przykład Wyspach Zielonego Przylądka – ży-cie zweryfikowało. Strach mówić. Jakie to szczęście, że tych snów o zielonych nikt nie próbuje realizować na zielonej granicy. Cho-ciaż tak prawdę powiedziawszy to sam nie wiem co jest lepsze – zielone sny przez cały miesiąc, czy sen o zielonych. A sny – jak mówiła moja babcia sprawdzają się... i to każdy, prędzej czy póź-niej.

Jest w naszym kraju takie jedno województwo, któremu nie brakuje zieleni, brakuje natomiast trochę zielonych. Można by je mieć, gdyby umiejętnie i w sposób sukcesywny zajrzeć do kieszeni tych, którzy do tegoż województwa przyjeżdżają. Ba – nawet sami się napraszają – żeby te zielone od nich wyciągnąć. Proszę sobie wyobrazić taką oto sytuację. Bogaci w zielone przedsiębiorcy pro-poują mniej bogatym w nasze polskie nawet złotówki menadze-rom zbudowanie w tymże województwie hotelu klasy Lux. Elegan-cja – Francja, kraniki – dywaniki itd. – a wszystko z myślą o swo-ich, także faszeryowanych zielonymi rodakach. Tenże hotel miałby być przez lat pięć administrowany i użytkowany przez owych boga-tych zielonych przedsiębiorców, po czym przekazany zostałby tym, którym nawet złotówek nie staje i to do wyłącznego użytkowania. Rzec można – w wieczyste posiadanie. Zielono się zrobiło widać w głowach miłym panom – i jednym i drugim. Pierwszym – bo z pro-pozycji zrezygnowali. Od wielu lat w taki sam sposób zielone zo-

stają w mniej zielonej niż to województwo Jugosławii i jakoś nikt się tym nie martwi. I tylko u nas z tą ekonomią ciągle jeszcze jest zielono.

A skoro o kolorze zielonym - może czas już w naszym kraju na założenie jakiegoś ruchu zielonych. Oczywiście nie tych spod Pe-wexu, bo oni ruszają się bystro, ale na przykład partii czy stronnictwa, które zajęłoby się tylko problemem walki o środowisko i sprawą edukacji ekologicznej. Może naprawdę warto - póki tej zieleni jeszcze trochę mamy.

Zdaję sobie doskonale sprawę, jak poważny jest to problem, jak żywy - ale przecież te swoje rozważania rozpocząłem od moich prywatnych zielonych snów. I jak tu nie wierzyć, że wszystko w przyrodzie płynie, że nie ma spraw osobnych, istniejących obok nas, że o czym nie zaczęlibyśmy rozmawiać zawsze musimy dojść do spraw poważnych i najważniejszych. I to jest cała złożoność naszych czasów.

Tak więc zielone sny na szczęście mnie już opuściły, a nastrój poprawił mi sąsiad, który zaczepiając mnie wczoraj na schodach powiedział: - Wiesz, stary, przyśnił mi się różowy sen. Słuchaj - cały różowy, wszystko. - Może zbierałeś truskawki? Nie, coś ty cały wieczór spędziłem przed telewizorem.

- Wszystko w porządku - powiedziałem - mnie też po Mundialu śniły się zielone sny.

Ciekawe - mruknął i bez słowa zbiegł ze schodów. Ciekawe - pomyślałem.

Byłe do wiosny

Siedzę sobie w domu przy oknie, patrzę na kilka wierzb, które ktoś przypadkiem posadził wśród betonowej pustyni bloków i chodników, na żółknące powoli liście, na zieloną jeszcze trawę... jesień myślę. Nie ma co ukrywać - jeszcze jedno lato za nami, jeszcze jedna przed nami zima. Może znów zima stulecia? Lepiej, żeby nie - bo energetycy się przekręcą na tej swojej karuzeli kalorii, smagani możliwościami kotłów i rur z jednej, a wołaniem o kilka stopni więcej - z drugiej strony. Jesień nie złota, jak w turystycznych folderach, ale nasza własna - zachlapana, zabłocona rozkopanymi chodnikami, których ktoś nie zdążył zakopać, studzienkami, których nikt nie może czy nie chce przetkać, a w których nie mieści się deszczówka. Patrzę więc przez to okno, co też na jesiennym bożym świecie słychać, a tu jak nie zadymi, jak nie zakopci, jak nie zaśmierdzi... prosto w twarz. Spoglądam w dół - na zielonym jeszcze trawniku stoją trzy dymiące na wszystkie strony parniki, w których gotuje się smoła. Obok - na zielonej jeszcze trawie - sterta drewna, jakieś kubły, wiadra... i potężne koleiny po kołach ciężarówki, która to wszystko przywiozła... Wciągam tę przymusową woń, wciskającą się do domu pomimo zamkniętych okien, a przed oczyma mam kartoflisko, wozy pełne ziemniaków, ognisko. - Franek, taka twoja mać - dawaj, co się..... tu muszę wykropkować. Więc ciągnie Franek wiadro, zaczepia linę i wio... do nieba na dziurawy dach, żeby państwu na głowę przez szpary w wielkiej płycie jesienny deszcz nie płynął, albo i zimowy śnieg. Uwija się Franek, jak w ukropie, parniki dymią, ogień jak na kartoflisku... Po trzech dniach trawa żółkła, po tygodniu trawnik przypominał step... Jesień. Okopcone wierzby szumią jesienną piosenkę, zapach rozgrzanej smoły, pan Franek niczym piekielny Boruta, wszystko szepcze - jesień, kolejna, jeszcze jedna...

Jesienny świt. Powszedni dzień. Czekam na taksówkę. Dzie-
sięć minut, dwadzieścia. Jest – ulga, nareszcie. Starszy pan, biała
koszula, krawat, na siedzeniach pokrowce, czysto, schludnie, nie to,
co u tych młodzieńców – byle jak, byle więcej. – Zwykły dzień, a
tak długo trzeba czekać – rzucam po chwili – ot tak – żeby od rana
słowo z kimś zamienić. Odwraca głowę, uśmiecha się... – Nie taki
zwykły – rzuca przez ramię. Nowy Jork w nocy przyleciał. Bractwo
w Warszawie. Dewizy przyleciały...

Przecież jesień, na zimę ludzie wracają, jak te bociany na wio-
snę... A taki klient groszem nie śmierdzi. Połowa taksówek dziś w
Warszawie – a potem do domu – Mońki, Dąbrowa, Białystok. Zie-
lono będzie w niejednym domu, jak na wiosnę...

Wracają, ptaki, ptaszki, sokoły pięcioletnie, orły sezonowe,
wróble do gniazd, do piskląt, które szykują się do matury, no może
do szkoły... Jesienny exodus. Tu przeżyją zimę – może nie stule-
cia – a na wiosnę... Ech, doczekać wiosny... wyczekiwali tej jesieni
dniami i nocami, listami. Śniły im się po nocach wierzby i topole,
kartofliska i pełne stodoły, pieczone ziemniaki i bochny zbożowego
chleba prosto z pieca. Skreślali dni w kalendarzu, pakowali walizy,
kartony, worki. I mimo, że nie złota, ale polska, śniła im się ta je-
sień, jak matka, żona, dzieci... A może wcale nie?

Jesienna mgła na Okęciu. Z nieba sływa jesienny ptak,
ogromny, wypełniony po brzegi. Wyrzuca z siebie jesienny tłum –
zakufrowany, obwalizowany, rozpęczniały. Powrócisz tu gdzie
wierzby pośród pól... Jesienne radości, łzy szczęścia, zagryzane do
krwi wargi, spocone dłonie. A potem jesienny ból serca. Jeszcze
jedna jesień. Odchodzą w jesienną mgłę niedoczekania, w jesien-
nym smutku, może wróci wiosną... doczekać wiosny... Jesienna
mgła na Okęciu.

W parku jesienne przedszkolaki. Zakapturzone, zaszalikowa-
ne... Graszają po trawnikach z garściami liści, w poszukiwaniu tego
najpiękniejszego, wymarzonego, by dać go swojej pani. A park jak
zwykle – piękny. Piękno sam z siebie, samo w sobie, samo dla sie-
bie. Zniszczone ławki, przydeptane krzewy, drzewka, trawniki, tu i
ówdzie śmieci. Sezon był długi. Spadnie śnieg, przykryje, spod
śniegu nie widać. Tak, jak spod bandaży nie widać rany, czy się
goi, czy ropieje. Ile ran trzeba będzie wiosną leczyć?

Ile będzie można wyleczyć...

A na ławkach prawie Monte Carlo. Krupier w gustownej czap-
ce, z laską. Wprawdzie karty nieco przetłuszczone, znaczone, z po-
zaginаныmi rogami, ale za to jaka atmosfera. Że czasem złoty liść
spadnie na stół to nic. Że pokropi, nieważne. Najważniejsze mieć
meldunek, najlepiej czerwieny, tak – nie żaden tam kierowy czy
pikowy, właśnie czerwieny albo dzwonkowy, no i asa na podpór-
kę. I sto dwadzieścia można iść z zamkniętymi oczami. Byle do ty-
siąca. Niewiele bez przesady, po złotówce od punktu. – Panie, a co
robić z ta rentą czy emeryturą – tylko, że pograć, parę złotych, jaki
tam hazard, zabawa. Kolegów spotkać, pogadać, ponarzekać, na
drzewa popatrzeć. Piękny ten park, nie, tylko niezbadany, panie... i
tak od rana, póki słońce. Jesienna radość w jesieni życia. Ile tych
radości, jakich? A wiosna, kto by tam o niej myślał. Da Bóg docze-
kać, to się pomyśli. Teraz jest jesień – piękna prawda...

I jak tu nie przytaknąć, skoro ochota nachodzi tak usiąść ra-
zem, pogadać, posłuchać, na drzewa popatrzeć, na zegarek nie spo-
glądając, a najlepiej zostawić w domu. Jak nie kiwnąć głową, skoro
cisza aż piszczy do tych drzew olbrzymów, do liści, do kasztanów,
do żołędzi. Wrócić z pełną torbą do domu, usiąść przy stole i pijąc
jesienną herbatę z rumianku albo lipy radować oczy dziecka kaszta-
nowymi ludkami, zwierzętami, żołędziowym wojskiem. I opowia-
dać – koniecznie opowiadać, co robi wiewiórka, a co jeź, a gdzie
się chowają zające i czy drzewa śpią do wiosny.

Jesienne, prawdziwe jesienne święto. Jedziemy z rodzinami ca-
łymi, z dziećmi i wnukami, z doniczkami chryzantem, z lampkami,
zniczami i świecami. I zgarniając z mogił opadłe liście dumamy:
znów minął rok, znowu jesień, ile ich jeszcze, gdybyż to wiedzieć.
A potem, w długi jesienny wieczór wspominamy nasze jesienie i zi-
my, wiosny i lata, i tych, których dopiero co odwiedziliśmy. Pijemy
wódke, śpiewamy partyzanckie piosenki, narzekamy, zmieniamy
porządek wszech rzeczy – rząd, ustrój, dyrektora, żonę. Słucha tego
jesienny wiatr i mgła za oknem. A potem przychodzi czas pożegnań
i odjazdów. I nikt nie wie ile jeszcze jesieni przed nami i czy za rok
spotkamy się w tym samym gronie. Rozleniwieni, prześwietowa-
ni – po trzech wolnych od pracy dniach wracamy do swoich zajęć. I
nikogo już ta jesień nie obchodzi.

Stajemy się wszyscy powolniejsi, bardziej ospali, ekspedientka w sklepie jest jakby bardziej uprzejma, panienska na poczcie trzyma w szklance bukiet jesiennych liści. Wieczory wypełnia nam telewizja, zatrzymując przy ekranach pasjonującym programem, z którego trudno cokolwiek wybrać, radio żyje jeszcze konkursem chopinowskim, a w gazetach nic nowego. Można by coś poczytać, ale kupić nie łatwo, a do biblioteki za daleko. I tak dzień po dniu mija deszczowy i chłodny listopad. Toczy się koło naszych dni, rozpędzony pociąg jesieni i zimy, wiosny i lata. Z dnia na dzień, z dnia na dzień, praca, dzieci, żona, dom... Potem święta, Nowy Rok, i już wiosna. A wiosną – ech wszystko wygląda inaczej.

A może jesienią można się też zakochać? Może jesienią można również coś zmienić? Coś zrobić? Tylko, czy można przechrzcić zegar biologiczny? Nie da się ukryć – żyjemy cyklem przyrody i jesień jest dla nas czasem wyhamowania tempa życia, przygotowania do zimy, uspokojenia, czasem zadumy i zwolnienia obrotów. Jakże to szczęście, że nie zapadamy w zimowy sen!

Pewien mój znajomy, człowiek na uczciwej posadzie, z niezłymi zarobkami, wziął sobie na zimę chałupnictwo, takie jakieś szybie czy wypychanie pluszowych misiów. Siedzi teraz wieczorami w domu, patrzy się w telewizor i pcha tym misiom czy małpkom trociny do bebeczków. Żona obok – dzierga coś na drutach. Kiedy zaszedłem do nich, powiedział – przepraszam stary – ale mam tylko kwadrans – muszę dziś jeszcze zrobić trzydzieści tych cacek. Nie ma sprawy – mówię, rozumiejąc, że jest to pomysł na jesienne i zimowe wieczory – ale, powiedz bracie, po co ci to. Przecież pensja ci w zupełności wystarcza. Poszedłbyś na brydża, na wódkę, do kina, nawet do teatru, a ty dziergasz tu jakieś misiaczki – Wiesz co – odpowiedział mi – policzyłem, że od listopada do lutego na tych misiaczkach zarobię na wczasy dla nas czterech i to na dwa turnusy.

Jesień w pełni. Patrząc przez okno, diabelskie parniki przestały już dymić. Boruta poszedł do domu, zaczyna się długi jesienny wieczór. Pies dopomina się o spacer, telewizja kusi magazynem „Siedem anten”, a gdzieś tam w swoim luksusowym M-5 znajomy dzierga misiaczki, błądząc myślami po słonecznych plażach Juraty. Może naprawdę jesień jest po to, by myśleć o wiośnie... Dziwne to wszystko, chodź piesku na spacer....

Sierpień

Każdy miesiąc w roku ma swój specyficzny klimat, powiedzieć można – charakter. Wynika to i z praw przyrody, i z naszych przyzwyczajęń, i z układu naszych zajęć i wreszcie z tradycji. Dzięki temu cały długi rok nie jest tak monotony i jednobarwny, szary i byle jaki. Może to i lepiej.

Ot, choćby taki maj na przykład. Funkcjonuje w naszej świadomości jako miesiąc zakochanych, czas kwitnienia kasztanów, czas matur, kojarzy się nam od wieków z buchającą zielenią wiosną, z szaleństwem drzew i kwiatów. I tak już jest.

A wrzesień. Jakże mocno tkwi w naszej pamięci wspomnieniem pierwszego dzwonka szkolnego. Biel bluzeczek, granat spodnic i fartuchów, ten pierwszy krok w inne, szkolne, dorosłe życie. A gdzieś obok wrzesień to złoto, miedź i brąz naszej polskiej jesieni. Dopiero na końcu przywołujemy pamiętne bądź z osobistych doświadczeń, bądź z filmu sekwencje tamtego września sprzed 48 lat.

Jeszcze inny jest grudzień. Wiadomo – święta. Miesiąc podróży, rodzinnych spotkań, miesiąc cały sprowadzony do tych kilku świątecznych dni, kiedy możemy być wszyscy razem, przy jednym stole.

O każdym z dwunastu miesięcy roku można coś podobnego powiedzieć. Każdy jest inny, choć – jak to w bajce było – jest ich dwunastu braci. Styczeń pamiętamy jako czas mrozów i śnieżyc, lipiec kojarzy nam się z upałami i dojrzewaniem zbóż, listopad wreszcie – nieodłącznie wraca w pamięci obraz pluchy, kałuż, parasola i kaloszy. I tak od stycznia do grudnia, jak w wiecznym kalejdoskopie, kołowrocie dni i nocy. Aż strach pomyśleć, jak dłużyłyby się dni, jak nieciekawe byłoby życie gdyby każdy miesiąc był taki sam, jak poprzedni. Może to i lepiej, że jest inaczej.

Pierwszy dzień sierpnia. Sobota. Niby zwykły dzień. Dla jednych koniec tegorocznych wakacji, dla innych dopiero czas wyjazdów i odpoczynku. I właśnie w to sierpniowe popołudnie pomyślałem sobie, jakże szczególny jest dla nas Polaków, sierpień. To już nie tylko czas żniwowania, zbierania plonów całego roku pracy. To nie tylko ciężkie od ziarna kłosa. Jakże inny, szczególny jest ten miesiąc, dla wielu naszych matek, sióstr, braci, znajomych. Siadają w to sierpniowe popołudnie z albumami w rękach, by choć na chwilę wrócić do tamtych dni, do tamtych ludzi. Powracają wspomnieniami, silniejsze każdym wyciągniętym z szuflady drobiazgiem, każdą przeczytaną linijką wiersza, każdą nutą śpiewanej kiedyś piosenki. Wspomnienie tych, których już nie ma wśród nas. Odeszli. Krewnych, znajomych, przyjaciół. Wieczorem, może już za godzinę, czy dwie, ci – którzy pozostali wśród żywych, spotkają się przy kawie czy winie, by wrócić do tamtego sierpniowego popołudnia. Będą wspominać, dyskutować, zaśpiewają piosenkę z tamtych lat, spierać się będą o bohaterstwo i codzienność, politykę i człowieczeństwo. Przegadają noc, aż do świtu, by pokrzepieni rozejść się do domów. Pokrzepieni myślą, że tamte dni i ludzie żyją w nas i żyć będą. Jak długo?

Póki zaś w ludziach żyć będzie pamięć o tych, którzy oddali swe życie za sprawę ojczyzny, póty żyć będzie naród.

To już 43 lata. Jak ten czas leci. Jakże inny był ten pierwszy dzień sierpnia 43 lata temu w Warszawie. A potem... 63 dni. Jest taki film, piękny film. Są książki, dokumenty, żyją świadkowie i uczestnicy tamtych zdarzeń. Są żywą pamięcią.

Ale czy pamiętamy my? Zastanówmy się nad tym teraz, właśnie dziś, w to pierwszosierpniowe popołudnie 1987 roku, 43 lata później...

Sierpień ma dla nas Polaków jeszcze inny aspekt. Też historyczny, choć mniejszy dzieli go od nas dystans. Ten sierpień pamiętamy wszyscy, sami go przeżyaliśmy. Tak niedawno niby, wspomnienia żyją jeszcze, żyjemy my, a to już siedem długich lat minęło. Czy tylko długich? Co zostało w nas z dni, które minęły, co zostało dla nas? Jaka nauka, jaka mądrość?

Każdy z nas rozdział życia pod tytułem „Sierpień 80” pisał sam dla siebie, na własny rachunek. Każdy z nas zapisał inaczej.

I każdy z nas inaczej go dziś, po siedmiu latach, czyta. Księga pisała się sama – naszymi słowami, decyzjami, czynami. Jak byśmy jej nie pisali – zawsze będzie to księga naszego życia. Było, przeminęło. Ktoś napisał powieść psychologiczną, inny obyczajową, jeszcze ktoś niezły kryminał. Jak to się dziś czyta, po siedmiu długich, bogatych, latach.

Z biciem serca, czy z uśmiechem na twarzy? Ze łzami w oczach, tłumiąc szloch, czy bez krztyny wzruszenia? Książkę można napisać jeszcze raz i jeszcze raz, i po raz któryś... Życia nie napiszemy jeszcze raz. Było, przeminęło. Czy każdy z nas potrafi dziś mówić o tamtym sierpniu sprzed siedmiu lat z podniesionym czołem?

Powiedziano, napisano, przemilczano wiele. Z różnych powodów, z różnych racji. Jakby jednak na cały ten rozdział historii i życia każdego z nas, i historii narodu, nie patrzeć, z jednym trzeba się zgodzić: dla każdego z nas był ten sierpień lekcją: historii, demokracji, człowieczeństwa... Czy z lekcji tej skorzystaliśmy?

Jeśli jesteśmy dziś, po siedmiu latach, mądrzejsi mądrością tych sierpniowych dni - następna taka lekcja nie będzie potrzebna. Niech tej nauki – i uczniom i nauczycielom – wystarczy na jak najdłużej.

Pierwszosierpniowe popołudnie, może już wieczór. Zdarzy się może dziś, a zdarzyć się w kraju tak doświadczonym, jak nasz, może – że usiądą do kolacji, przy rodzinnym polskim stole, ojciec, syn, wnukowie. I zdarzyć się może, że gdzieś późnym wieczorem, przy kawie czy winie wróci ten wątek, jak pieśń Wernyhory, tamtego sierpnia sprzed 43 lat i tego sprzed siedmiu.

Wróć wydarzenia tamtego gorącego czasu, może ojciec wyciągnie gdzieś z szuflady biało – czerwoną opaskę, albo hełm, a może i jakieś listy od dziewczyny. Pojawi się w kąciku oka ta jedna, najbardziej słona łza, tak skrzętnie skrywana przed dziećmi i wnukami. A wraz z nią wspomnienia, opowieści i ta jedna myśl; „... za każdy kamień twój, stolico damy krew...”.

A wtedy syn, znający ojcowską historię z książek i dokumentów, czytany w różnej literaturze, gotów kłócić się do rana o sens, logikę i politykę, wyciągnie z szuflady czy biurka też biało – czerwoną opaskę, jakiś znaczek, kilka numerów tygodnika, odezwę i

teksty porozumień, położy na stole i zapyta ojca – a jaki był sens tego?

I przesiedzą tak do późna, kłócąc się o każde zdanie, każdą datę, o każdy fakt historyczny. Czy historyczny? – wszak byli przy tym, przeżywali, napędzali własnym działaniem motor dziejów, sami pisali tę księgę narodu i życia. Połączył ich sierpień – niezły tytuł – prawda?

Mniejsza o tytuł – przyda się może do któregoś kolejnego kiczowatego serialu w telewizji. Najważniejsze jest, by obydwaj – ojciec i syn – wstali od stołu w poczuciu sensu życia, działania, twórczenia. By wstali od stołu w przekonaniu, że to co robili, robili w zgodzie z sobą samym, bez oglądania się na innych, czy na doraźne korzyści. I jeśli podadzą sobie na dobranoc dłoń, to niech to nie będzie spotkanie pojednania, bo nie o pojednanie tu chodzi. Niech to będzie gest zrozumienia.

Zdarzy się, bo w kraju tak jak nasz doświadczonym zdarzyć się może, że przy stole znajdzie się miejsce dla tych, do których należy i od których zależeć będzie przyszłość tego kraju. Niech słucha tej rozmowy 15 czy 18 letni syn i wnuk. Może właśnie w to sierpniowe popołudnie czy wieczór dowiedzieć się powinien czegoś więcej o dziadku i ojcu, o ludziach, faktach, o historii. Żywa to historia, żyjąca, mówiąca – siedząca razem z nim przy jednym stole. Takiej lekcji nie przewiduje żaden program reformowanej szkoły. Takiej lekcji nie zastąpi żadna książka, wykład, czy pogawędka historyczna w telewizji. Może to jedyna w roku okazja...

Zdarzyć się może w ten pierwszosierpniowy wieczór jeszcze coś. Oto usiądzie przy stole trzech dorosłych mężczyzn – ojciec, syn i wnuk – rozmawiać będą o Polsce, o historii, o wojnie, o ludziach, polityce, itd., dyskutować będą być może długo w nocy... i nie wypiją przy tym ani kieliszka wódki. Jakże przywykliśmy do innego zgoła obrazka – nie można – taka jest powszechna opinia – dyskutować u nas o historii i polityce, o wojnie i czasach obecnych – bez pół litra. Znacie państwo to powiedzenie – bez pół litra nie razbierosz. I wcale nie o rozbieranie tu chodzi.

Tymczasem tutaj trzech dorosłych mężczyzn dyskutuje o tym wszystkim bez tradycyjnego dźwięku szkła, bez ułanów, co to pod okienkiem, bez pierwszej brygady śpiewanej bełkotliwie koło pół-

nocy.

Znam wiele osób, wcale nie zagorzałych katolików, ani wojujących ateistów, które mają za sobą sierpień bez kieliszka. Nie dlatego wcale, że apelował o to kilka lat temu Prymas Polski, wcale nie dlatego, że chcą doprowadzić do ruiny polski monopol spirytusowy, który i tak ma kłopoty, bo wódka u nas najtańsza na świecie, przez co ma do nas pretensje Międzynarodowy Fundusz Walutowy, nie – nie dla tego.

Sierpień jest dla mnie miesiącem szczególnym – powiedział jeden z moich znajomych. Z Powstania ocalał tylko mój ojciec, cała jego rodzina zginęła. Ja bardzo przeżyłem sierpień roku 80, dlatego. Właśnie dlatego – to dziwne i śmieszne zarazem – mówił dalej – bo pytają mnie wszyscy, czy ślubowałem itd. Kiedy mówię nie – nie wierzy nikt. A przecież wszystko zależy od nas samych, od tego co jest w środku w nas, nie na wierzchu.

Powie ktoś – poza, manifestacja. Pozowanie?- na kogo? Manifestacja? Czego? Własnych poglądów, własnego ja. Ja rozumiem tego człowieka i mam dlań właśnie za to, za wierność sobie, wiele szacunku.

Sierpień 87. Półmetek wakacji. Czas odpoczynku. Oderwanie się od codziennej młócki sprzyja refleksji nad życiem, działaniem, przemijaniem. Jest nad czym podumać, jeśli nie dziś, to może jutro. Sierpień – ten szczególny dla nas Polaków miesiąc – ma 31 dni. W życiu – szkoda każdego straconego dnia. Nie stracie państwo ich w sierpniu zbyt wiele.

Paranoja z ludzką twarzą

Paranoja to - według słownika wyrazów obcych - choroba psychiczna, cechująca się urojeniami prześladowczymi, mania wielkości, przy zachowaniu logicznego myślenia i orientacji w czasie i przestrzeni. Nazwa wywodzi się od greckiego słowa paranoos - tzn. obłąkany.

Przez całe stulecia określenia te używane były w stosunku do choroby i osób przez nią dotkniętych. Nie wiadomo, kto, gdzie i kiedy - słowa paranoja użył, by określić nienormalną, dziwną czy absurdalną sytuację, albo sposób postępowania. Dziś słyszymy je na każdym kroku.

Jasne, że większość obywateli PRL - u szermująca tym terminem medycznym na co dzień nie wie - skąd się wzięło i co oznacza. Przyjął się jednak i jest powszechnie używany od gabinetów lekarskich poczynając, na kolejkach po gorzałkę kończąc.

Jeszcze nie tak dawno popularny zespół rockowy śpiewał nawet, że paranoja jest goła. Nic bardziej błędnego. Z reguły paranoja jest dobrze ubrana, urzęduje w przyzwoitych gabinetach, jeździ służbowymi samochodami - i mało tego - ma nawet twarz - ludzką twarz.

Był sobie na osiedlu sklep. Mały, cichy sklep spożywczy dla mieszkańców kilku ulic. Robili tam codziennie zakupy, bez kłopotów, nie taszcząc masła czy chleba z odległej dzielnicy fabrycznej czy z centrum. Przyjechała jednak paranoja służbowym polonezem, popatrzyła, odjechała i... po dwóch tygodniach sklep spożywczy zamieniono na sklep z artykułami zaopatrzenia ogrodników i działkowców. A mieszkańcy kilku ulic latać muszą o świcie do odległego supersamu lub ciągnąć siatki z mlekiem i chlebem z centrum. Psioczą i klną, a paranoja dostała pochwałę za inicjatywność.

W największym i najbardziej dopieszczanym - ze względu na

koneksje dyrekcji - szpitalu w pewnym mieście, stwierdzono epidemię salmonelli. Błady strach padł na chorych, zdrowych na doktorów, pielęgniarki i salowe. Co to będzie. Zakazano o sprawie mówić głośno, zakazano szeptać, ba - zakazano myśleć. Oddzielono chorych od zdrowych, zastosowano wszelkie środki ostrożności. Przyszła paranoja - zrobiła inspekcję, sypnęła upomnieniami i nagrodami i poszła. Nie zauważyła paranoja, że toaleta była wspólna - dla chorych na salmonellę i dla tych, którzy jakoś się przed nią obronili. Paranoja wucetowa utajona o nieustalonej etiologii. Na szczęście epidemię udało się opanować. Lecząc wcale nie w zarodku.

Paranoja biurkowa zwyczajna w symptomach przewlekłego zapalenia kompetencji pojawiła się w innym mieście. Są tam dwa szpitale położnicze. Jeden prosi opatrność o remont od lat, drugi - nowy i przestronny, firmowany kilkoma sławanymi nie musi opatrności prosić o nic. Pierwszy szpital ma w tygodniu dwa ostre i jeden tępy dyżur, szpital drugi jeden ostry i dwa tępe. Paranoja biurkowa zwyczajna zatwierdziła i koniec. Trzeba by decyzji paranoi ministerialnej, by coś zmienić. A kto tam miał śmiałość pukać do bram paranoicznego ministerstwa?

I jeszcze jeden przykład, właściwie dowód, że paranoja ma ludzką twarz. Niestety w wielu przypadkach jest to twarz kobiety. Z powodu braku chętnych do pracy zamyka się nie tylko kioski ruchu i sklepy. Na rozmowę międzymiastową trzeba poczekać paranoicznie sporo. Powód - brak personelu. Do jednej z centrali w dużym mieście zgłosiła się kobieta gotowa podjąć prace na pół etatu. I to - uwaga - pracę w dni przez pocztę nie lubiane, bo w sobotę i niedzielę. W każdej innej placówce przyjęto by ją z honorami. Ale nie na pocztę. Kierowniczką - doświadczoną, bo prawie 50-letnią paranoja komunikacyjno - łącznościowa z kolekcji ministra Kamińskiego oświadczyła, że kobiety nie przyjmie. Jak tak dalej pójdzie, to już niedługo dojdzie do tego, że jeśli ktoś będzie chciał rozmawiać z Chicago czy Londynem - będzie musiał na centrali sam sobie te rozmowę połączyć. Tymczasem pchają się wręcz do nas zagraniczni biznesmeni z komputerowymi centralami, z satelitarnym telegrafem i telefaksem, z gotówką w twardej walucie, pchają się, by nam pomóc, a eksperci mówią - dziękujemy, nie. I dobrze, dla czegoż mielibyśmy się raptem zrównać cywilizacyjnie z Turcją?

Wszystko w swoim czasie.

Może by więc słowniki wyrazów obcych uzupełnić o hasło – paranoja polska? I wyliczyć wszystkie możliwe przypadki. Tylko co wtedy trzeba by napisać w rubryce – źródło choroby? Czy kryzys, czy system, który funkcjonował przez kilkadziesiąt ostatnich lat, czy też ludzi?

Mój list intencyjny

Niedościgniony mistrz frazki i aforyzmu – Stanisław Jerzy Lec – ułożył był dawno temu dwuwiersz takiej oto treści: Nic z intencji – bez potencji. Oto po prostu mistrzowi przyszło do głowy, zrymowało się i napisało. I nie mógł pan autor przypuszczać, że będzie to jedna z wielu jego frazsek doskonałych, rzecz można absolutnych, bo absolutnie skończonych w swojej doskonałości. Trochę to masło maślane, ale coś w tym jest. Zwłaszcza kiedy się Leca nie tylko poczyta, ile po prostu przeczyta od początku do końca.

Dwa wersy, prosty rym, a ile sensu, treści, ile filozofii. Ile mądrości. Oczywiście każdy ten zabawny dwuwiersz interpretuje po swojemu, dla jednego będzie to przestroga przed erotycznymi podbojami, dla innego – ostrzeżenie, by nie angażować się w interesy bez zaplecza gotówkowego, kto inny wreszcie przypomni sobie stare porzekadło o dobrych chęciach, którymi piekło Lucyfer wybrukował.

Zupełnie przypadkowo frazka ta skojarzyła mi się z terminem stricte ekonomicznym – list intencyjny, który w ostatnim czasie fruwał po wszystkich programach radiowych i telewizyjnych aż do zupełnego obrzydzenia. Okazało się że miał rację Stanisław Jerzy Lec z tą potencją, bo specjaliści z MFW na słowo dobre chęci wicepremiera Balcerowicza nabrać się nie dali, żądając konkretnego planu działania mającego na celu naszej gospodarce przydać przydomek nowoczesnej i opłacalnej. Można pisać setki listów, takich czy innych, można mieć najlepsze chęci i najświętsze intencje, ale w cywilizowanym świecie to już nie wystarcza. Na piękne oczy i tłuste słówka dostawał kredyty pan z innej ekipy i do dziś wszyscy tego żałują – ci co dawali, ci co brali, najbardziej zaś dotyka to tych, którzy pieniędzy tych na oczy nie widzieli, a dopiero kilkanaście lat później dowiedzieli się, że każdy pojedynczo wisi bogatym bankie-

rom po kilkaset zielonych na głowę. A przecież ów pan z poprzedniej ekipy też miał dobre intencje.

Wicepremier Balcerowicz pisał swój list intencyjny szybko, ale widać miał dobrych doradców, bo eksperci zachodni list ów podpisali i pieniądze z sejfów wyjęli. Dobrze, dobrze, wszystko ładnie i pięknie, ale co z drugą częścią Lecowego wierszyka, czyli z potencją. W sumie nieźle – bo jak się tak spojrzysz na rozleniwionych przez poprzedni ustrój obywateli – potencjalną Koreą czy Hiszpanią zostać możemy, pod jednym warunkiem - że każdy z nas opracuje taki list dla siebie, na własny użytek. Krótko mówiąc – czasy idą tak, że bez przemyślanego planu działania trudno będzie od pierwszego do pierwszego dociągnąć. A tu jak na złość słychać głosy, by premiera Balcerowicza postawić przed Trybunałem Stanu. Ludzie, opamiętajcie się, człowiek stara się jak może, zdobyć najpierw ciut zaufania, potem przyczółek dobrej woli, wreszcie pierwsze szanice banków Genewy, Paryża czy Monachium, a wy go pod sąd? Z nadzieją, że do tego nie dojdzie i swój plan działania - jakikolwiek by nie był, zły czy dobry, lepszy czy gorszy od poprzednich – ale premier zrealizuje od początku do końca - siadam do mojego listu intencyjnego.

Intencje mam jak najlepsze, słowo daję. Życzę dobrze ekipie Mazowieckiego, życzę dobrze ekipie Gorbaczowa, Havla, wszystkim pozostałym. Jeszcze kilka dni temu życzyłem jak najgorzej pewnemu starszemu małżeństwu, ale dzisiaj to już nie jest aktualne. Intencje mam więc jak najlepsze. Mnie też się marzą pełne półki towarów z ceną bez sześciu zer, samochody za pensję, osiemnaście gatunków kielbasy świńskiej i siedem końskiej, mieszkania na które nie będzie chętnych i wolne soboty dla górników bez dramatycznych apeli do ich dojrzałości społecznej.

Tyle tytułem wstępu. W dalszej części mojego listu pragnę przedstawić szkic projektu pomysłu na plan etapowego działania... czy jak to się inaczej nazywa.

Po pierwsze. Od nowego roku skupię się tylko i wyłącznie na pracy w moim macierzystym zakładzie. Obiecuję wykorzystać każdą wolną chwilę, nawet czas wolny na drugie śniadanie. Koniec z kawą, herbatką i pogaduszkami przez telefon. Gazetę przeczytać mogę w autobusie, nawet wracając do domu. Koniec z prasówką w

pracy. Obliczam, że wygospodaruję w ten sposób jedną – słownie jedną – godzinę dziennie. W skali roku pozwoli to zwiększyć mój efektywny czas pracy o 15 dni, czyli dwa tygodnie.

Po drugie. Żadnych mało efektywnych chałtur, lewizn czy fuch. Rozdrabnianie się źle służy idei perfekcjonizmu. Nie oznacza to jednak, że w chwilach wolnych, po pracy – podkreślam po pracy, rezygnując z części czasu przysługującego mi na wypoczynek – że w takich właśnie chwilach zaniecham podejmowania jakiejkolwiek działalności mogącej wpłynąć dodatnio na stan mojego konta.

Po trzecie. W ramach podnoszenia kwalifikacji i własnych poszukiwań twórczych stawiam sobie za cel ukończenie w pierwszym kwartale przyszłego roku kursu kasjerów walutowych oraz kursu kroju i szycia. W perspektywie poważnych zmian, jakie mają być wprowadzone w naszej gospodarce, kwalifikacje te w połączeniu z umiejętnością maszynopisania oraz przewijania i karmienia niemowląt mogą okazać się bezcenne.

Po czwarte. Licząc się nawet z możliwością czasowego pozostawania bez pracy – jako świadomy obywatel gotów jestem na wszystko – rozpocznę w miesiącu styczniu cykliczne treningi pod hasłem „Bezrobotny”. Nadmieniam, że w ramach przygotowania do bezrobocia – zetknąłem się nawet przy stole z obywatelem Stanów Zjednoczonych, przebywającym okresowo w naszym kraju, a zatrudnionym w rodzinnym Chicago na etacie bezrobotnego właśnie. Wymianę doświadczeń z tymże obywatelem uważam za bardzo cenną. Widmo bezrobocia nie jest już dla mnie widmem, a bezrobotny wcale nie kojarzy mi się z trędowatym czy chorym na AIDS. To są normalni ludzie.

Po piątę. Korzystając z obowiązującego w naszym kraju ustawodawstwa prawnego oraz wzorując się na sukcesach niektórych prywatnych osób w działalności bankowej poczyniłem pierwsze kroki w celu założenia prywatnego banku. Mam już nawet pomysł na nazwę – Bezlitosna Kasa Oszczędności. Wypuściłem już także obligacje. Mały Drukarz mojego syna okazał się przy tym niezastąpiony. Wprawdzie sporo kosztował mnie papier, ale za to znak wodny zrobiłem sam. Metodę zastrzegłem w odpowiednim urzędzie. Trochę mi starszy pan referent nie dowierzał, że to takie proste, ale za dwie obligacje załatwił formalności w kwadrans. Pierw-

szego stycznia rozpoczną sprzedaż - nie powinno być z tym problemu, bowiem zainteresowani nadesłali już zapotrzebowanie opiewające na ponad 300 milionów złotych. Wartość jednej obligacji - 10 milionów.

Po szóste. Kolejne etapy mojego planu przewidują utworzenie Fundacji Szymańskiego, która zajmowałaby się promocją pionierskich opracowań menedżerskich, dalej - organizację prywatnej telewizji kablowej nastawionej na masowego odbiorcę, a także prywatnej szkoły dla przedszkolaków mających szczególne predyspozycje w takich dziedzinach, jak kłamstwo bez zmużenia oczu, wciskanie kitu, przelewanie z pustego w próżne, handel cudzą własnością, czy dyskutowanie o niczym.

W przyszłości placówka ta zyskałaby rangę Centrum Kształcenia Kadr Niepotrzebnych i w połączeniu z Ośrodkiem Urealniania Poglądów stanowiłaby Akademię Białostocką. Pewne sugestie co do kadry dydaktycznej placówki już mam - służę uprzejmie adresami, naturalnie - w miarę potrzeby i zainteresowania. Zaznaczę tylko na marginesie, że są to ludzie znani, cenieni, godni i silni, gdyż mają za sobą lata pracy przy niejednej ekipie.

Jeśli nakreślony tutaj - naturalnie w ogromnym skrócie, bez szczegółów i konkretów - program zyska akceptację, proszę o odeślanie podpisanego listu wraz z czekiem na ustaloną wcześniej sumę. Jej zagospodarowaniem zajmie się specjalny zespół złożony z wybitnych fachowców, specjalistów z zakresu ekonomii, prawa, socjologii i teorii planowania. Nad pracą zespołu czuwać będzie doradczy komitet, którego poczynania koordynował będę osobiście. Z poważaniem. Podpis. Data.

Złożyłem kartki, włożyłem do koperty i już miałem zaadresować, gdy ktoś zastukał do drzwi. Otworzyłem - przepraszam, że przeszkadzam - w drzwiach stanął sąsiad - chciałem tylko zapytać, bo byłem dziś w trzech biurach pisania podań i nikt mi nie pomógł?

- O co chodzi? - Głupia sprawa, taki list, intencjonalny, czy jak...?
- Intencyjny? - zapytałem - Tak właśnie, intencyjny! Mógłbyś mi coś takiego napisać?
- Czemu nie wchodzi?

Skończyliśmy grubo po północy. Nawet nie wypiliśmy butelki. Ale wzór mamy jak trzeba. Sąsiad rzuci go gdzieś na powielacz, a jutro otwieramy biuro. Na początek mamy trzy wersje w pięciu językach. Każdy od czegoś zaczyna.

Na marginesie

Nie ma dnia, by w którejkolwiek z polskich gazet nie ukazał się artykuł, felieton, czy nawet informacja dotycząca sytuacji na Litwie, a mówiąc precyzyjniej – sytuacji mieszkających tam Polaków.

Ostatnie – a właściwie przedostatnie wieści były bardzo radośne. Oto najpierw w Solecznikach, a później w Wilnie Rady Deputowanych Ludowych podjęły decyzję o utworzeniu rejonów autonomicznych – sołecznickiego oraz wileńskiego z wyłączeniem samego Wilna.

Po kilku dniach w prasie polskiej – między innymi w Gazecie Wyborczej – pojawiły się komentarze w rodzaju: zdrada Litwy, wołanie o pomoc Moskwy, itp. Był nawet list trzech członków Solidarności Rolników Indywidualnych, zamieszczony w Gazecie Wyborczej, a wyzywający Polaków mieszkających na Litwie od zdrajców, sprzedawczyków, sługusów moskiewskich, że wymienię tylko kilka epitetów.

Minęło kilka dni następnych – i oto z doniesień Polskiej Agencji Prasowej dowiedzieliśmy się, że uchwały podjęte przez Rady Deputowanych Ludowych w Solecznikach i Wilnie anulowało – uznając za nieważne i niebyte – Prezydium Rady Najwyższej Republiki.

W tak zwanym międzyczasie wybuchła afera związana z pobytami na Litwie senatora Rzeczypospolitej Zbigniewa Romaszewskiego. Pan senator udał się z oficjalną wizytą na zaproszenie Sajudisu – czyli Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy. Po powrocie z Litwy – dodajmy, że wizyta trwała ledwie dwa dni – senator Romaszewski udzielił wywiadu Maciejowi Morawskiemu z Radia Wolna Europa. Był to wywiad kuriozum. Dlaczego?

Po pierwsze – zdaniem senatora Romaszewskiego „Wilno jest starym litewskim miastem”

Po drugie – na Litwie nie ma Polaków, tylko – cytuję – „katolicka ludność białoruska i mniejszość oparta o wieś białoruską, która sobie wpisuje narodowość polską” – koniec cytatu.

Po trzecie – okres, kiedy Polacy mieszkający na Litwie oddawali za polskość i Polskę życie senator Romaszewski nazywa „emigracją lat 1939, 1941 i 1945”.

Oczywiście po ukazaniu się takiego wywiadu natychmiast pojawiły się w prasie liczne protesty – min. Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz kilkunastu wilniuków, spośród których większość doskonale pamięta lata 1939 – 1945. Niestety – nie spotkałem nigdzie ani słowa wyjaśnienia pióra pana senatora Romaszewskiego. Mówiąc inaczej – dostoyny senator nigdzie swoich słów nie odszczekał. A czy powinien? Osądźcie państwo sami. Czy wystarczą dwa dni by poznać i zrozumieć sytuację Polaków mieszkających na Litwie ? Piszę to nie bez przyczyny. Oto bowiem podczas mojego pobytu w Wilnie w marcu tego roku – sam czytałem w sajudisowskim „Atgimimasie” – czyli „Odrodzeniu” artykuły o spolonizowanych Białorusinach, o języku „tutejszym” itd. Pan senator Romaszewski operował terminami podobnymi. Nie sądzę – by nie znał historii.

Jest to – a właściwie była - druga poważna wpadka, jeśli takiej terminologii można używać, przedstawiciela polskiej opozycji wobec mieszkających na Litwie Polaków. Ofiarą pierwszej, której ci nie wybaczą chyba nigdy – był sam Lech Wałęsa, który w rozmowie z szefem Sajudisu – Vytautasem Landsbergisem – przeprowadzonej wiosną tego roku powiedział, że „język polski powinni Polacy na Litwie kultywować w domu i kościele”. Telewizja radziecka prezentowała te rozmowę kilkakrotnie, a wszystkie sajudisowskie gazety i gazetki drukowały kilkanaście razy. Oto mąż opatrnościowy narodu, przewodniczący Solidarności, odsyła Polaków – tępionych i uciskanych przez 40 lat stalinowskiego zamordyzmu – do kościoła i domu.

Rozmawiałem z moimi wileńskimi przyjaciółmi wielokrotnie o tej właśnie wypowiedzi. Opinia była jedna – pełna wyrzutu i goryczy – skoro tak mówi Lech Wałęsa, to co mamy do powiedzenia my... Trudno się z tym nie zgodzić.

Wielka szkoda, że tyle złej krwi w tej jakże wrażliwej tkance

polskiej mniejszości na Litwie robią sami Polacy. I to jeszcze kto. Trudno się dziwić, że nasi rodacy z rejonu Solecznik, Niemenczyna czy Wilna sięgają po argument ostateczny – tzn. po autonomię. Bo jest to naprawdę ostatnia broń. Oczywiście broń w pojęciu jak najbardziej pacyfistycznym. Niestety – i ten zryw został stłamszony jedną decyzją Rady Najwyższej Republiki. Rejonów autonomicznych więc nie ma. Pozostały rejon, gdzie 85% ludności to ludzie mówiący po polsku, uczęszczający do kościołów, w których msza odprawia się po polsku, uczących swoje dzieci po polsku. Tymczasem obowiązującym tam właśnie językiem jest litewski.

Wróć jeszcze do wspomnianego listu, jaki do Braci Polaków na Litwie skierowali działacze Solidarności Rolników Indywidualnych. Najpierw jego treść:

„Autonomiczne czy separatystyczne działania Polaków dzisiaj na Litwie to nie polskie, ale rosyjskie święto i polityczny sukces. Patrząc dalekowzrocznie to strata i zły kierunek dla wszystkich zainteresowanych stron. Dziel i rządź – daje chwilowe sukcesy, lecz na dalszą metę rodzi zatrute owoce. Jest dziś naszym obowiązkiem ostrzec Polaków na Litwie, by nie realizowali sprzecznych z ich własnym dobrem celów. Jeśli skorzystają z obcego, to jest rosyjskiego poparcia, aby umocnić chwilowo swą pozycję, to staną się tam elementem obcym i jako taki będą słusznie w przyszłości traktowani. Zdrada Litwy jest zdradą Polski. Podpisali – Tytus Czartoryski, Piotr Baumgart i Roman Bartoszcze”

Można by się zastanawiać – kto trzem panom z Solidarności Rolników Indywidualnych dał moralne prawo występować do Polaków na Litwie z takim listem. Można by zapytać - kto za tym stoi i komu zależy na dolewaniu oliwy do ognia. A może – to już moje prywatne domysły – któryś z autorów owego listu też przebywał ostatnio na Litwie na zaproszenie Sajudisu?

Mniejsza o oszczerczy ton tego listu, mniejsza o pomówienia o separatyzm, mniejsza wreszcie o dyletancką jego wymowę – ale pominąć nie można milczeniem zadufanej w sobie arogancji i bezczelności. Jakim prawem trzej panowie spod znaku Solidarności Rolniczej ostrzegają Polaków mieszkających na Litwie, skoro o sytuacji tychże wiedzą być może mniej, niż o sytuacji wielu rolników – członków ich właśnie związku. Ciekaw jestem, czy którykolwiek

spośród nich był choć raz w Wilnie, Niemenczynie czy Solecznikach.

To już nie jest polityczna głupota. To jest polityczna prowokacja. Tym bardziej bolesna, że chodzi o los kilkuset tysięcy rodaków zasiedziały na Litwie z dziada pradziada. A trzech przypadkowi działacze mają czelność pouczać tych, którzy przeżyli stalinowski terror i breżniewowską indoktrynację.

Pamiętam dobrze wileńskie wiosenne, a potem czerwcowe rozmowy. Długie wieczory spędzone na dyskusji o Polsce, o Solidarności, o pierestrojce, o Litwie. Pamiętam wielkie oczekiwania moich wileńskich przyjaciół związane z Okrągłym Stołem, z wyborami w Polsce, ze zmianami, jakie się u nas dokonywały. I nikt nie mówił wówczas o tym, że się Polska o rodaków na Litwie zamieszkałych upomni – nie, o tym nie mówił nikt. Wszyscy mówili jednak z nadzieją o tym, że się Polska w końcu ich losem i sytuacją zainteresuje.

Minęły miesiące – i co z tego wyszło? Jakie są te spodziewane owoce? Wywiad senatora Romaszewskiego dla Wolnej Europy i prowokacyjny, oszczerczy list braci rolników. Przepraszam – ale nic więcej. Smutne to, ale prawdziwe.

Zapyta ktoś w tym miejscu – dobrze, ale o co tym Polakom na Litwie chodzi?

„Tygodnik Powszechny” w numerze 39 z 24 września zamieścił rozmowę z Janem Sienkiewiczem – prezesem Związku Polaków na Litwie. Rozmowę pod jakże znaczącym tytułem – „*Nie szkodźcie nam*”. Jakże to wymowny tytuł – skoro nie chcecie, czy nie możecie nam pomóc – to przynajmniej nam nie szkodźcie. „*Chcemy przetrwać na Litwie jako Polacy – powiedział Jan Sienkiewicz – przetrwać jako odrębna grupa etniczna, kulturowa i językowa w składzie republiki litewskiej. Nie stawiamy sobie za cel przyłączenie Wileńszczyzny do Polski*”. A do tego potrzebny jest język, szkoły, biblioteki, polskojęzyczna prasa, kluby i domy kultury. Tymczasem z ponad 260 szkół polskich jakie istniały i działały na Wileńszczyźnie w latach 50-tych - pozostało niespełna 90. W zakładach pracy, urzędach, w sklepie i na poczcie obowiązuje język litewski. Egzaminy do szkół i na wyższe uczelnie odbywają się w języku litewskim.

I jeszcze jedno zdanie z wypowiedzi Jana Sienkiewicza: „*Wiążemy duże nadzieje z nowym Sejmem i Senatem. Jeśli nie otrzymamy poparcia – a nie mam na myśli polskich ksiązek, wizyt u nas czy brania naszych dzieci na studia – to będzie równoznaczne ze skazaniem nas na powolną zagładę*”.

A pan senator Romaszewski – senator polskiego Senatu – mówi w Wolnej Europie o katolickiej mniejszości białoruskiej. Polaków na Wileńszczyźnie, a ocalało ich ponad 300 tysięcy, nie można nie zauważyć. Nie można ich pozostawić samym sobie. Musi to zrozumieć nowy polski rząd. Powinni to zrozumieć działacze Solidarności, którzy na razie bliżsi są nacjonalistycznemu Sajudisowi, niż rodakom znad Wilii. Muszą to zrozumieć wszyscy ci, którzy myślą o Polsce wolnej, niepodległej, suwerennej, o Polsce wszystkich Polaków – także tych znad Wilii i Wilejki.

Zapatrzeni z wyciągniętą dłonią w stronę Polonii amerykańskiej, kanadyjskiej czy australijskiej nie możemy nie zauważyć wyciągniętych w naszą stronę obu dłoni Polaków mieszkających na Litwie. A nie są to dłonie żebrzące pieniędzy. One proszą o coś zupełnie innego. Szkoda, że nie wszyscy potrafimy to zrozumieć.

Nowe i stare

Nie ma co ukrywać – przyszło nam żyć w ciekawych czasach. Powtarzamy tę formułkę od lat prawie pięćdziesięciu i nie było chyba w historii Polski powojennej roku, o którym rzecz by można, że był nieciekawym. Ja oczywiście pamiętać nie mogę lat 40 – tych czy 50 – tych, ale 70 – te już pamiętam, nie mówiąc o 80 – tych. Może nam będą przyszłe pokolenia zazdrościć, może współczuć. Fakt pozostaje faktem – historyczne to dla ojczyzny i jej mieszkańców czasy.

Zazdrościć nam będą potomkowie entuzjazmu i energii, z jaką nasi ojcowie odbudowywali kraj tuż po wojnie, współczuć powinni tego, co było potem. Będą z nas dumni za Październik, wstydić się będą za Grudzień 81 – szego.

Spirala historii, dualizm skrajności. Wymyślił to dawno temu włoski filozof Giambattista Vico. Tak sobie wykombinował po wielu latach żmudnych dociekań i przemyśleń, że epoki historyczne, pewne okresy, a nawet niektóre wydarzenia powtarzają się co jakiś czas, tylko na innym, wyższym poziomie. Stąd porównanie do spirali.

Miał wielu zwolenników, ale i mnóstwo krytyków. Została po nim jego teoria; którą czas historyczny potwierdza. Czy w tej spirali powtórzy się kiedyś w jakikolwiek sposób polski rok 1989. Od marca do sierpnia. Od okrągłego stołu do wyboru premiera Mazowieckiego? A jeśli tak – to co będzie dalej. Ponoć zapisane jest to w gwiazdach. Czy zapisana tam była także gospodarcza klęska Polski? Czy jeszcze kiedyś, nie wiem za ile lat, przeciętny Polak czy przeciętna Polka będzie z takim niepokojem wychodzić po zakupy, czekać na rentę czy emeryturę? Jeśli to jest gdzieś zapisane w gwiazdach – to proszę mnie stamtąd wykreślić. Ja bardzo bym chciał sam o swoim jutrze decydować. Może gdyby było to możli-

we – zebrałbym kilkaset zielonych i spłacił moją część długu? Tylko po co? A może po to, by móc z czystym sumieniem i czystym kontem powiedzieć wszystkim - ja jestem w porządku? Ale po co? Dla czystego sumienia? W czasach urynkowania gospodarki moje czyste sumienie psu na budę potrzebne. Nie dla czystych to sumień czasy, nie dla czystych rąk. I nie idzie mi wcale o salmonellę, czy inne pałeczki. Idzie o szmal, mówiąc delikatniej – o pieniądź, który niestety, ale wyznacza rytm, tempo i sens życia codziennego. Jak przeżyć do pierwszego. Skąd wziąć, gdzie dorobić. Gdybyż ten złoty cielec był chociaż wart swojej nazwy. Dziś ma on tyle wspólnego ze złotem, ile wspólnego ma połędwica sopocka za 32 tysiące kilogram z rentą mojego sąsiada, któremu listonosz przynosi 49 tysięcy miesięcznie.

Złoty polski. Bardziej zielony, niż złoty. A najbardziej szary, zwykły, byle jaki. Może by zmienić nazwę polskiego pieniądza na przykład na... sam nie wiem na jaką. A może niech zostanie jako relikwient czasów świetności Rzeczypospolitej, pamiątka czasów nie kryzysowych, ślad dawnej potęgi. Trochę tych śladów mamy. Wróci nam korona nad orłem, może dawna nazwa. Sentymentalni jesteśmy, choroba, strasznie sentymentalni. Za to nas nie lubię.

Ślady przeszłości. Pamiątki czasów minionych – nie mniej ciekawych, nie bardziej bogatych. Wracamy do nich po latach przymusowego milczenia, pozornego zapomnienia, po latach zastraszania. Nareszcie, bo ileż można zabraniać narodowi tego, bez czego nie może przetrwać – pamięci, tradycji, prawdy.

Wojna 1920 roku, pakt Ribbentrop – Mołotow, obrona Lwowa i Grodna, Katyń, Kalety – to tylko słowa, właściwie nazwy – klucze. Wydobyte po latach na pierwsze strony gazet, wyartykułowane w głośnikach radiowych i telewizyjnych. Brudne opatrunki ideologii zerwać trzeba ze wszystkich takich ran. Będą się goiły szybciej, łatwiej, lepiej i trwalej się zabliznią.

Tylko – na litość boską – z rozwagą i umiarem, bez przesady, bez przeginania pały w drugą stronę. Boje się, że właśnie do tego zmierzamy.

Kilka miesięcy temu spółdzielnia mieszkaniowa Słoneczny Stok ogłosiła konkurs na nazwę nowego osiedla. Było wiele, różnych – a to osiedle imienia Sikorskiego, a to imienia Gomułki, a to

Armii Krajowej, czy 40-lecia PRL. Zwyciężył na szczęście zdrowy rozsądek i wybrano nazwę Leśna Dolina. I poetycko, i pięknie i adekwatnie do położenia osiedla. Autor nazwy otrzymał nagrodę, a budowlani przystąpili do roboty. Zanim się pojawiły pierwsze bloki trzeba było nazwać przyszłe ulice. Zaproponowano – skoro Leśna Dolina – nazwy podobne i pokrewne w treści – a więc ulicę Siedmiu Krasnoludków, plac Papy Smurfa, skwer Czerwonego Kapturka, ulice – Pszczółki Maji, Gucia, Śpiocha, Kaczora Donalda i Myszki Miki. Projekt wydawał się być wspaniały. Bo któż z nas nie chciałby mieszkać na ulicy Jasia i Małgosi czy przy placu Kota w Butach.

Niestety – skutek działania różnych sił politycznych mniej lub bardziej zakamuflowanych klik przeciwników bajek – propozycja nie została przyjęta. Na osiedlu Leśna Dolina będą ulice – Armii Krajowej, Szarych Szeregów, Aleja Niepodległości i podobne. Szkoda.

A przecież na osiedlu administrowanym przez tę właśnie spółdzielnię jest kilkanaście innych ulic, posiadających już nazwy, których to osiedli mieszkańcy domagają się zmiany tychże nazw. Bez skutku. Nie pogniewali by się mieszkający przy ulicy Łaszewicza ludzie, gdyby na kopertach pisali – ulica Armii Krajowej, czy Szarych Szeregów zamiast Władysława Pragi. A niechby na Leśnej Dolinie dzieci cieszyły się, że mogą mieszkać przy ulicy Gargameła, a nie Powstańców 1863 roku.

Znaj proporcje – mocium panie. Nowe – nowym, ale bez przesadyzmu i przeginactwa. W takich na przykład Suwałkach dwie szkoły kłóciły się o imię Józefa Piłsudskiego. Jeśli tak dalej pójdzie – co druga szkoła szczyć się będzie imieniem Marszałka, a co trzecie przedszkole nosić będzie imię generała Sikorskiego.

W Białymstoku na przykład krąży plotka, że plac przed Komitetem Wojewódzkim Partii nosić będzie imię wspomnianego wyżej Józefa Piłsudskiego. Tymczasem do Komisji Nazewnictwa Ulic Miejskiej Rady Narodowej nie wpłynął żaden wniosek o taką zmianę. Doświadczenie uczy jednak, że w każdej plotce jest jeśli nie ziarno, to załączek prawdy – proponuję więc – poczekajmy. Skoro mówimy już o tej części miasta – to inna plotka głosi, że budynek Komitetu Wojewódzkiego Partii ma być... ech, przestańmy

plotkować. Jest w Białymstoku kilka placów, którym można od jutra nadać nowe nazwy, jest parę ulic – którym warto stare nazwy wrócić. Na wieżowcu przy Dzierżyńskiego 9 – ktoś skreślił obowiązującą nazwę ulicy, a wielkimi literami wypisał czarną farbą – Legionowa 9. Proszę mnie przekonać, że dokonanie zmiany formalnej jest niemożliwe. Nie ma rzeczy niemożliwych. I dlatego całkiem możliwe jest, że na białostockich Plantach – za rok, dwa czy pięć – na fontannę, dorodne tuje i tłumy białostoczan zamiast dziarskiego żołnierza Armii Czerwonej spoglądać będzie z pomnika Marszałek Józef Piłsudski. Może i na to przyjdzie czas. Powoli, bez pośpiechu i bylejakości. Bez przesady.

Może najpierw zadbać trzeba o to, co już jest. Wywabianie białych plam w dziejach stosunków polsko – radzieckich przyniosło wzrost zainteresowania historią Litwy, Wileńszczyzny, samego Wilna. Odbywają się konferencje naukowe, w te i z powrotem kursują regularnie nie tylko handlarze, ale i oficjalne delegacje.

A czy ktoś z państwa wie – gdzie jest w Białymstoku ulica Wileńska? Mało tego – czy ktoś z państwa wiedział w jakim stanie się znajduje. Na dobrą sprawę – trudno to nazwać ulicą. Mała rzecz a smuci. Życie także składa się z małych spraw. Nowe w Polsce to nie tylko nowy rząd, nowa telewizja i radio, to nie tylko nowe ceny chleba i mięsa. To nowe także sprawy drobne, z pozoru niewiele znaczące. To sprawy, których nie załatwi premier Mazowiecki, bo o nich niewiele wie. Takie małe sprawy powinniśmy załatwiać my wszyscy, na co dzień – i od ręki. Po nowemu. Takie małe nowe każdy z nas powinien odnaleźć w sobie. Jeżeli oczywiście chce. I jeżeli wierzy w sens i powodzenie tego wszystkiego, co się w Polsce końca 1989 roku dzieje. Ja w to wierzę. Nawet jeśli masło kosztuje 4 tysiące za kostkę.

Zamienił stryjek

Dawno, dawno temu, kiedy nie było telewizji, radia i sputników – jednym ze sposobów poznania świata były podróże. Wyruszyli więc co zamożniejsi obywatele, a to do Włoch, a to do Francji, później w modzie była Rosja, że nie wspomnę już o starożytnej Grecji. Owocem tych podróży były najrozmaitsze dzienniki, wspomnienia, zapiski i pamiętniki, których prawdziwy wysyp nastąpił w wieku XVIII i XIX.

Przynosiły też owe peregrynacje i inny efekt. Średniozamożny szlachcic z małopolski słuchał z otwartymi ustami sejmikowej przemowy swojego, znacznie bogatszego sąsiada, który powrócił był właśnie z Francji przywiózłszy co nie miara politycznych nowinek i ciekawostek. Słuchał, słuchał i też chciałby coś w swojej zagrodzie zmienić. A wieści z XVIII-to czy XIX-to wiecznej Europy były bardzo ciekawe.

Dziś mamy międzykontynentalną łączność telefoniczną, satelitarną telewizję, telefaksy, no i telewizję, która każdego dnia przynosi prawdziwą lawinę informacji. A mimo to ludzie podróżować nie przestali.

Jakby nie wierzyli polskiej telewizji, że w Ameryce Północnej, Stanach Zjednoczonych na przykład, w takim Chicago czy New York, biją murzynów i jest powszechne bezrobocie. Jakby nie wierzyli, że ludzie uwielbiają spać tam na ulicach, trawnikach i że przydałaby się im nowa dostawa polskich śpiworów z fabryki byłego rzecznika prasowego. Nie wierzą – pchają się drzwiami i oknami do tej Ameryki, żeby sprawdzić.

Weźmy takie na przykład Węgry. Telewizja prezesa Drawicza informuje przecież szczegółowo i dokładnie o wszystkim, co się dzieje. Był więc najpierw węgierski okrągły stół, później zjazd węgierskiej partii, potem obrady parlamentu. Pokazano w dzienniku

chyba ze trzy razy proklamowanie Republiki Węgierskiej, ba – nawet moment wygaszenia wielkiej Czerwonej Gwiazdy na budynku tamtejszego parlamentu. Reporter dziennika tam był, opowiedział dokładnie i szczerze, jakby na spowiedzi u generała Kiszczaka, a ludzie nie wierzą. Poważnie nie wierzą – i koniec. Wszyscy chcą sprawdzić osobiście. Pchają się do każdego pociągu, który jedzie na Węgry. Ekspres Batory to już ledwie zipie – a jeździć musi. Tak się Polacy chcą węgierskiej pierestrojce przyjrzeć. Niewierny naród.

Chociaż tak prawdę powiedziawszy, to znam naród jeszcze bardziej niewierny. I to niewierny potrójnie. Naprawdę. Wali do nas czym się tylko da – pociągami, własnymi samochodami, nawet autobusami. Na przejściach granicznych tłok, choć i tak – dzięki tabliczce SU – ma pierwszeństwo. Gdyby tak kiedy policzyć, ile na przykład samochodów z radziecką rejestracją jeździ w ciągu jednego dnia po białostockich ulicach – okazałoby się, że co czwarta rodzina podejmuje gości zza Bugu. A kiedy już goście – wzorem Polaków odwiedzających Grodno czy Mińsk – dokonają spustoszenia w sklepach, sadza się ich przed telewizorem. Wszak po to przyjechali, niewierni. Przyjechali sprawdzić, czy rzeczywiście jest w Polsce tak źle, jak to pokazuje telewizja radziecka. Siedzą więc, słuchają, degustują szklaneczkami wyroby polskiego monopolu spirytusowego, patrzą w ekran – i okazuje się, że u nas, w Polsce, nie jest tak źle. A kiedy jeszcze trafi im się być w którymś z mieszkań na Słonecznym Stoku czy Dziesięcinach – i mogą obejrzeć co nie co telewizji z satelity – szok jest absolutny. Pierwszy mit zostaje więc po dwóch dniach obalony – nie ma w Polsce głodu, do władzy nie doszli ekstremiści, fabryk i zakładów przemysłowych nie wykupiły Icki z Wall Street.

Zaskoczony byłem wielce, kiedy moi goście z dalekiej Ukrainy przez następne dwa dni gapili się w ekran mojego Horyzonta łowiąc okiem i uchem wszelkie informacje o sytuacji w ich wielkiej ojczyźnie. Oglądając relację z Kuzbasu, Donbasu, czy dalekiego Władywostoku nie odzywali się, kiwając smutno głowami.

Okazało się, że weryfikują drugi mit – czy nasza telewizja jest obiektywna w pokazywaniu relacji z wydarzeń, które miały miejsce u nich. A kiedy im powiedziałem, że Telewizja Polska przekazuje tylko materiały otrzymane z Telewizji Radzieckiej – musiałem włą-

czyć kanał rosyjskojęzyczny. I to był dopiero strzał. Przez resztę wieczoru prawie się nie odzywali. Zapomnieli o wyrobach polskiego monopolu spirytusowego, o przetworach domowego monopolu mięsnego, ba – zapomnieli o bożym świecie. A tu jak na złość magazyn informacyjny „WREMIA”, później rewelacyjny program „Spojrzenie”. Przesiedziałem trzy godziny jak manekin. Kiedy już ochłonęli zapytałem: – więc przyjechaliście, by sprawdzić czy wasz program telewizyjny jest taki sam u was i u nas? Wybuchnęli śmiechem. Ale był to dziwny śmiech. Śmiech niewiernego Tomasza.

Jak to dobrze, pomyślałem sobie, że nasza telewizja wyszła z tej konfrontacji obronną ręką. Panie prezesie Drawicz, jestem z pana dumny. Jako obywatel wolnego, suwerennego i demokratycznego kraju przemian i przeobrażeń. I aż lżej mi się zrobiło na duszy. Są więc narody jeszcze bardziej niewierne niż Polacy. Ale czy my naprawdę musimy osobiście sprawdzać wszystkie telewizyjne informacje. W którymś z dzienników radiowych pódano, że w Istambule ma być otwarty nowy, wielki do towarowy. I w ciągu tygodnia we wszystkich biurach podróży wykupione zostały do ostatniego miejsca wycieczki do Istambułu. Ludzie, czy to koniecznie trzeba sprawdzić osobiście?

Czy gdyby Gazeta Wyborcza napisała, że były rzecznik rządu otworzył w Szwajcarii sklep z maskotkami – też by tłumy po te „Urbanki” jechały?

Albo do Ameryki – do piekarni pana Krasińskiego – po chrupkie bułeczki no – te, z którymi mu w kraju nie wyszło – też by się cała Polska pchała.

Dziwi mnie, że tak mało rodaków uczestniczy w znacznie ważniejszych wydarzeniach. Dlaczego tylko grupka Polaków brała udział w obchodach święta narodowego Czechosłowacji, w sobotę 28 października w Pradze? A przecież można było jechać bez zaproszenia.

Kiedy na Placu Waclawa kończyła się parada w najlepszym stylu lat pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych, ja siedziałem wśród kilku rodaków w starej piwiarni pachnącej pleśnią i historią, w zapomnianej osadzie na skrzyżowaniu czterech ważnych szlaków komunikacyjnych, gdzieś na Morawach, prawie sto kilometrów od Berna.

Kończyliśmy właśnie kolejny kufel wspaniałego, chłodnego piwa z wiekowego browaru w Wielkich Popowicach, kelner przyniósł po ogromnym schabowym, było sentymentalnie i swojsko. Do „Zamkowej” – bo tak nazywała się owa piwiarnia schodzili się właśnie okoliczni gospodarze, robotnicy z pobliskiej kopalni uranu, trafił się nawet jakiś facet o wyglądzie prowincjonalnego nauczyciela. Po kilku minutach, jak się okazało, niezbędnych dla przepłukania gardeł po całym świątecznym dniu, znad długiego stołu, przy którym zaległa większość tubylców, popłynął chóralny śpiew. Z początku nieśmiały, podlany jednym czy dwoma kufelkami, ale po pewnym czasie mocny, zgodny, doniosły – bo wielkopopowickie piwo wspaniale wpływa na barwę głosu.

I wtedy to przysiadł się do naszego stolika starszy już mężczyzna. Musiał słyszeć, że mówimy po polsku, bo ledwie usiadł, rzucił zagadkowe: - tak, co – zamienił stryjek siekierkę na kijek?

Zaskoczył nas zupełnie. Jaka siekierka, jaki kijek? Po godzinie wszystko było jasne. Że niby to, co się w Polsce dzieje, to taka właśnie zamiana. Że było i żyło się nam dobrze, a teraz trudno co do garnka włożyć. Że się wszystko odmieni, jak się Gorbaczow weźmie za republiki nadbałtyckie, że oni – niby Czesi i Słowacy – na czołgach do nas nie pojadą, choćby im nie wiadomo kto kazał. Pytamy – skąd tak dobrze zna sytuację w Polsce. – jak to skąd, przecież czeska telewizja jest najlepsza w całej Europie Wschodniej. Na szczęście zdążyliśmy odstawić kufle, bo nie wiem czy w spazmie śmiechu coś by się w nich ostało.

- Tylko nie mówcie – ciągnął dalej sympatyczny starszy pan – że nie chcielibyście się zmienić na to, co jest u nas?

Choroba, pomyślałem, sącząc powoli złocisty płyn, kto wie. Powrócił przed oczy obraz wspaniałe zaopatrzonych sklepów spożywczych, znakomicie - mięsnych, takiego sklepu rybnego – jak w Brnie – nie widziałem nigdzie w Polsce, warzywniaki z bananami i pomarańczami, rewelacyjne sklepy z butami, że już nie wspomnę o piwie. Ale akurat w tym właśnie momencie opróżniłem kufel do dna, odstawiłem i powiedziałem: - Nie, nikt z nas nie zamieniłby się z wami na pewno. Już mu nie mówiłem – dlaczego. Pokazałem głową samotnego mężczyznę w czarnym płaszczu siedzącego dwa stoliki dalej, ogromny portret Lenina na głównej ścianie piwiarni i

trzech milicjantów, którzy po raz kolejny weszli na salę rozglądając się dookoła – my to już mamy za sobą – powiedziałem.

Zamówiliśmy kolejne kufelki. Znad długiego stołu znów popłynęła skoczna pieśń. Upłynął może kwadrans. Już mieliśmy wychodzić, kiedy na sali zrobiło się cicho. Kelner podkręcił głośniej radio. Spiker czytał coś szybko, kilkakrotnie powtarzając Praga i Brno, kilkunastokrotnie „socjalistyczny”. Wszyscy słuchali. Trwało to może 5, może 10 minut. Potem znów ktoś zaczął śpiewać. Nasz nieznamy siedział bez ruchu. Co to było, zapytałem – w Pradze i Brnie siły antysocjalistyczne wywołały dziś antypaństwowe demonstracje. Było trochę rannych ludzi – odpowiedział – przyjacielu i ty w to wierzysz, w te antysocjalistyczne tłumy liczone w dziesiątkach tysięcy – zapytałem znów. Nie – odpowiedział. Opróżnił kufel i wyszedł nie pożegnawszy się nawet.

Zamienił stryjek – rzucił któryś z moich współpiwoszy. Mnie zaś przypomniał się Gdańsk, Radom, Ursus. Ile wody musiało upłynąć w Wiśle do sierpnia tego roku. Ile wody upłynie w Wełtawie, ile w Łabie, ile w Wołdze?

Ile potrzeba jeszcze manifestacji, wieców, protestów – w Dreźnie, w Berlinie, w Pradze i Brnie, w Bukareszcie, Tallinie i Lwowie. Jak długa jest to droga zrozumiałem podziwiając ogromną czerwoną gwiazdę na reprezentacyjnym hotelu w Ołomuńcu. I kilka dni później – oglądając zdjęcia z wydarzeń tamtej sobotniej nocy na Placu Waclawa w Pradze.

Pilem przez kilka dni najlepsze piwo w Europie, chodziłem po sklepach na miarę Europy, ale nie zamieniłbym na nie naszych podłych Złotych Dojlid, ani pustych półek w Promyku. Nie wierzy mi pan? – proszę sprawdzić. Ekspres Silesia odjeżdża codziennie, z Warszawy Wschodniej, o 18:30.

Ku świtom wolności

Kartka w kalendarzu jest dziś w kolorze powszednim – jak pięć pozostałych dni tygodnia. Czarna. Na szczęście na odwrócie kilkanaście zdań o odzyskaniu przez Polskę Niepodległości. Trochę mnie to rankiem zasmuciło – takie święto, a tu kolor czarny. Któż jednak z autorów ściennego kalendarza na rok 1989 mógł przewidzieć, że po raz pierwszy w historii powojennej Polski dzień 11 listopada będzie dniem wolnym od pracy, dniem świątecznym nie tylko w katedrach, kościołach i na cmentarzach. Czy mógł to przewidzieć ktoś - kto decydował o dopuszczeniu kalendarza do druku? Nie – bo nie przeszło mu nawet przez myśl, że będzie polski czerwiec, potem sierpień Mazowieckiego, że 71 rocznicę odzyskania niepodległości świętować będziemy w innych warunkach politycznych. Nie powiedziałem – w innym kraju, bo kraj jest ten sam, ci sami są ludzie, tylko realia się zmieniły. Historia raz jeszcze dowiodła - że jeśli o nią chodzi nigdy nie wolno czegokolwiek przewidywać.

Spojrzałem więc dziś rano na tą czarną świąteczną kartkę w kalendarzu i pomyślałem sobie: - czy też wydawcy kalendarza przyszłorocznego potraktują ten dzień inaczej? Bo jeśli produkcja już ruszyła, mamy wszak pierwszą dekadę listopada, to trudno ją będzie zatrzymać.

Cóż jednak kartka kalendarza. Ważniejsza wszak stokrotnie jest data. 11 dzień listopada. Do niedawna czczono ją w konspiracyjnych wręcz warunkach. Pod czujnym okiem szaroczarnych panów ze Służby Bezpieczeństwa, niejednokrotnie pod strażą gumowej pałki, miast przy ołtarzu – w mroku śmierdzącej celi przez 48 godzin. A jednak mimo to ognie na mogiłach żołnierzy tamtych lat tego listopadowego wieczora zawsze płonęły, a jednak słowa historycznej prawdy zapadły w serce i umysły, a jednak... Winniśmy

dziś choćby skromne Zdrowaś Mario zmówić za tych wszystkich, którzy przez lata nie bali się głosić prawdy. Więcej, winniśmy to także tym, którzy przez te wszystkie lata głośno domagali się tej prawdy. Ich trud nie poszedł na marne. Może znajdą następców, którzy głośno upomną się o to, by dniem Święta Narodowego Polski był 11 listopada, nie – jak przez ponad 40 lat – 22 lipca.

W dziejach narodu są daty jak kamienie milowe. Ważne dla losów wielu pokoleń. Dat tych nie można wartościować, przynajmniej – nie należy. Zastanówmy się jednak przez moment, czy tamten dzień sprzed 71 lat, ten pierwszy po 123 latach niewoli dzień wolności porównać można z datą 22 lipca. Czy w ogóle można zestawić obok siebie te dwie daty? Czy w ogóle jakąkolwiek datę w historii Polski odrodzonej można porównywać z 11 listopada?

Przekonanie o tym, że nie można – pozwala mieć nadzieję, że w przyszłym roku święto odrodzenia Polski obchodzić będziemy w niedzielę, 11 listopada. Kartka w kalendarzu powinna być więc świąteczna podwójnie – z okazji święta i z racji niedzieli. Jakby historia chciała nam wynagrodzić tę dzisiejszą, czarną, byle jaką, oby – po raz ostatni. W taki dzień, jak dziś, lubię przeglądać stare gazety. Jakże inaczej pisano wtedy o rocznicy odzyskania niepodległości. Z jakim patosem, z jaką radością.

Mam przed sobą rocznik tygodnika „Na szerokim świecie” z roku 1928. W numerze datowanym 11 listopada / akurat była to niedziela/ wspomnieniowy artykuł zatytułowano „Zmartwychwstanie”. Czytamy w nim m.in.:

„Polska leżała, prawie bezpańska, niczyja, rozorana pługiem wojny, bez granic. Tylko naród polski na niej, odetchnąwszy po dopiero co skruszonych jarzmach najeźdźców, przeżył pierś, by wydać z niej okrzyk wolności i przeżył członki, by zrzucić z siebie resztki oków niewoli. Wśród burzy rozszalalej nad światem, wśród grzmotów i błysków, wśród huku walących się trzonów, gromadziły się wszystkie siły narodu polskiego dotąd nurtujące w różnych korytach aby zestrzelić się i zlać w jedno łóżysko potężnego prądu, rwącego ku wolności”

Co za język, jaka metaforyka, ile sugestywności i obrazowości. Do tego jeszcze nagłówki gazet z tytułami „Poznańskie w rękach polskich”, „Rząd Narodowy w Warszawie”, „Dzień Wyzwolenia”

czy „W odzyskanym Lwowie”.

Przeglądam dalej ów 9 – ty numer „Kuriera tygodniowego w obrazach i słowie dla miast i wsi” – bo tak się ów tygodnik dokładnie nazywał. 10 rocznicy odzyskania niepodległości poświęcono jeszcze jedną kolumnę. Opatrzył ją dyżurny redaktor graficzny tytułem „Polska Zjednoczona”. Jest to zestaw 16 fotografii prezentujących niepodległą Rzeczpospolitą. Jest zatem na samej górze zdjęcie linii kolejowej na półwyspie helskim, zbudowanej już przez rząd polski. Jest fotografia pokazująca nocną panoramę Wilna. Dalej – widok Tumu i pałacu arcybiskupiego w Poznaniu, kolejne zdjęcia ukazują poznański ratusz, krakowskie sukiennice, kominy śląskich fabryk i kopalń, kolumnę Zygmunta i pałac królewski w Warszawie, jest zdjęcie wodospadów u źródeł Wisły, pomnika Mickiewicza w Warszawie, jest fotografia prezentująca fasadę Teatru Polskiego w Warszawie, jest i na zdjęciu stary Krzemieniec z górą Królowej Bony, są Tatry, jest jakby pocztówka ze Lwowa – ukazująca ulice Akademicką, jest też zdjęcie prezentujące Lwów z lotu ptaka i dwa ostatnie fotogramy – rynek starego miasta w Warszawie i katedra Wawelska.

Dobra, pomysłowa, dziennikarska robota. Na jednej kolumnie gazety ileż historii, tradycji, ile polskości, patriotyzmu. Myślę, że niejeden z ówczesnych czytelników „Na szerokim świecie” – z Warszawy, Krakowa, Lwowa. Poznania czy Wilna – patrząc na te fotografie uroni jedną może dwie lub więcej łez. Powiecie państwo – sentymentalizm. Może i tak, a ja mimo wszystko w taki właśnie rocznicowy dzień jak ten – 11 listopada – lubię zajrzeć do starych gazet. Oczywiście – szukanie czegokolwiek na ten temat w prasie z lat 1945 – 1956 nie ma najmniejszego sensu. Podobnie jak w prasie lat 70 – tych.

Na szczęście mamy inne czasy, inną prasę. W ostatnich numerach tygodników – od Polityki po Solidarność i Tygodnik Powszechny – wiele interesujących materiałów związanych z tą rocznicą. Wiele publikacji mogło ukazać się dopiero teraz. Chwała Bogu. I nie tylko jemu. Lepiej późno, niż wcale. Czytamy zatem mniej lub bardziej udane eseje, wywiady, analizy historyczne. O okolicznościach 11 listopada, o czynnikach zewnętrznych, o Piłsudskim, bez którego nie wiadomo, co by się stało, o Paderewskim. Czytaj-

my – jest okazja podreperować stan wiedzy o tamtych dniach. I nie tylko, o dniach je poprzedzających również.

W tych samych tygodnikach czytamy kolejne relacje z NRD, Czechosłowacji, z Litwy, Estonii, Ukrainy.

Jedni uciekają, inni na razie protestują, jeszcze inni przeciwnie – nie dadzą się z rodzinnej ziemi ruszyć nawet za cenę życia. Wszystkimi – i młodymi ludźmi z Drezna czy Berlina, szukającymi życiowej szansy w Hesji czy Bawarii, i młodymi Czechami krzyczącymi „uwolnić Havela” czy „chcemy demokracji”, i Ukraińcami czy Litwinami wołającymi o suwerenność i sprawiedliwość – kieruje jedno – potrzeba wolności.

Jest w każdym człowieku, każdej narodowości i każdego wyznania. Różnie się tylko objawia. Różnej postawy domaga się od człowieka w życiu. Potrzeba wolności jest jak potrzeba wody i powietrza. Jak potrzeba prawdy.

Czy właśnie dziś – w ten sobotni poranek 11 listopada – łatwiej nam, Polakom, zrozumieć młodego Niemca z plecakiem szukającego innego życia wśród bawarskich rówieśników, czy łatwiej nam zrozumieć młodego Czecha, którego trzech milicjantów okłada pałami za wzniesienie do góry solidarnościowego „króliczka”, czy łatwiej nam zrozumieć młodego Litwina, który nie chce służyć w wojsku poza granicami republiki?

Czy łatwiej nam to zrozumieć właśnie dziś – w listopadzie naszego, polskiego 1989 roku.

Będzie to niezwykle dzień. W całym kraju zapowiedziano wiele rocznicowych uroczystości. Będą msze za Ojczyznę, apele poległych, uroczyste capstrzyki i honorowe warty. Odbędą się koncerty, wieczory poezji, a nawet uliczne biegi niepodległości. Na ulicach miast pojawiły się okolicznościowe plakaty i afisze. W kłapach Ludzi – okazjonalne znaczki, plakietki i naszywki. Niestety – w wielu przypadkach taki znaczek jest: zupełnym nieporozumieniem. Oto zagorzały komunista, człowiek którego myśli i poglądy wyznaczały przez kilkanaście ostatnich lat Trybuna Ludu i Dziennik Telewizyjny – błyska mi teraz przed nosem solidarnościową plakietką z marszałkiem Piłsudskim i napisem „Niepodległość”, zapraszając na wieczornicę pamięci żołnierzy POW. Przyjdź, stary, robimy kapitalną imprezę.

Boże chroń mnie przed imprezami organizowanymi przez takich ludzi. Boże – chroń nasze polskie przemiany przed takimi ludźmi.

Po raz pierwszy chyba od czasów II Rzeczypospolitej dzień 11 listopada obchodzić będziemy tak – jak na to zasługuje. Otwarcie, radośnie, legalnie, szumnie i z fanfarami. Nie bez przyczyny. Jest w tej dzisiejszej - 71 już rocznicy – coś z atmosfery tamtego listopada. Wówczas Polska odzyskiwała wolność i niepodległość. Dziś odzyskuje suwerenność. Tamten listopad był ukoronowaniem lat starań i zabiegań. Ten listopad etap walki o nowy kształt Polski otwiera.

Czas bardzo podobny. Jeśli uda nam się to zrozumieć – ten dzisiejszy, 11 dzień listopada, nie będzie tylko kolejną rocznicą. Stanie się czymś więcej. Oby tak było. Tego i wszystkim państwu, i sobie, gorąco i szczerze życzę.

Wietrzenie Europy

Kiedy nazbiera nam się w mieszkaniu trochę niedobrych zapaszków, a to kolega zapomni zmienić skarpetki, a to sąsiadka akurat smaży rybę i wpadła po szklankę mąki, a to coś się na kuchni przypali, czy w ogóle – powietrze w domu jakby nieświeże, co wówczas robimy? Wiadomo, trzeba chatkę przewietrzyć. Otwieramy okna na oścież, balkon, wszystkie drzwi – i najlepiej by było gdybyśmy wówczas wyszli z domu. Natura zatroszczy się o wszystko. Jeśli wyjść nie możemy, chowamy się gdzieś w domowym zaułku i cierpliwie czekamy, unikając przeciągu, bo licho wie, ani się człowiek obejrzy, już go jakiś cug czy inny diabeł chwyci.

Przyznajcie państwo sami – przyjemnie jest usiąść przy herbatce w przewietrzonym pokoju, poczytać, podumać. I tak póki znów się niedobrych zapaszków nie nazbiera.

Wietrzenie mieszkania ważne jest nie tylko z powodu naszego nosa, ale z wielu innych powodów także. Generalnie rzecz można – im świeższe powietrze w domu, tym lepiej dla naszego organizmu. Ale bez przesady. Wszystkie okna otwarte na oścież przez okrągły dzień to nie to. Jeszcze by przeciąg wywiał nam z chałupki to i owo, nie mówiąc o nas samych.

Co jednak uczynić, gdy się trochę smrodów i smrodków nazbiera w tak wielkim mieszkaniu, jak nasza stara pocziwa Europa? A nazbierało się co nie co, prawda? No i teraz mamy wietrzenie Europy. Jedni otwierają drzwi, inni uchylają ledwie lufciki, a jeszcze inni i okna i drzwi na oścież, szeroko, niech się kwasy i smrody rozniosą dalej, do sąsiadów w bloku obok, albo i jeszcze dalej.

Zaczęło się wszystko chyba od Węgrów. Zanim jeszcze uchwalono Republikę Węgierską, zanim wygaszono wielką czerwoną gwiazdę na budynku parlamentu – Węgrzy ogłosili całemu światu o otwarciu granicy z Austrią. Po latach kolczastej blokady,

dрут, który do tej pory symbolizował odcięcie od świata teraz sprzedawany jest w postaci kolczastych róż po kilkaset forintów za sztukę. Dziś, kilka miesięcy po tym wydarzeniu, powiedzieć można śmiało, że była to decyzja mądra i potrzebna. Okazało się bowiem, że wcale się naród węgierski do ucieczki na Zachód nie rzucił, wręcz przeciwnie – to jakby Austriaków i Niemców z RFN więcej teraz do Węgier przyjeżdża i to nie tylko w celach turystycznych. A jeśli już Madziar jedzie do Wiednia na weekend to stać go i na hotel, i na zakupy. A przecież Austria do krajów tanich nie należy. Najbardziej na tym otwarciu zyskali jednak Polacy, przepraszam – nie wszyscy – niektórzy obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – którzy kursują teraz w jedną stronę, tzn. do Wiednia na przykład z tureckim dżinsem, z powrotem zaś z radiomagnetofonami, wólczką i kosmetykami. Śmieją się przy tym w oczy i Węgom i Austriakom, że i jednym i drugim bozia żyłki do interesów poskapiła. Póki co konfliktu na skalę międzynarodową z tego nie ma, póty dzban wodę nosi... i tak dalej.

U Węgrów jakby się przewietrzyło, a że przy okazji trochę krew wymieszają – nie szkodzi, wszak i tak mamy być jedną, wielką, europejską rodziną.

Spokojnie spoglądali na to wietrzenie Węgier Czesi. Spokojnie i czujnie. Nie powiem, że z obawą, nie. Okna u nich dubeltowe, znaczy podwójne, szkło grube, drzwi zaś jeśli nie pancerne, to co najmniej dębowe, solidne, z klamkami, to fakt, ale bez dziurek. Jeszcze by się przez jakąś dziurkę polska zaraza dostała i infekcja gotowa. A tak jest okay. Śmierdzi wprawdzie tam u nich Stalinem, zamordyzmem i piwem, ale lepszy własny smrodek, niż cudzy chłodek. Żyją więc tak z dnia na dzień i na dobrą sprawę nawet głębszego oddechu złapać nie mogą, bo zaraz niedobrze się człowiekowi robi. Uchyłili nieco okna i drzwi od strony NRD no i proszę zrobiła się afera na całą Europę. Sąsiedzi przywieźli im smród dwutaktowych Trabantów, pamiątkowe zdjęcia Honeckera i Krenza, no i zapach socjalizmu. Bukiet kwiatowy nie z tej ziemi, pachniało, że aż w piersiach rwie, dobrze, że otworzyli okna sąsiedzi Bundesrepublik. Przetoczyła się więc fala uchodźców przez samowystarczalną, pławiącą się w dobrobycie socjalistyczną Czechosłowację i popłynęła dalej. Niech się teraz Bawarczyacy martwią, co z

tym niezbyt świeżym zapachem socjalizmu zrobić.

Ci zaś wcale się nie martwili. Kanclerz Kohl przerwał wizytę w Warszawie pojechał do Berlina na wieczór, no i proszę następnego dnia NRD otworzyła wszystkie przejścia graniczne do Berlina zachodniego. Na berlińskim murze tańczyły w nocy tłumy Niemców, tłukąc młotkami cegłę po cegle, a nad ranem to już nawet pojawiły się spychacze i koparki, tak im się do pojednania, pardon – do zjednoczenia śpieszy. Ja tu mówię o wietrzeniu Europy, a tam już okna i drzwi z ościeżnicami wyrwano. Robi się całkiem niezły przeciąg. Co ciekawe – o cyrkulacji zachodniej. I to na tyle silnej, że już niektórych naszych rodaków zassało i wywiało, ot choćby do Berlina Wschodniego czy Drezna, gdzie puste chałupki czekają, pościel jeszcze ciepła, a jak się kto pospieszy to i gorącą wodę na kuchni zastanie. Niektórzy to się już nieźle urządzili, na tyle – że paczki do kraju przysyłają. Oj, żeby to nie skończyło się źle. A swoja drogą – co innego drobny handel przygraniczny w ramach przyjaźni i współpracy, co innego zaś najazd na cudze niczyje bo pozostawione bezpiecznie. Czy rzeczywiście niczyje? Trzeba mieć charakter hyeny.

Wieje zatem w kochanej, pocziwej, starej Europie nieźle. Z Węgier do Austrii, z Austrii do Czech, z Czech do RFN, z RFN do NRD, a z NRD do Czech jak się tak z góry przyjrzeć wygląda to wszystko niby jądro cyklonu. A wokół też zawiewa. Na razie w sposób kontrolowany. To jest dopiero osiągnięcie – kontrolowane zawiewy nowego. Na przykład na Litwie. Wymyślili i uchwalili sobie nasi bracia Litwini, że od nich do Polski można choćby trzy razy dziennie, czym się tylko da – autokarem, pociągiem, samochodem, byle wywieźć jak najwięcej. A my do nich – raz do roku i to obowiązkowo z Intouristem. Tłumacząc się niejasną sytuacją rynkową itd. Oj, przed towarzyszem Dzierżyńskim tak by się nie tłumaczyli. Ale nasz człowiek tam dawno już w ziemi, nowego póki co nie ma, no i litewski najazd przeżyć trzeba. Polak w Wilnie czy Grodnie nawet za przeproszeniem rolki papieru kupić nie może, bo na paszporty dla grażdian. A u nas nikt o paszport, raczej dowód osobisty nie pyta, kupuj ile chcesz. I kupują. Wywożą. Zaopatrzenie w Białymstoku już im nie odpowiada, jeżdżą nawet do Łodzi. Myślę, że gdyby to zależało od Rady Najwyższej Republiki Litew-

skiej – już dawno uchwaliliby otwarcie zachodniej granicy. Oczywiście – w jedną stronę. To by dopiero zawierucha była. A tak – przez lekko uchylone drzwi, w sposób kontrolowany, wietrzy się i ten zakątek Europy. Myślę, że takie postępowanie wcale Litwy do Europy nie przybliży, wręcz przeciwnie.

Inne wiatry wieją z Bułgarii. Może nie tak całkiem, ale są to pierwsze poddmuchy. Todor Żiwkow podał się do dymisji. Jest politykiem za bardzo doświadczonym, kształconym w zbyt dobrej szkole, by ten fakt można było pozostawić bez komentarzy. Czy odszedł w blasku, czy też czuje w powietrzu burzę? Kilkanaście dni temu odbyła się w Sofii pierwsza legalna manifestacja zorganizowana przez opozycję. Póki co przez opozycję ekologiczną – ruch nazywa się „Ekogłasność”. Wiadomo jednak, że i w NRD początki były podobne. Powiew nowego w Bułgarii? Może i tam otworzyć trzeba okna i drzwi. Na przykład dla Turków. Pamięamy kilka miesięcy temu turecki exodus, koczowanie na granicy, która otwierano kilkanaście czy kilka razy na dobę. Nie trzeba być wybitnym znawcą problemu, by wiedzieć, że nowy wiatr z Bułgarii ogarnie i Rumunię. Trudno jednak przypuszczać, by z dnia na dzień żyjący oddechem i tętnem swojego Wybitnego Ojca Narodu Rumuni złapali bakcyła pierestrojki i wolności.

Nikt jednak jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie mógł nawet przypuszczać, że tak znaczne zmiany zajdą w NRD. Nie przekreślajmy więc jednoznacznie Rumunii. Ze skąpych przecieków jakie dostają się do prasy zachodniej wiadomo, że tam również działa ruch opozycjonistów.

W tychże zachodnich gazetach przedstawiciele bułgarskiej czy rumuńskiej właśnie emigracji przypominają co jakiś czas o zapomnianym nieco koncepcjach Siedmiogrodu czy państwa Transylwanii. Brzmi to jak utopia, zgoda. Lecz czyż nie brzmiało jak utopia twierdzenie o zjednoczeniu Niemiec. Czas weryfikuje najbardziej nieprawdopodobne sądy i teorie.

Powiało w Europie nowym. Nie bez naszej, polskiej przyczyny. Nie bez przyczyny Węgier. Zastanović się trzeba, czy to okresowe wietrzenie całego bloku, czy też zapowiedź poważniejszych zmian w systemie, który pękać zaczął kilka lat temu.

Sądzę, że kluczem do całej zagadki jest kwestia NRD. Tenden-

cje zjednoczeniowe były w RFN zawsze żywe, podobnie jak problem granicy na Odrze i Nysie. Czy otwarcie granic NRD oznacza reformatorską politykę nowego rządu, czy jest to zaproszenie do dyskusji o kwestii połączenia obu państw niemieckich.

Czas pokaże. Na razie jesteśmy świadkami wielkiego wietrzenia Europy Wschodniej. Czy przyniesie ono jakiegokolwiek przemebowanie – nie wiadomo.

Być może – tak jak w mieszkaniu – wszystko skończy się na ruchu powietrza. Wszak okna, lufciki i drzwi są po to, by je od czasu do czasu otwierać. A nie ma dla naszego organizmu nic lepszego, niż regularne wietrzenie całego mieszkania.

Idę otworzyć okna – do usłyszenia.

Między legitymacją a koloradką

Otrzymałem niedawno list. Zza morza czyli z zagranicy. Zupełnie niespodziewany list. Nigdy bym nie pomyślał, że adresowany będzie na mnie, a skoro adresowany na moje imię i nazwisko to znaczy – z myślą o mnie pisany, czyli pisany do mnie i dla mnie. I dlatego byłem tak zaskoczony, bo był to pierwszy od sześciu czy siedmiu lat list od kolegi, który wyjechał gdzieś w 82 lub 83. Nie, nie byliśmy przyjaciółmi. Przypuszczam, że przez tych kilka lat pisał sporo do swoich znajomych, do rodziny, do bliższych mu niż ja – kolega ze studiów. I oto napisał do mnie. Dlaczego?

Z pytaniem tym chodzę od dnia, kiedy wyjąłem ów list ze skrzynki. Nie pamiętam nawet skąd miał mój adres. Nie wiem czy mnie pamięta – wszak emigracja zaciera z ludzkiej pamięci nie tyle poszczególne kadry, sceny czy ujęcia, lecz całe akty, sekwencje, całe filmy.

Nie wiem co mój daleki kolega robił przez tych kilka lat. Nie napisał o tym ani słowa. Nie wiem też jak się urządził, z czego żyje, ile ma zielonych na koncie i czy śle paczki żywieniowe do rodzinnego kraju. Nie wiem też dlaczego do mnie – po tylu latach milczenia – napisał. Do mnie – polonisty jak on z wykształcenia, dziennikarza reżimowego radia od roku 1980.

Nie ma w tym liście ni słowa o polityce, ni zdania o przemianach jakie się w Polsce dzieją. Aż dziw bierze – lecz naprawdę nie ma. Nie ma nic o Solidarności, o Mazowieckim, o komunistach i totalitaryzmie. Nie pisze o sprawiedliwości dziejowej, o historyczności polskiego roku 1989 i tak dalej.

Pyta mnie natomiast mój kolega z dalekiej Australii – czy bardzo się zmieniłem, jak życie i doświadczenie zweryfikowały moje opinie o człowieku, pyta mnie – co zostało w nas z owej radosnej humanistyki lat studenckich.

„Gdzie jesteś w tej galerii postaw, typów i charakterów – pisze – czy w gustownym garniturku z ciasno zawiązanym krawatem z legitymacją w kieszeni odprawiasz z mikrofonem nadęte celebry pełne fanfar, czy też w koloratce pokory, cichy i posłuszny, w kaźdidle męczeństwa szepczesz dzień po dniu godzinki bezradności i bezsilności”. Mocne, męskie, wbijające się w mózg i serce słowa.

Łatwo się pisze takie listy, siedząc pod bezchmurnym niebem Sydney, popijając pomarańczowy juice albo chłodzone piwo. Łatwo zadawać takie pytania po latach nieobecności w Ojczyźnie, nie doświadczywszy każdej godziny, każdego dnia, każdej chwili. Łatwo się pisze – reżimowe radio, reżimowa gazeta, reżimowa, komunistyczna szkoła. Jakże łatwo. Wystarczy kilka zielonych w kieszeni, mniejsza o to – jak i gdzie zarobionych, wystarczy wiza w paszporcie, kilkanaście zdań po angielsku czy francusku – i jakże łatwo tak pisać.

Jakże trudno odpisać na taki list. To tak, jak gdyby tłumaczyć komuś, kto opuścił Białystok przed wojną, jak to miasto wygląda teraz. Karkołomne zadanie. Czy się go podjąć. Nie wiem jeszcze. Ale jeśli ktoś pisze do mnie list, jeśli podpisuje się imieniem i nazwiskiem, to znaczy, że czekać będzie na odpowiedź. Tylko w imię czego mam mu się spowiadać z kilku ostatnich lat mojego życia, z moich grzechów i zasług, z moich klęsk i triumfów? W imię jego sześcio- czy siedmioletniej nieobecności? Czy w imię mojej właśnie tu obecności.

A jeśli nie uwierzy? Nie musi. W końcu – to on wyjechał, on zwątpił w sens bycia tutaj, wtedy w 82 czy 83 roku. A dziś chciałby wiedzieć, jak to się stało, że przetrwaliśmy, że żyjemy, że między legitymacją a koloradką katolicyzmu znaleźć można miejsce. Uczciwe miejsce. Nie zdradzając ani siebie samego, ani rodziny, ani Boga? Przecież nie musi mi wierzyć. Skoro milczał przez tyle lat, mogę ja przemilczeć jego list. Przypomnił sobie o starych znajomych. I choć w całym liście nie ma słowa o polityce, o tym wszystkim co się w ojczyźnie zdarzyło i co się każdego dnia zdarza, wiem – doskonale zdaje sobie sprawę, że list ów właśnie taką odpowiedź wymusza.

Więc napisać mu o wszystkim? Przekonywać go, czy zdać tylko relację. A może napisać tylko, że wierzę w rząd mazowieckiego,

w program reform, że wierzę – jak pisze ksiądz Tischner – w państwo ładu prawnego. I że doskonale zdaje sobie sprawę, że nie jest to droga krótka i łatwa. A może napisać mu, niech wraca bo jest tu potrzebny. Bo takich jak on – programistów systemów komputerowych najnowszej generacji – potrzeba nam teraz jak na lekarstwo. Czy nie pomyśli o reżimowej agitacji? I napisze mi potem – z jednego reżimu w drugi, w co ty mnie chcesz zrobić, stary?

A może mu napisać, że zaroilo się u nas ostatnio od przechrztów i neofitów, że się legitymacje zmienia na koloratki, że w modzie powiązania z przedczerwcową opozycją i książki drugiego obiegu na półce? Niech wie.

I dopisać mu jeszcze o Solidarności Walczącej, o grupach oporu, o antywałęsowskich i antyrządowych napisach na murach. Niech wie – co to jest Świta, co to Dwór, a co Familia. Niech wie, że to wszystko nie takie proste, jak się tam w Australii wydaje. I niech jeszcze wie, że na darmowe zupki od ministra Kuronia przychodzą nie tylko ci najbardziej potrzebujący – lecz także panie w gustownych futrach i panowie w płaszczach z kołnierzem z jenota.

Może mu jeszcze napisać, że zaroilo się u nas od spadochroniarzy. Nie, nie radzieckich. Innych. Własnych, rodzinnych, polskich. Ładują w różnego rodzaju spółkach, w prywatnych firmach powstających jak grzyby po deszczu, w administracji, której jeszcze się nowy rząd przyjrzeć nie zdołał. Spadają z mniej lub bardziej wysokich stołeczków, mniej i bardziej szykownych gabinetów, z tytułami i bez, ładują cichutko, dyskretnie, ale miękko i ciepłutko.

Wysmażę mu taki list, że hej. Tylko po co. A może mu napisać, że mam znajomego, który wyjeżdża z kraju właśnie teraz. I że to nie jest przesiąknięty Leninem i Marksem komuch z górnych pięter partyjnej drabinki, tylko człowiek, który wie – co internowanie, konspiracje, przesłuchanie na SB. I że właśnie on – mężczyzna ponad 30-letni pakuje manatki właśnie teraz, gdy rządzi jego ekipa. Wyjeżdża zaś dlatego, że tutaj w Polsce końca 1989 roku, nie widzi szans realizacji swoich życiowych planów. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Myślę sobie – może podszeptać temu drugiemu – by pojechał do Australii, może dać mu adres tego w Sydney, niech sobie chłopcy pod błękitnym niebem, przy pomarańczowym soku lub chłodnym piwie podyskutują. O legitymacjach i koloratkach. O so-

lidarnościowym kombatanctwie i komunistycznej opozycji. O ideałach i codzienności. O ludzkiej godności i wierności sobie.

Wyjeżdżać z Polski końca 1989 roku. Nie na roczne czy dłuższe saksy, nie na winobranie do RFN, czy na zbiór truskawek do Danii. Nie do Stanów po zielone. I nie do Iraku na kontrakt. Pojedynczy szczególny przypadek, nad którym nie warto dyskutować? Nie wiem po prostu nie wiem. Może rzeczywiście chodzi tylko o kupkę zielonych papierków, które zapewnić mają spokojne – w miarę życie.

Ale kupkę zielonych papierków można mieć i tutaj. Jeśli dolar będzie po 4 tysiące (przekonuje nas do tej myśli wicepremier Balcerowicz), a spawacz w Stoczni Gdańskiej zarabia już teraz około półtora miliona – to jakby nie liczyć jest to 400 papierów. Dwa tygodnie ciężkiej pracy w Stanach.

Nie w pieniądzech rzecz. Te można zarobić. Urzędnik administracji państwowej, który po godzinach dorabia w spółce, przynosi za pracę w tejże spółce – miesięcznie – swoje półroczne pobory w administracji. Przynosi i głupieje. Bo co z tym robić.

Nie w pieniądzech istota rzeczy. Chodzi o to, by dla tych pieniędzy z dnia na dzień legitymacji na koloratkę, ołtarza na mównicę, Dekalogu na gazetę z kursem walut nie zmieniać. Niezależnie od tego czy jesteśmy za Rakowskim, Wałęsą czy Mazowieckim. Niezależnie co sądzimy o zjednoczeniu Niemiec i wydarzeniach w Czechosłowacji.

A może jest – tak sobie myślę – narodowe rozgrzeszenie? Może trzeba, by kardynał Glemp z murów Jasnej Góry udzielił narodowego rozgrzeszenia. Tym z legitymacją w kieszeni, tym w koloratkach – i wszystkim pośrodku. A zamiast komunii – telewizyjne ekspozycje prezydenta. I do roboty. Bez oglądania się na rodowody i zyciorysy. Wszak ojczyzna – to my wszyscy, a do zrobienia jest sporo.

Smak "kuroniówki"

W jakich byśmy, my Polacy, czasach nie żyli, jakich byśmy niewygód – łagodnie mówiąc nie cierpieli, jakichże w końcu odpustów Bożych byśmy nie doświadczyli – nie opuszczało nas nigdy poczucie humoru. Objawiało się bądź to w postaci okrutnych pamfletów na zaborcę, zakazanych piosenek o słabostkach okupantów, bądź też najzwyczajniejszych napisów na murach.

Oczywiście śmiech rozpaczy jest inny niż śmiech strachu. Inaczej brzmi śmiech skazańca, inaczej śmiech kata. Inaczej wreszcie śmiech uciekiniera, banity, śmiech emigranta. Ale jak uczy historia zawsze dawaliśmy sobie radę, w najcięższych sytuacjach i śmiech, dowcipy, żart zawsze nam towarzyszył. Później, po minięciu kolejnego historycznego zakrętu śmieliśmy się z tych dowcipów inaczej – gorzko, miało, często z poczuciem winy, niekiedy z mniejszym lub większym kacem. Moralnym naturalnie.

Miał swoje dowcipy i żarty polski Październik, miał i ma do dziś okres Gomułki. Żarty powstałe w czasach Gierka pomieścić by można w kilku tomach. Myślałby kto, że to nasza narodowa specjalność – ale to nieprawda. Specjalizujemy się w czym innym – ech ten romantyzm. Wczesnogomułkowski, późnogierkowski, solidarnościowo – wałęsowski, czy wreszcie obecny – postkomunistycznie wczesno – kapitalistyczny. Wypominają nam go przy każdej okazji, czy to wizyty Kohla czy spotkania wielkiej finansjery w Brukseli.

Jakoś to będzie, przeżyliśmy potop szwedzki – przeżyjemy i radziecki – zwykło się mówić. A tu przyszły inne czasy, nadchodzą inne realia, nie dla tęskniących do bycia pępkiem świata marzycieli, lecz liczących każdy grosz ciułaczy, drobnych przedsiębiorców i wielkich biznesmenów. Jeden z moich przyjaciół zwykł mawiać – skończyły się czasy poetów, trzeba myśleć po żydowsku.

Wróćmy do poczucia humoru. Nie zabrakło go nawet w trudnych latach stanu wojennego. Dowcipy mnożyły się jak króliki, choć nie wszystkie ze względu na swoją wartość zasłużyły, by je dziś pamiętać.

Pozostały z tego okresu takie pamiątki jak „wałęsówka”, „komuchy”, „kiszczakowcy” nie mówiąc już o bardziej obelżywych i niecenzuralnych.

Handlarze na bazarach do dziś reklamują przeciwśloneczne okulary „jaruzelki”, choć na przykład piekarze obrażają się gdy o zrobionych przez nich bułeczkach powie ktoś „krasińszczanka”.

Jest teraz koniec grudnia, od prawie czterech miesięcy mamy nowy rząd, od stycznia szykuje się prawdziwa rewolucja socjalna, naturalnie – na gorsze, ludzie żyją w wielkiej niepewności jutra, choć ciągle ze sporym zaufaniem do nowej ekipy.

No i proszę – już mamy kolejny dowód, iż duch w narodzie nie ginie, bowiem w mig przyjęło się określenie „kuroniówka” czyli bezpłatna zupka wydawana chyba już we wszystkich miastach Polski.

Bywalcy przedwojennych restauracji, nie koniecznie stołecznych, którym dziś, po 45 latach budowy socjalizmu w Polsce przyszło się z tych bezpłatnych zup korzystać twierdzą, że daleko im choćby do przedwojennej polewki. Kombatanci Ludowego Wojska Polskiego, z których większość przeszła od Lenino do Berlina, dzwoniący medalami za utrwalanie władzy ludowej, siadają teraz do talerza kuroniówki ze wstydem, pełni upokorzenia, smakują ją krótko, bo co tu smakować, jak, skoro łyżę cisną się do oczu.

Są jednak i tacy, dla których ten talerz gorącej zupy i kromka chleba pozwalają naprawdę przeżyć. Ci przychodzą z reguły na końcu, bo jeśli w kotle zostało nieco więcej – będzie można dostać dolewkę. Siadają w kącie sali, tyłem do ludzi. I często jest to dla nich najszczęśliwsza chwila w ciągu całego dnia. Chcieliby jeszcze trochę posiedzieć, porozmawiać z kimś, wyżalić się, na życie, na ustrój, na dzieci – co to opatulone w puszyste dywany, stylowe meble, obyte w lekarskim czy urzędniczym światku, wstydzą się ojca lub matki, zapominają wstąpić, odwiedzić, pomóc. A tymczasem trzeba wychodzić, bo już zamykają. I znów cały długi dzień samotności, liczonej odgłosami zza ściany, kapaniem przeciekającego

kranu. Byle do jutra. Jutro można znów tu przyjść, posiedzieć. Może kogoś spotkać.

Jak smakuje talerz kuroniówki? Nie wiem, choć tyle razy już chciałem spróbować. Zdawałoby się nic trudnego – wejść tu przed zamknięciem, powiedzieć: jestem dziennikarzem, chcę to i owo, zjeść, podziękować, wyjść. Koniec.

Proste. I wcale nie o to się boję, że zupa, którą zjem ja, może być jedynym posiłkiem kogoś potrzebującego, kto przyjdzie po mnie, a komu już zabraknie. To nie to.

Posmakować kuroniówki, to usiąść przy stole z tymi ludźmi, spojrzeć im w oczy, zdobyć ich zaufanie, wprosić się do ich rozmowy, do ich opowieści o życiu. Posmakować kuroniówki to zrozumieć ich. Lub przynajmniej tego spróbować. Może w ten sposób uda się głębiej zrozumieć to wszystko, co się stało w tym kraju do dziś i co może stać się jutro.

Słyszałem opinię, że darmowe zupy dla najbardziej potrzebujących – tak się zwykło określać oficjalnie kuroniówki – podzieliły społeczeństwo polskie. Miałby to być podział na dwie grupy – przeciwników i zwolenników. Ale nie zupy lecz tego wszystkiego czego rząd Mazowieckiego już dokonał i co proponuje. To wstyd – twierdzą pierwsi, by 50 lat po wojnie, u progu XXI wieku, w środku cywilizowanej Europy był kraj, w którym człowieka nie stać na talerz gorącej zupy dziennie. Przez 45 lat budowania komunizmu takich ludzi nie było, teraz, za nowych rządów, proszę, oto skutki...

Drudzy uderzają w ton zgoła odmienny. Oto, co komuniści zrobili ze społeczeństwem. Do jakiej skrajnej nędzy doprowadzili tych, którzy swoje życie i siły krajowi oddali. Jak można odtrącić człowieka, z którego wypruło się flaki dla budowy złudnej potęgi złudnego systemu. I na dodatek jak skrzętnie ukrywano fakt ten przed ogółem społeczeństwa. A nowy rząd stara się pomóc jak tylko może. Na razie poprzez bezpłatne zupy dla wszystkich potrzebujących.

Prawda jak zawsze leży pośrodku.

Posmakować kuroniówki. Boje się, że za rok, dwa, trzy, mówić będziemy o chlebie, serze, czy befsztyku w restauracji, że smakuje jak kuroniówka. Wcale nie wykluczone, że za kilka lat, może kilkanaście, kiedy już będziemy krainą mlekiem i miodem płynącą i

kiedy żyć nam się będzie dostatnio – owa kuroniówka będzie symbolem trudnego i bolesnego startu w dobrobyt. Oby nigdy nie była symbolem poniżenia człowieka.

Za trzy dni Wigilia, Święta Bożego Narodzenia. Zwykło się mówić – najbardziej polskie ze wszystkich świąt. Usiądziemy przy rodzinnych, świątecznych stołach. Będziemy razem, wszyscy, myśleć o sobie i o tych, których już wśród nas nie ma. Tradycja nakazuje, by jedno miejsce na wigilijnym stole było wolne, puste, by w każdej chwili można było posadzić przy stole strudzonego wędrowca. A może by tak w tym roku zaprosić na Wieczernę Wigilijną starszuskę mieszkającą obok, albo samotnego dziadka z mieszkania piętro niżej? Zamiast talerza kuroniówki, kromki chleba i opłatka podzielić się z nimi wigilijna rybą, kutią, kapustą z grzybami. Podzielić się z nimi radością tego właśnie święta. W imię filozofii solidarności, w imię zwykłej ludzkiej solidarności – bez filozofii nawet. Inaczej niż dotychczas, po nowemu, w innej atmosferze. Tak samo innej w domu, naszym domu, jak i w całym kraju. Może właśnie ta wieczerza zatrze w ich pamięci niedostatki codzienności, może zatrze w ich podświadomości smak codziennej kuroniówki?

Potrzeba nam w czasach, które idą znacznie więcej życzliwości, dobroci, uprzejmości, serca, uśmiechu... możnaby długo wymieniać. Potrzebna jest nam dziś, u końca tego historycznego 1989 roku, właśnie najzwyklejsza ludzka solidarność, chciałoby się rzec – potrzeba nam poczucia wspólnoty pierwszych chrześcijan.

Jesteśmy u początku drogi. Niewiele o niej wiemy, tylko tyle, że będzie ciernista, kamienista, pełna niespodzianek i długa. Pierwsze ciernie już widać na horyzoncie. I wtedy przychodzi myśl, czy nie można się cofnąć.

Na to pytanie każdy z nas musi znaleźć odpowiedź. Podobnie jak na pytanie - co ja mogę z siebie w tej wędrówce dać. I czy chcę dać.

Życzę państwu pogodnych, radosnych, prawdziwie rodzinnych świąt.

Strzeżmy się fałszywych proroków

Zawsze mieliśmy ich dużo, nawet za dużo. Wszechwiedzący natchnieni mężowie znający się na polityce, psychologii, na religii i ekonomii. Filozofowie swojego czasu, wieszczki jutra. Pytie wychowane wśród szczęku mieczy, świstu szabel, karmione krwią bohaterów nie zawsze i nie do końca przemyślanych zrywów. Wernyhory, Sybille, książd Piotr i książd Marek.

Najtrudniej być prorokiem we własnym kraju. Przypadkiem napisał Słowacki strofę o Papieżu Polaku – a już go obwołujemy najpierwszym spośród wszystkich poetów profetycznych jakich dała nam nasza ziemia. Poeta – prorok. Czyż może być lepszym i bardziej uznanym poeta – myśliciel, jak Norwid.

Mieliśmy ich zawsze wielu, zbyt wielu. Przewidywali mniej lub bardziej odległą przyszłość. Snuli mniej lub bardziej tragiczne wizje. Przeminieli i kto dziś o nich pamięta.

Nie jest sztuką przewidzieć sprawy błahe, przepowiedzieć wydarzenie nie istotne. Sztuką jest wyprzedzić czas w sprawach wielkiej wagi. Chwałę i pamięć potomnym przynosi proroctwo na miarę świata, nie własnego podwórka. Właśnie na tym podwórku mnożą się jak grzyby po deszczu rodzime, polskie, nasze, Sybille i Pytie, Jeremiasz i Izajasze. To dziwne, że teraz – po dwóch miesiącach tego jakże ważnego roku – 1990.

I któż by tam zwracał uwagę na takie przepowiednie, jak choćby ta – mędrca Osho Rajneesh – mistrza i wielkiego autorytetu religii buddyjskiej, głosząca, iż oto zjawi się w tymże 1990 roku wielki książę, pan – którego nauka zjedna sobie wielu ludzi z całego świata i który to książę wiele w tymże świecie zmieni.

Jest i inna przepowiednia, właściwie proroctwo – z roku 1825 znaleziona na pożółkłych kartach księgi pisanej w języku starocerkiewnosłowiańskim, nieznanego autora. „Zakończy w połowie

1990 roku żywot mąż zacny, wielce dla ludzi wszystkich spolegliwy, dobro i pokój czyniący. Po jego zejściu nastanie czas nienawiści wielkiej między narodami”.

Dwie przepowiednie. Jedna sprzed roku, druga sprzed prawie dwustu lat. Jakże różne, jakże inne myśli przywołujące, jakże od siebie odległe.

Co myśleć właśnie teraz – u progu końca stulecia – o jednym i o drugim. Co przyniesie zmierzch kolejnego stulecia? Boimy się zupełnie tak samo, jak przodkowie nasi żegnający wiek XIX – ty. Znamy to z lektur. Katastrofizm schyłku każdego wieku jest chyba podobny. Być może, lecz wtedy nikt nie wiedział co znaczy atom, rak, AIDS. Myślę, że ludzie owego nowego stulecia bali się tak samo, jak my dziś. Bo przecież i oni i my jesteśmy tylko ludźmi.

Któryż z proroków mówił wtedy – w 1890, 95 czy 99 – któryż odważył się mówić o dwóch wojnach światowych, o lądowaniu na Księżycu, który przewidział, że ludzie poradzą sobie z gruźlicą i tyfusem.

A tutaj dwie – jakże różne od siebie przepowiednie. I na dodatek nikt dziś nie potrafi powiedzieć, jak rozpocznie się kolejne tysiąclecie, co nam przyniesie rok 2001 czy 2005.

Po cóż zresztą sięgać tak daleko. Kto z nas potrafił przewidzieć choćby dziesięć lat temu, że taki właśnie będzie 1990 rok. Polska, Węgry, Czechosłowacja i mur berliński. Kto powie dziś, jaki skutek przyniesie za 20 czy 30 lat zjednoczenie Niemiec? Nie ma takiego proroka? Może jasnowidza. Chociaż tych nie brakuje i im większe honorarium obiecuje im któraś z poważnych gazet – tym przepowiednie ciekawsze. Nic nowego – dawno temu król też płacił astrologowi za dobre i pomyślne wróżby, karał zaś srogo za inne.

Na co dzień każdy z nas jest dla siebie i jasnowidzem i prorokiem. I w zależności od kondycji psychicznej – są to proroctwa mniej lub bardziej katastroficzne. Jakaż by ta kondycja nie była – ludzie i tak dzielą się na dwa rodzaje – optymistów i pesymistów. Przynajmniej do niedawna było to jasne i klarowne. Od pewnego czasu obserwuję niepokojące zjawisko – coraz więcej i jednych i drugich mówi sobie, że jest im wszystko jedno. Jest mi obojętne czy się Niemcy zjednoczą czy nie, nie obchodzi mnie, czy Gorbaczow odejdzie, czy nie, ba – słyhać już nawet takie głosy, że czy

ten rząd czy inny, to i tak w sumie nic się nie zmienia i nie zmieni. Nie ma więc sensu pchać się w cokolwiek, robić cokolwiek, myśleć nie opłacało się w tym kraju nigdy, po co więc teraz, za dobre pomysły dostawało się z reguły w kość – i teraz też to samo, nie obchodzi mnie to i tamto, jest mi obojętne... nie mam czasu ni ochoty.

Obojętność. Aż do zawieszenia między dniem i nocą, między dobrem i złem, między pracą dla kawałka drogiego mięsa a godziną wieczorem z dziećmi, z opadającymi ze zmęczenia rękami.

Obojętność. Czy dopadła już nas na dobre, czy tylko najbardziej podatnych – na razie.

Obojętność – to jeden z symptomów naszych czasów. Drugi – to wręcz przeciwnie – aktywność, nadmierna, przesadna, chorobliwa. Potrzeba bycia wszędzie, nadgorliwość, sztuczna spontaniczność i promieniująca, tryskająca wręcz energia. Objawia się w kolejkowym wodzostwie. Albo – w zebraniowym liderowaniu, albo w kwitjącym społecznikostwie.

Albo przy tysiącu innych okazji. Stare porzekadło mówi, że w czasie sztormu na wierzch wypływają śnięte ryby. Jeśli to co się dzieje w naszym kraju od 4 czerwca ubiegłego roku nazwać można sztormem czy burzą – reszta jakby się zgadzała.

Obrodziło na naszym podwórku w takich neofitów. Można by i sąsiadów obdzielić. Chociaż – u nich też pewno kłopot podobny.

Facet, który w 82 czy 83 roku na hasło Solidarność reagował drżeniem rąk gotów zaszyć się w najciemniejszy kąt – dziś przy każdej okazji jeszcze zanim wymówi swoje imię i nazwisko woła głośno od progu, że reprezentuje Solidarność. I pod przykrywką społecznego interesu załatwia prywatne porachunki – a to telefon, a to podpisany inicjałami list. W imię narodowej sprawy. Strzeżmy się takich działaczy.

Człowiek, który jeszcze kilka miesięcy temu straszył, że to wszystko długo nie wytrzyma, że pęknie, że oni – a więc i on – wrócą, a wtedy dopiero się policzymy, ten człowiek biega dziś po osiedlu organizując komitet obywatelski, bo idą wybory do władz spółdzielni i byle kogo tam dopuścić nie można, a już z pewnością różowej alternatywy. Boże uchowaj od takiego społecznika.

Wiem – tylko krowa nie zmienia poglądów. Człowiek jest człowiekiem – sam to tyle razy powtarzałem. Może się w człowie-

ku przełom dokonać w ciągu jednej nocy, w jednej chwili. Można zmienić się nie do poznania albo pod wpływem silnego doznania, albo przez dokładne rozbabranie bagienka własnego ja. Bóg odmienił Szawła w jednej chwili. Całkowicie. Może któregoś z tych neofitów też Bóg odmienił. Boję się jednak, że ani o jednym ani o drugim przypadku Pan Bóg nic nie wiedział.

Ba – mogę nawet przypuszczać, że objawień takich będzie coraz więcej. I wcale się nie zdziwię jeśli którykolwiek spośród nich prędzej czy później nie tyle przepowiadać będzie nam przyszłość, ile będzie nam ja stwarzał. Strzeżmy się więc fałszywych proroków.

Może stwórzmy Front Obrony przed Neofitami i Przechrztami, albo Stowarzyszenie Walki z Wczesnokapitalistyczno – Postkomunistycznym Szamanizmem. A może Ligę Obrony Prawdy, albo Frakcję Niezależnych Przeciwników Uzależnionych Ozdrowieńców?

Sądzę, że nie są potrzebne ani ligi, ani fronty, ani frakcje. Zwyczajna ludzka uczciwość, godność i czystość moralna pozwoli nam takiego ozdrowieńca wyczuć na odległość. A wtedy będziemy już do brze wiedzieli, co z nim zrobić.

A to Polska właśnie

Jest taka scena w Nieśmiertelnym „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego, w której Poeta tłumaczy pannie młodej, co to jest ojczyzna, Polska. Pamiętacie państwo- przykładą dziewczę dłoń do piersi mówiąc – wielka mi sztuka, to serce pod gorsetem puka, na co poeta odpowiada z mędrzym zadumaniem i filozoficzną nutą w głosie :... a to Polska właśnie!

Przypomniałem sobie tę scenę kilka dni temu, po krótkiej rozmowie ze znajomym, dość odległym, ale znajomym, który ostatnimi czasy na mój widok przechodził na drugą stronę ulicy, ale niedawno – ku mojemu ogromnemu zdziwieniu podszedł do mnie w zatłoczonym autobusie.

To jak tam – rzucił na dzień dobry – w tej nowej Polsce? Coś mizernie wyglądamy?

Ja, czy my wszyscy, ogólnie, czyli mieszkańcy tego kraju – odparłem zaskoczony tak bezpardonową odzywką.

Zaraz tam wszyscy, społeczeństwo – zadrwił – pan osobiście, panie Wiesławie coś taki błady, niewyspany, a może przepracowany?

Dziękuję, oby gorzej nie było – odparłem z nadzieją, że da sobie i mnie spokój. Niestety. Chciał się chyba przed pasażerami popisać, bo ponownie zapytał ;

To jak się ta nowa Polska podoba, a?

Jakoś żyję – odparłem – pan widzę całkiem jak za poprzedniej Polski, nic dodać, nic ująć.

Ha, ha, ha – zarechotał – i w tej Polsce można się nieźle ustawić – trzeba tylko myśleć.

Zaraz, pomyślałem sobie, czy ja dobrze kojarzę człowieka z którym rozmawiam. Ależ tak – on sam. Jeszcze pięć lat temu straszyl mnie przy okazji jakiegoś nagrania, że takich jak ja redaktorów

to on tu może mieć dziesięciu w ciągu kwadransa, wystarczy jeden telefon. Dla niego wyasfaltowano stumetrowy odcinek ulicy, by samochodu – nawiasem mówiąc służbowego – nie nadwyrężył, to jego wreszcie domek wyrósł w ciągu dwóch miesięcy w najpiękniejszym miejscu daczowiska w Sokołdzie. Wszystko się zgadza. Nie wiedziałem tylko zbyt dokładnie co robił przez ostatnie pół roku, bo jakoś zginął, przepadł bez wieści, przestał bywać, jakby się pod ziemię zapadł.

Co nie co zmienić się musiało, bo jechał autobusem, ale nic ze swojej fizjonomii przez te ostatnie pół roku nie stracił.

- Co tak Pana zatkało, panie redaktorze – zagadał znów, głosił, a mnie zrobiło się nieswojo, bo kilkanaście twarzy zwróciło się w moją stronę – pan pewno zdziwiony, że ja autobusem... Tak, tak, ale nie żeby mi samochód nowa władza odebrała, nie. Stoi w warsztacie, przyda mu się trochę farby i lakieru. No to jak, panie Wiesławie, o tę Polskę chodziło, czy nie?

- Pewno, że o tę – odparłem – a na pewno nie o taką, jaką pan przez czterdzieści pięć lat budował.

- Ale za mojej Polski – tak powiedział, że za mojej Polski – nie było bieda – zupek, bezrobotnych na głodowych zasiłkach, handlowania na ulicy i kiełbasy po 20 tysięcy!

- Wie pan dobrze, że było coś o wiele, wiele gorszego – rzekłem spokojnie.

- I teraz panu lepiej? Co? Ma pan więcej pieniędzy, pełną lodówkę i stać pana jeszcze na wczasy nad morzem, ha ha.

- Nie, nie mam. Ani więcej pieniędzy, ani pełnej lodówki, ani wielu innych rzeczy – przyznałem.

- To co pan masz z tej nowej Polski – krzyknął mi prawie do ucha.

Byłoby ostatnią głupotą dowodzić mu teraz, w pełnym, spocynym i zmęczonym kolejnym dniem autobusem, co się zmieniło i dlaczego ja w to wszystko wierzę. Odparłem więc tylko – widzi pan, najważniejsze co mam, to przekonanie, że ta pańska Polska już nie wróci. Nigdy. Ani na czołgach, ani na słupach ogłoszeniowych.

Zamilkł. Wydawało mi się, że go pokonałem, że już się nie odezwie. Rzeczywiście – milczał przez dłuższą chwilę. Spojrzał na mnie przenikliwym, długim spojrzeniem i ciszej już powiedział: -

Panie redaktorze, w tej Polsce, waszej Polsce tyle się jeszcze zmienia, że może i kiedy zatęsknicie do tej mojej. Oby nie przyszło to za szybko, chociaż tak na moje wyczucie – może to być szybciej niż się i panu i mnie zdaje. I dlatego trzeba umieć się ustawić, w każdym systemie, wie pan, w każdej Polsce. Bo prawdziwą Polskę każdy z nas ma w sercu, reszta to tylko kwestia ekipy, która akurat jest przy władzy. Niech pan to sobie zapamięta. Jeszcze raz spojrzął na mnie zimnym wzrokiem i po chwili wysiadł.

Zupełnie nie wiem dlaczego, ale właśnie w owej chwili przypomniała mi się ta scena z Wesela. Co wspólnego mogą mieć słowa byłego partyjnego i gospodarczego bossa z jakże piękną sceną Poty z Panną Młoda z Wesela?

Jest jedna wielka nasza ojczyzna – Polska, Rzeczpospolita Polska, wolna, demokratyczna. I są małe ojczyzny – każdego z nas. Rodzinny dom, szlacheckie czy ziemiańskie gniazdo, rodzinna wieś z otoczeniem, czy śródmiejska ulica pamiętana od najmłodszych lat. Jest jeszcze tradycja – ta mała, na miarę ulicy, wsi, dworu oraz ta wielka – Polski od morza do morza, powstań narodowych, ducha co się nie dał zaborcom, okupantom i czterdziestu pięciu latom otumanienia.

Jeśli spotykają się one zgodnie w jednym sercu – dziękować Bogu. A jeśli nie? Obserwuję ostatnimi czasy dziwne zjawisko – oto ta mała ojczyzna, domu, ulicy, rodziny rozrasta się w nas wypierając coraz bardziej ów szerszy – narodowy – ogląd. Sprawy rodziny, bliższej i dalszej, jej utrzymania, jej przyszłości, przesłaniają obraz Rzeczpospolitej. Oto coraz częściej spotykam ludzi, dla których Polska, ojczyzna, to Mazowiecki, Wałęsa i plan Balcerowicza oglądani przez pryzmat widma bezrobocia, braku pieniędzy na życie itd. Coraz częściej rzeczpospolita to Rząd i Warszawa, a życie i codzienność – ta mała ojczyzna, to naczelnik rządzący według starych, dobrych zasad aparatu, to dyrektor, na którego nie ma siły ani ziemskiej, ani boskiej. I tę nową Polskę, wolną Polskę, demokratyczną widzi człowiek wieczorem w telewizji, patrzy, rzuca w ekran mięsem nie przebijając w słowach, bo wie, że jutro znów od początku młyn, karuzela, walenie głową w mur.

Trudno wtedy o entuzjazm, naprawdę. I znów siada człek przed telewizorem, słucha, że trzeba po władzę sięgać, monopol

niszczyć, zło naprawiać, budować nową Polskę, inaczej, samorządnie, Własnymi rękami. I zaczyna wierzyć – idzie na zebranie – a tu nomenklatura, przepisy, obyci w kruczkach prawnych prezesi, dyrektorzy itd. – i wraca człek do domu z przeświadczeniem, że ta Polska to się tylko w gazetach i telewizji zmieniała.

Jak wtedy kochać tę Polskę w sercu? Jak spotkać w sobie tę wielką – od Bałtyku do Tatr i Bugu po Odrę z tą małą – ojczyzną wsi, podwórka, ulicy, domu. I kiedy człowiek stwierdza, że się nie da – przychodzi obojętność. A tu jakby na złość jedni kraczą, że żydokomuna to się dopiero rozpoczyna i że płakać jeszcze przyjdzie, drudzy zaś namawiają, by brać się za samorząd, by zakładać gminy, wspólnoty, prawie komuny – wszędzie gdzie się da – w wioskach, miastach i dzielnicach. I nawet już nie ważne, że wśród agitatorów – jednych i drugich – roi się od karierowiczów, nawróconych, przemalowanych... ech, szkoda gadać.

Jest więc nowa, inna Polska. Z nazwy, z gazet, z telewizyjnych wiadomości, z zainteresowania jakie towarzyszy nam na Zachodzie. Czy jednak wszyscy odczuwamy to na co dzień? Jak doświadczamy? Czy nie przez pryzmat cen, dochodów, pracy itd. Wyłącznie.

Jest wielką sztuką w tak trudnych czasach wznieść się ponad ten sposób myślenia. Podumać nad Polską inaczej. Ale jakże łatwo – znów wpaść w schemat. Kiedyś przedmurze chrześcijaństwa, później paw i papuga narodów, heroiczna aż do głupoty w walce za waszą i naszą wolność, aż po zapalony lont Europy Wschodniej, który palił się bardzo długo dla nas samych, błyskawicznie zaś dla innych. Od nas się przecież zaczęło – co nam niektórzy poczytują za powód do dumy, inni zaś za powód do strachu.

Jakże więc dumać nad tą Polską roku 1990. Nad jakąż zresztą – Rzeczpospolitą. Działacze Sajudisu rozpowszechniają mapę Litwy z granicą koło Rucianego Nidy, Augustowa, Lipska nad Biebrzą, Oszmiany i Nowogródka. Zza Odry, właściwie z Łaby odzywają się głosy wielkiej Rzeszy – ze Szczecinem, Wrocławiem, Prusami Wschodnimi. Rośnie w siłę ruch niepodległościowy na Białorusi – kto wie czy nie ma już map z Białymstokiem po tamtej stronie, a przecież jeszcze jest Ukraina... To gdzie ta Polska, przepraszam, że pytam, bo nie wiem czy nie szukać już jakiegoś kąta w Księstwie Warszawskim.

Przesadam. Wiem. Przepraszam. Choć nie do końca i nie ze wszystkim. Historia doświadczyła nas już tyle razy, a były przecież traktaty, umowy, gwarancje. Wiem, że inne czasy, inne realia, że inni ludzie. Niczego nie można jednak wykluczyć. Ani narodzin nowego Hitlera, ani narodzin nowego Stalina. Na to nikt nie da gwarancji.

No dobrze, a co do tego ma owa piękna scena z Wesela? Ano ma. I to wiele. Trzeba perspektywę małej ojczyzny – Polski domu rodzinnego, własnego podwórka czy obejścia, Polskę ulicy czy wsi rozszerzyć. Maksymalnie – na ile będzie to możliwe, po Bałtyk i Tatry, po Bug i Odrę, nawet dalej – wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie związani z tym krajem nad Wisłą.

Tylko takie spojrzenie jest nam wszystkim w obecnej sytuacji potrzebne. Ponad prywatę i własne podwórko. Tylko taka postawa daje realne szanse dotarcia do końca drogi którą idziemy. I obronienia tej drogi przed innymi.

By tak myśleć – trzeba tę odrobinę Polski odnaleźć w sobie, właśnie - w sercu. To wielka sztuka. Można znakomicie czuć się w tym kraju, nie czując go ani krztyną w sobie. Nie o to chodzi. Idzie o to drugie. Trzeba tę nową Polskę poczuć w sobie – w swoim sercu.

Bez tego ani rusz.

Rekolekcje

Nastał czas Wielkiego Postu. Dni umartwienia, pokory, czas wyrzeczenia się przyjemności. Czterdzieści dni skruczy, modlitwy, przyjrzenia się sobie. Czas zadumy nad kruchością ludzkiego bytowania na ziemi i niespokojnych myśli o tym, co później.

Mija dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Czy rzeczywiście w tym czasie nasze myśli kierujemy w stronę naszej duszy, by każdy upadek grzesznego człowieczeństwa przeanalizować, szukając przyczyny zła i czynnika sprawczego upadku. Czy też jest zupełnie inaczej? – ot, z racji postu zdarzy się pójść na drogę krzyżową, zaliczyć dzień czy dwa rekolekcji, a reszta normalnie, bez zmian, bo nie ma czasu – kłopoty w pracy, perspektywa zwolnienia, a i do pierwszego co miesiąc brakuje coraz więcej.

Jak daleko zmienia nas czas Wielkiego Postu? Ile jest w nas autentyczności, a ile fałszu i obłudy, bo wypada, bo sąsiedzi, bo rodzina, bo jeszcze coś. Albo po prostu – na zasadzie najzwyczajszej manifestacji, pokazówki, jakże często inspirowanej najbardziej wstydliwymi ludzkimi instynktami. Manifestacja wielkopostna powierzchniowa. Nic więcej.

Mam znajomego. Lubi wypić. Nawet często. W pracy, po pracy, w domu przy byle okazji, często okazję tę po prostu wynajdując. Są dni, kiedy przestaje siebie kontrolować. Panować nad sobą. A następnego dnia ze wstydem gotów słuchać, co też po kilku głębszych wyczyniał.

A kiedy przychodzi Wielki Post – zmienia się nie do poznania. Kiedykolwiek nie wstąpiłbym do niego, przy i bez okazji, słyszę – Słuchaj, ale jest post, ja nie piję. I tak będzie aż do Wielkiej Nocy. W tym czasie jest wzorowym mężem, wzorowym ojcem, zmienia się nie do poznania stając się wzorem ascezy i świętości. Przycho-
dzą święta. Pierwszy, drugi, trzeci dzień... I co staje się z tym uoso-

bieniem pokutnika? Zataczający się od ściany do ściany wrak. Plugawy i rozpustny samiec. Pan i władca. Superman w karykaturalnym lustrze denka puste butelki po wódce.

Zastanawiam się wtedy – czy tak ma wyglądać asceza Wielkiego Postu? Ile w tym fałszu, zakłamania, jakiejś nienormalnej pozy. I cóż po czterdziestodniowej ofierze wstrzemięźliwości wobec pozostałych trzystu iluś dni piekła?

Czy Bóg mógłby wybaczyć czterdzieści dni rozpusty i pijaństwa dla pozostałych dni roku w ascezie i wstrzemięźliwości?

Inny przykład. Kobieta, matka. Dobrze sytuowana i mimo iż syn dorosły – ciągle atrakcyjna. Mąż za wielką wodą ciuła dolar do dolara, ona tutaj – duże mieszkanie, samochód, mało absorbująca praca.

Od początku Postu codziennie na mszę świętą, co piątek na drogę krzyżową. Uosobienie świętości i dobroci. Wzór, że niech się Matka Polka chowa. Tylko sąsiedzi uśmiechają się znacząco, chrząkają, choć dzień dobry każdy odpowie, bo wiadomo jak to w życiu, a pani ma znajomości, nie wiadomo kiedy się przyjdzie pokłonić, do drzwi zapukać, pójść i o pomoc poprosić.

Chyłkiem jednak, za plecami, jedna pani drugiej pani rzuci w przelocie: - Post się skończy, to się odwróci, jak zawsze.

Ta coś odpowie, tamta dopowie i już się obraz zamazuje, kolory tracą wyrazistość. Bo sąsiadki wiedzą najlepiej, że pani B. dwa razy w tygodniu jedzie w delegację z panem K., że pan M. wpada do niej raz w tygodniu, a jedna to ją nawet widziała bladą jak kreda w gabinecie ginekologa P.

Samochód pani B. znają szatniarze i w hotelu Cristal, i w Leśnym, nie mówiąc już o Wikingu. I chociaż nikt pani B. za rękę nie złapał, ani pod łóżkiem nie leżał – wszyscy panu B., pieczołowicie zielone odkładającemu, serdecznie współczują.

Więc jak jest z tą ascezą? Czy takie zachowanie świadczy o kompletnym ignorowaniu świata, czy o zaniku w człowieku wewnętrznych mechanizmów kontroli? A może jest to po prostu najzwyklejsza, nie wykluczam, że świadoma, prowokacja, kpina w życie oczy? Kpina z czystych ludzkich uczuć, szydzenie z uczuć innych. Ze wszelkimi tego konsekwencjami. Ze świadomością skutków.

Nie wybrałem przykładów ekstremalnych. Nie twierdzę także, że postępują tak wszyscy. Mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy taki czas, jak Wielki Post, potrafią spożytkować na poszukiwanie w sobie przyczyn postępowania, bez oglądania się na innych, bez biegania co piątek na drogę krzyżową, byle tylko być, pokazać się, zaliczyć – przed ludźmi, przed światem. Ale poza sobą.

Jestem przeciwko fałszowi w każdej postaci. Jestem przeciwko kłamstwu i zakłamaniu. Jestem przeciwko rozpustnej ascezie. I przeciwko ascetycznej rozpuście również.

Wielki post każdy z nas może zafundować sam dla siebie. Bez względu na to, czy był lub jest wojującym ateistą, czy fanatycznym katolikiem. Czy zmienił hasła i sztandary w stanie wojennym, czy po ubiegłorocznych czerwcowych wyborach. Nie musi to być wcale czas przed Wielkanocą, czy Bożym Narodzeniem. Może to równie dobrze być czas przed 1 maja czy przed 22 Lipca.

Po to, by odbyć drogę krzyżową nie trzeba fałszywie czy na pokaz pędzić w piątkowy wieczór do kościoła. Wystarczy w sobie, w duszy, w środku, krok po kroku przyjrzeć się swojemu upadaniu, powstawaniu, codziennemu krzyżowaniu własnych zasad, ideałów, wzorców i poglądów. Szczerze, ze skrucą, z mocnym postanowieniem poprawy.

Rekolekcje każdy z nas może odbyć sam ze sobą. W ciszy wieczornej herbaty.

Albo w zasnym porannym autobusie. To naprawdę proste. A ksiądz, kościół, konfesjonał pomoc może wówczas, gdy sam na sam nie wychodzi.

Najważniejsza w tym wszystkim jest zgoda z samym sobą. Zgoda – czyli wewnętrzna potrzeba dokonania rachunku sumienia.

Jak stworzyć w sobie taką potrzebę? A może – jak odnaleźć? Czy raczej – jak odkryć?

Czy naprawdę niezbędna jest jakaś szczególna okazja, niezwykle przeżycie, doznanie, doświadczenie życiowe?

Często jest tak, że do spojrzenia w siebie, na nasze uczynki, na sukcesy i upadki, mobilizuje nas, a może nawet zmusza decyzja, którą trzeba podjąć, papier – który ktoś podsuwa nam do podpisania, czy sytuacja na rozdrożu, na którym odnajdujemy się nagle bezradni, pozostawieni samym sobie.

Niekiedy do takiego rachunku sumienia zmusza nas niewidzialny mur, przed którym stajemy nagle – wiedząc, że jest nie do przebycia. A zatem – sytuacje ekstremalne.

A przecież można na co dzień – bez wielkiego postu. Nie na rozdrożu, nie pod murem. Po prostu co jakiś czas warto popatrzeć na siebie bez przyczyny i specjalnej okazji. Po to, by być lepszym.

Czy stać na to mojego znajomego? A panią B.? Chyba nie – i dlatego dla nich Wielki Post staje się okazją jedyną. Muszą mieć pretekst uznawany przez innych. Sami są dla siebie za słabi.

Czy można inaczej? Można. Ale czy trzeba – i czy warto? To jedno z kilku pytań, które wyznaczają sens ludzkiego działania. Zwłaszcza teraz – w szalonych czasach burzenia, budowania, szukania. Czy warto, co ja z tego będę miał, na ile poprawi to moją sytuację życiową... i tak dalej.

A tak bez korzyści materialnych to już nic? Nawet popracować nad sobą nie można? Dla siebie, dla dobra rodziny, najbliższych. Żeby być lepszym człowiekiem. Lepszym nie z racji droższego samochodu czy szykowniej umeblowanego mieszkania. Lepszym duchowo, bogatszym o ten fragment wiedzy o sobie, której nigdy nie dostąpi ktoś inny.

Nie dostąpi, bo starać się nie będzie. Nie ma takiej potrzeby. Jego praca nad sobą to praca na nowe auto, czy droższą kochankę.

Powraca pytanie stare jak świat – jak żyć. I co lepsze – materialne tak sobie z bogatym życiem duchowym, czy prymitywny w uczucia wyższe przepych manifestujący się zawartością portfela, marką samochodu itd.

Pytanie, które od początków świata podzieliło ludzkość na pół. Bez względu na to, w jakim systemie politycznym postawione. Może z wyjątkiem systemu, w jakim przyszło nam, Polakom, żyć od początku tego 1990 roku.

Czy w całym tym rozgardiaszu politycznym, gospodarczym i społecznym, gdy okazuje się, jak wielu spośród nas żyło do tej pory podwójnym, a nawet potrójnym życiem; kiedy wychodzą z ludzi podwójna moralność i elastyczna etyka – czy w tych czasach jest sens stawiania się lepszym? Czy warto nad sobą pracować nie poprzez zmianę legitymacji albo szyldu, nie przez nagłą – o 180 stopni – zmianę poglądów, ale poprzez własne, osobiste, prywatne re-

kolekcje?

Chcemy zmienić Polskę. Uczynić ją praworządną, sprawiedliwą. Uczynić ją krajem, w którym dobro człowieka będzie najważniejsze. Zadanie wielkie. Ale najpierw trzeba zmienić siebie. Od siebie trzeba zacząć, by mieć moralne prawo zmieniać los całego narodu.

Niestety – przemiany tej nie widać. Rozpustnicy na zawołanie przebierają się za ascetów. Asceci świetnie czują się w roli rozpustników. Dekoracje jakby inne, kto inny ustawia światła, na krześle z napisem Reżyser też ktoś nowy. Nie jestem jednak przekonany, czy scenariusz przypadkiem nie ten sam.

I spektakl trwa. Dla jednych to rekolekcje, dla innych kursokonferencja, a dla większości i tak wszystko jedno.

Niekiedy do takiego rachunku sumienia zmusza nas niewidzialny mur, przed którym stajemy nagle – wiedząc, że jest nie do przebycia. A zatem – sytuacje ekstremalne.

A przecież można na co dzień – bez wielkiego postu. Nie na rozdrożu, nie pod murem. Po prostu co jakiś czas warto popatrzeć na siebie bez przyczyny i specjalnej okazji. Po to, by być lepszym.

Czy stać na to mojego znajomego? A panią B.? Chyba nie – i dlatego dla nich Wielki Post staje się okazją jedyną. Muszą mieć pretekst uznawany przez innych. Sami są dla siebie za słabi.

Czy można inaczej? Można. Ale czy trzeba – i czy warto? To jedno z kilku pytań, które wyznaczają sens ludzkiego działania. Zwłaszcza teraz – w szalonych czasach burzenia, budowania, szukania. Czy warto, co ja z tego będę miał, na ile poprawi to moją sytuację życiową... i tak dalej.

A tak bez korzyści materialnych to już nic? Nawet popracować nad sobą nie można? Dla siebie, dla dobra rodziny, najbliższych. Żeby być lepszym człowiekiem. Lepszym nie z racji droższego samochodu czy szykowniej umeblowanego mieszkania. Lepszym duchowo, bogatszym o ten fragment wiedzy o sobie, której nigdy nie dostąpi ktoś inny.

Nie dostąpi, bo starać się nie będzie. Nie ma takiej potrzeby. Jego praca nad sobą to praca na nowe auto, czy droższą kochankę.

Powraca pytanie stare jak świat – jak żyć. I co lepsze – materialne tak sobie z bogatym życiem duchowym, czy prymitywny w uczucia wyższe przepych manifestujący się zawartością portfela, marką samochodu itd.

Pytanie, które od początków świata podzieliło ludzkość na pół. Bez względu na to, w jakim systemie politycznym postawione. Może z wyjątkiem systemu, w jakim przyszło nam, Polakom, żyć od początku tego 1990 roku.

Czy w całym tym rozgardiaszu politycznym, gospodarczym i społecznym, gdy okazuje się, jak wielu spośród nas żyło do tej pory podwójnym, a nawet potrójnym życiem; kiedy wychodzą z ludzi podwójna moralność i elastyczna etyka – czy w tych czasach jest sens stawania się lepszym? Czy warto nad sobą pracować nie poprzez zmianę legitymacji albo szyldu, nie przez nagłą – o 180 stopni – zmianę poglądów, ale poprzez własne, osobiste, prywatne re-

kolekcje?

Chcemy zmienić Polskę. Uczynić ją praworządną, sprawiedliwą. Uczynić ją krajem, w którym dobro człowieka będzie najważniejsze. Zadanie wielkie. Ale najpierw trzeba zmienić siebie. Od siebie trzeba zacząć, by mieć moralne prawo zmieniać los całego narodu.

Niestety – przemiany tej nie widać. Rozpustnicy na zawołanie przebijają się za ascetów. Asceci świetnie czują się w roli rozpustników. Dekoracje jakby inne, kto inny ustawia światła, na krześle z napisem Reżyser też ktoś nowy. Nie jestem jednak przekonany, czy scenariusz przypadkiem nie ten sam.

I spektakl trwa. Dla jednych to rekolekcje, dla innych kursokonferencja, a dla większości i tak wszystko jedno.

Rzeczpospolita przyjaciół

Której by człowiek gazety do ręki nie wziął, któregokolwiek programu radiowego nie słuchał, czy telewizyjnego nie oglądał – wszędzie słysząc, że ciężko, źle, że może być jeszcze gorzej – i że trzeba się za wszelką cenę bronić. W pojedynkę i w zorganizowanych grupach. Indywidualnie i zbiorowo. Przez komitety samopomocy, grupy solidarnościowe, samorządy, pogotowia życzliwości i tak dalej, i temu podobne. Na mój gust – za dużo tej agitacji, pachnącej ciut nieświeżo, bo robionej starymi metodami. Niestety – skoro reformę ustroju rozpoczęto od innej strony, niż należało – takie są konsekwencje. Dlaczego z innej – ano dlatego, że najpierw należało przygotować odpowiedni system obrony i ochrony społeczeństwa przed szokiem cenowym, bezrobociem, spadkiem produkcji itd. Minister Kuroń co tydzień tłumaczy się wdzięcznie przed kamerą, ale z tego jakby się jeszcze nie wytłumaczył.

Na mój gust, tej szerokiej agitacji już wystarczy. Ludzie i bez tego zrozumieli, że jeśli sami sobie nie poradzą, nikt się o nich nie upomni. Samorzutnie tworzą się osiedlowe pogotowia życzliwości, parafialne komitety pomocy, nawet jakieś międzyblokowe grupy samopomocy ludzkiej. Zbierają ludzie używane buty, ubrania, ba – nawet domowe sprzęty ciut więcej zużyte – i ofiarowują bardziej od nich potrzebującym. Oczywiście – najłatwiej odnaleźć w gazecie numer odpowiedniego konta, wpłacić mniej lub bardziej okrągłą sumkę – i spokój. Kwitem z poczty, na którym stoi jak wół, że na konto SOS wpłacono tyle a tyle zasłaniać się można, tłumaczyć czy chwalić do końca życia. Znacznie trudniej jednak wznieść się troszkę wyżej – na poziom organizatorski, taki rzec by się chciało pozytywistyczny, jakby pracy u podstaw. Nie dać, wpłacić i spokój. Przeciwnie – szukać potrzebujących, odnajdywać takich, którzy chcą pomóc, ułatwić im spotkanie, zająć się tym, co zawsze w na-

szym społeczeństwie było najtrudniejsze – społecznikiem. Wziąć się za to ot, tak – z potrzeby serca, z pasji. Z uczucia zrozumienia tych potrzebujących. Bez wynagrodzenia, czy innych korzyści materialnych.

A jednak spotykamy takich ludzi. Są wśród nas. Gotowi w każdej chwili dać z siebie jak najwięcej innemu człowiekowi. Pytamy ich wtedy z zdziwieniem – Stary? Ty? Nigdy bym się nie spodziewał, że z ciebie taki społecznik! I zaraz potem bywa nam – pytającym – tak bardzo głupio z powodu tego pytania. Głupio – ponieważ nas na to nie stać. Ich stać. Czy są innymi ludźmi niż my, z pewnością nie. Co zatem sprawia, że oni mogą, że im się chce – a nam nie. Jest to kwestia i wychowania, i przykładu, i doświadczenia życiowego. Ludzie mówią, że ktoś, kto choćby raz w sytuacji dla siebie krytycznej doznał lub raczej doświadczył pomocy od drugiego człowieka, przynajmniej raz w życiu z taką pomocą ze swojej strony pospieszy.

Jest to także kwestia życia duchowego człowieka. Jak bardzo trzeba znać samego siebie, jak mocno kochać bliźniego, by się na takie społeczne działania zdobyć. Klucz do najzwyczajszej ludzkiej solidarności z drugim człowiekiem leży w sercu każdego z nas. Sek w tym, jak go odnaleźć i które drzwi otworzyć. Czy te z napisem : Egoizm, czy te z tabliczką : Przyjaźń.

Któż z nas nie zna tego przysłowia – o prawdziwych przyjaciółach, których poznaje się w biedzie.

Jeśli sytuację, w jakiej znalazło się obecnie wiele polskich rodzin można nazwać biedą, to teraz właśnie nadeszły czasy prawdziwych przyjaźni, prawdziwych przyjaciół. Właśnie teraz – kiedy nieraz brakuje do pierwszego, a człowiek wstydzi się iść do sąsiadów pożyczyć. Teraz - kiedy na jednym piętrze tego samego bloku bezrobotny mieszka z właścicielem prywatnego zakładu produkcyjnego. Kiedy samotna matka wychowująca troje dzieci zbiera po śmietnikach używane buty i odzież, a paniusia dwa piętra niżej, która te buty i odzież wyrzuciła patrzy na to z uśmiechem pogardy na twarzy.

Teraz jest czas na ludzką przyjaźń. Na otwarcie się dla drugiego człowieka, na solidarność, współczucie, zrozumienie i bezinteresowną pomoc. Może właśnie w tych czasach właściciel prywatnej

fabryczki mógłby zatrudnić bezrobotnego sąsiada. Może paniusia z pierwszego piętra – mogłaby sandałki, trampki czy adidasy miast na śmietnik – zanieść samotnej matce dwa piętra wyżej. Na taką przyjaźń nadszedł czas. Wróćmy temu słowu jego pierwotne znaczenie. Słowo to, jak wiele innych, zdeprawowano przez lata fałszywych przyjaźni, obłudnych układów itd. Kto z nas może dziś powiedzieć, że ma takich prawdziwych, oddanych, gotowych na wszystko przyjaciół. Czy przyjaciela?

Podczas przedświątecznych porządków na półkach odnalazłem zapomnianą nieco książkę. „Rzeczpospolita przyjaciół” Stąd wzięłem tytuł tego felietonu. Jej autor – Edward Abramowski – pisał prawie 80 lat temu tak: „Moc społeczeństwa, jego wszechstronny rozwój, zawierający w sobie wszechstronny rozwój jednostek, ma za podstawę życie stowarzyszeniowe, solidarność wolną, redukująca do minimum funkcje państwa. Życie stowarzyszeniowe wynika z wnętrza jednostki, wymaga jej uspołecznienia, dobrowolnej solidarności. Wynikać ono powinno – nie ze względów utylitarnych, lecz z potrzeb moralnych – przyjaźni”

Właśnie Abramowski rzucił pomysł tworzenia Związków Przyjaźni, opracował nawet ich regulamin, struktury i tak dalej. Pisał jasno i otwarcie, że „zadaniem Związków Przyjaźni jest stwarzanie nowego człowieka i tą drogą stwarzanie nowego życia społecznego”.

I jeszcze jeden cytat z traktatu o związkach przyjaźni „Solidarność społeczna musi mieć swoją duszę, nie dość jest, aby tworzyła się pod presją życia. Duszą solidarności jest przyjaźń, objawiająca się bez interesu osobistego we wszystkich sprawach życia, zarówno indywidualnych, jak i społecznych”.

Może takiej właśnie przyjaźni nam, Polakom, teraz potrzeba. Bardziej niż przyjaźni z Czechami, Słowakami, Litwinami czy Węgrami.

Może takiej właśnie przyjaźni trzeba w niespokojnej Polsce 1990 roku, przed wyborami do samorządów. Przyjaźni ludzkiej, człowieczej – w obliczu coraz gorszego życia wyzwalającej w nas najbardziej ukryte pierwiastki człowieczeństwa.

Dobrze wiemy po minionych 45 latach co się kryło za hasłami o przyjaźni między narodami. Powoli dowiadujemy się, co się kryło

za słowami układów o przyjaźni, pomocy i współpracy gospodarczej – i tak dalej.

Co wcale nie przeszkadzało, by w ciągu tych 45 lat zadziergnęło się wiele wspaniałych, prawdziwych, ludzkich i szczerych przyjaźni. Między Polakami a Rosjanami, między Polakami a Niemcami, między Czechami i Litwinami. Konfiguracje można mnożyć. Prawdziwa przyjaźń nie zna ustrojów, reżimów, nie zna ani granic politycznych, ani duchowych. Jest ponad wszystko. Wspaniale mówił o tym podczas swojego pobytu we Wrocławiu Bułat Okudźawa.

Nam potrzeba przyjaźni codziennej, życiowej. Przyjaźni, która obroni nas przed głodem, chłodem, przed ubóstwem materialnym i duchowym, przed bezrobociem i przed chorobą psychiczną. Potrzeba nam – ludziom mieszkającym w tym kraju – przyjaźni, która pozwoli obronić się przed każdą rewolucją gospodarczą, przed każdą komuną – jakakolwiek by ona nie była, a nawet przed totalitaryzmem.

Wróćmy jeszcze do Edwarda Abramowskiego. Na zakończenie swojej pracy o Związkach Przyjaźni zamieścił on tekst przyrzeczenia, które mieliby składać wszyscy do Związku wstępujący, brzmi ono tak:

Ja, Wiesław Szymański, przyrzekam wobec Boga i sumienia własnego, że od tej chwili będę wystrzegał się w życiu swoim samolubstwa, że nie będę nigdy krzywdził innych ludzi dla swego interesu, że przeciwnie – starać się będę w miarę swoich możliwości pomagać innym i stosować w życiu swoim idee pomocy wzajemnej i odnosić się do innych ludzi jak do przyjaciół, których bieda i krzywda nie mogą być dla mnie obojętne. Przyrzekam zupełną szczerłość w postępowaniu, jak również wystąpienie ze Związku, gdyby życie moje nie zgadzało się z głównymi zasadami Związku – pomocy wzajemnej i przyjaźni ludzkiej”.

Co odczytawszy ogłaszam, że czekam na wszystkich, którzy idee Rzeczpospolitej Przyjaciół popierają. Składek nie będzie, legitymacji też, najważniejsza jest przyjaźń.

Jej nam teraz najbardziej potrzeba.

Z powodu wywieszki

Wydawać by się mogło, że wraz z odejściem najbardziej sprawiedliwego systemu społecznego, jakim był socjalizm - z naszego codziennego życia znikną też wszelkie jego pozostałości w rodzaju nonsensownych przepisów, regulaminów, rozporządzeń i tak dalej.

Tak się jednak nie stało. Zakodowane w naszej podświadomości, zaszczerpane pod skórę - dają o sobie znać w najmniej oczekiwanych momentach i miejscach - od sali sejmowej poczynając, na podstawowym szczeblu administracji kończąc. Oto przykład:

W jednej z białostockich przychodni zdrowia znalazłem kartkę następującej treści:

„Do gabinetu okulistycznego przyjmowani są poza kolejnością niemowlęta, kombatanzi i ciała obce - wapno”. Koniec cytatu.

Na szczęście oczy mam jeszcze zdrowe, więc nie będąc osobiście zainteresowany wizytą u okulisty - mogłem baczniejszą uwagę poświęcić owej wywieszce.

Niemowlęta - rozumiem - spieszy im się. Do świata i do życia. Do żłobka, przedszkola, do szkoły, do studiów i do dorosłości. Każdy dzień się liczy - dobrze, że w projektach reformy polskiego systemu oświaty nie ma jeszcze egzaminów wstępnych do podstawówek.

Muszą się więc niemowlaki spieszyć i w kolejce do okulisty czasu tracić nie mogą.

Ale kombatanzi? - tego już nie rozumiem. Dokąd im spieszo, że kilku godzin, przepraszam, kilku minut oczywiście, poczekać nie mogą? Do ubezpieczalni?. A ileż oglądać można marmury, skóry, pionowe żaluzje - coraz tego więcej, coraz bardziej bogato. Za to na odcinku emerytury co miesiąc - coraz mniej. A tu - proszę - do okulisty bez kolejki.

Co na to emeryci i renciści? Muszą swoje w ogonku odcze-

kać? A może mniej zasłużeni?

Gorsi - bo nie przeszli kilku frontów, obozów, nie byli represjonowani przez najeźdźców, okupantów i władzę ludową. Przepracowali po 30, 40 lat w jednym i tym samym zakładzie czy przedsiębiorstwie, wychowali pokolenia mądrych dzieci, doczekali wnuków, prawnuków, polskiego kapitalizmu i unii europejskiej pukającej do naszych drzwi - i żeby sprawić sobie nowe okulary muszą czekać w kolejce.

Mniejsza o to. Najbardziej intrygujące w owej wywieszce są „ciała obce”. Zakładam, że nie chodzi o uśpionych agentów KGB, którzy niczym niedźwiedź na zimę - zapadli w sen na czas polskich przemian, a których nasze sukcesy w budowie rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego tak oślepiły, że konieczna jest wizyta u okulisty.

Domniemywam - że nie chodzi też o obiekty zrzucane przed laty z amerykańskich samolotów w postaci imperialistycznej stonki, gdyż z nimi władza ludowa - dzięki zastosowaniu kolektywizacji, nawożenia i PGR-ów - uporała się już dawno. I to na tyle skutecznie, że wszelkie transformacje w genetycznie nową postać byłyby niemożliwe.

Zwrot „ciała obce” - może natomiast być wskazówką dla tych, którzy nie mają czasu czekać w kolejce do okulisty, mają natomiast zagraniczne środki płatnicze, by za nią zapłacić. Nazwanie dolara, marki czy funta - ciałem obcym - jest subtelne, dyskretne i - co najważniejsze - nie wzbudza podejrzeń rodaków dysponujących tylko i wyłącznie ciałem własnym - czyli złotym nowym polskim, zwanym potocznie - gronkiewiczówką walcowaną.

Rozwiązanie tego wywieszkowego rebusu komplikuje dopisek - wapno - gdyż tak to dosłownie brzmi - „ciała obce - wapno”. Napewno nie chodzi o dinozaury - gdyby ich szkielety uległy zwapnieniu, nie zachowałyby się do naszych czasów - i na czym wtedy zrobiłby majątek Steven Spielberg.

A może - pomyślałem sobie - w gabinecie przyjmuje młody lekarz, świeżo po studiach - i w ten sposób zachęca rodziców swoich kolegów, przyjaciół i znajomych, by los ich oczu powierzyli właśnie jemu. Ponieważ zaś w żargonie młodzieżowym określenie „wapniak” dotyczy tej części społeczeństwa, której stuknęła już

czterdziestka - młody lekarz postanowił reklamować się w inteligentny i oryginalny sposób.

Mając w pamięci niektóre reklamy emitowane w publicznej telewizji - ów okulista otrzymać powinien Tytana - za tytaniczny krok naprzód w rozwoju polskiej reklamy.

Niby zwykła kartka i kilka słów w języku polskim. A ileż możliwości interpretacyjnych!

I jakże olbrzymie pola owej interpretacji! Można niejedną kolejkę opuścić - i to nie tylko do okulisty.

Nie dajmy się. Wywieszkom, ogłoszeniom, rozporządzeniom, pismom urzędowym. To nie nam - pacjentom, klientom, petentom, adresatom - potrzebny jest lekarz, lecz autorom tej radosnej twórczości. I to wcale nie okulista.

Gogol

Mikołaj Gogol - znakomity rosyjski satyryk, autor nieśmiertelnego „Rewizora” - w jednym ze swoich listów do przyjaciela napisał kiedyś, że „należy wiedzieć, komu zaproponować posadę lokaja”. Czy ów przyjaciel skorzystał z rady - nie wiadomo.

Wiemy natomiast, że na publikacji takich właśnie aforyzmów biedny Gogol straszliwie się przejechał. I to życiowo.

Przepraszam za kolokwializm - „przejechał” - ale Zabłockiego i mydła nie będę tu przywoływał z uwagi na inne zgoła skutki obu operacji.

Zabłocki stracił trochę grosza i opinię faceta od interesów. Gogol - znacznie więcej. A wydawać by się mogło, że pomysł jest niezły.

Oto w 1847 Mikołaj Gogol - znany już i sławny po opublikowaniu „Płaszcza”, „Ożenku”, „ Martwych dusz” oraz „ Rewizora” - postanowił wydać książkę złożoną z fragmentów pisanych przez siebie listów. Adresatami owych listów byli ludzie majątni, znani, powszechnie szanowani - wszyscy gotowi byli nazwać siebie przyjaciółmi mistrza Gogola.

Książka także właśnie adekwatny tytuł nosiła - „Wybrane fragmenty z korespondencji z przyjaciółmi” - i miała być głosem autora w dyskusji nad kondycją współczesnej Rosji i całego świata tudzież. Słowem - miało to być gogolowskie dzieło życia.

Przyjęta została zgoła inaczej - przyniosła autorowi wiele nieprzyjemności i rozczarowań, niektórzy przyjaciele obrazili się śmiertelnie, inni odsunęli się od Gogola na zawsze. Zamiast wielkiego sukcesu - wielkie rozczarowanie, alienacja, samotność a nawet - jak dowodzą niektórzy badacze - właśnie recepcja tej książki była przyczyną przedwczesnej śmierci pisarza.

Po wielu latach refleksję nad myślami Gogola z owej nie-

szczęśnej książki znaleźć można u Turgieniewa, Lwa Tolstoja, a nawet u Dostojewskiego. A przecież nie pisał Gogol nic straszne-
go, żadnych rewolucyjnych myśli - oto kilka najpiękniejszych:

„Język to główna broń pisarza”. Albo - „Jak masz urząd - to urzęduj!” czy choćby :

„Chaos zawdzięczamy nie tyle głupcom, co mędrcom, którzy przecenili swoje siły”.

Przypomniałem sobie kilka co trafniejszych aforyzmów Gogola zupełnie przypadkowo. Szczególnie ten o lokaju. Zakończyło się mniej czy bardziej szczęśliwe polowanie na ministrów, lada dzień skończy się wielka konspiracja powyborcza - i naród cały, my - czyli społeczeństwo - urzemy wreszcie tych, od których zależy nasze życie przez następnych lat kilka. Z telewizyjnych przekazów niektóre twarze znamy aż za dobrze, kojarzą się mniej lub bardziej. Jednym bliżej do Gogola, inni już upodobnili się do Rejtana, jeszcze inni mówią to telewizyjnej kamery tajemniczym szeptem w tonacji Konrada Wallenroda.

A przeciętny widz przed telewizorkiem głupiej już nie tylko od fleszy rodzimych paparazzi, ile od tajemniczego bełkotu wcale nie tajemniczych rewizorów. A najbardziej mnie śmieszą właśnie oni - z góry bowiem wiadomo, jaką rolę w całym tym przedstawieniu grają - a jak pięknie udają, że o niczym nie wiedzą.

Ale, ale - z szacunkiem proszę - nigdy bowiem nie wiadomo, gdzie, kiedy i przy jakiej okazji możemy spotkać tę twarz, usłyszeć ten głos, ścisnąć tę dłoń. Jak podała Polityka - w całej miłościwej Rzeczypospolitej powyborcza karuzela stanowisk objąć może prawie 40 tysięcy urzędników. Nie sądzę, by wszyscy znali ten aforyzm Gogola o lokajach.

Zły aktor - pisał autor „Martwych dusz” - zły aktor co najwyżej potrafi przedrzeźniać.

Co potrafi zły lokaj - o tym Gogol nie pisze ani słowa.

Dżungla

Wydawać by się mogło, że co jak co, ale giełda papierów wartościowych, jest systemem klarownym, rządzącym się jasnymi przepisami, systemem - w którym obowiązują przejrzyste zasady prawne i nie mniej zrozumiałe prawa finansowe. I to bez różnicy - czy będzie to giełda w Hong Kongu, Moskwie, Nowym Jorku, Frankfurtu czy Warszawie, o Londynie już nie wspominając. Okazuje się jednak, że niekiedy giełda bardziej przypomina dżunglę, niż cywilizowany system stworzony przez białego człowieka. A dżungla rządzi się innymi prawami.

Jak pokazały wydarzenia minionego tygodnia wystarczyło, że chiński niedźwiedź podniósł ledwie łeb, nie machając nawet łapą, a byki w Tokio, Nowym Jorku i całej Europie uciekały gdzie pieprz rośnie, zostawiając bezradnych matadorów - przepraszam - maklerów i osłupiając w przestrachu publiczność - czyli giełdowych graczy całego świata. Niedźwiedź używał sobie od poniedziałku do piątku ile wlezie, wcale się nie przejmując faktem, iż niektórym matadorom odebrał kilka czy kilkanaście milionów dolarów, innym zaś wszystko - czyli godność - a w konsekwencji życie.

Jasne, że kiedy niedźwiedź - giełdowy symbol bessy walczy z bykiem - symbolem hossy - reszta zwierzyńca może sobie przy pańskim stole poużywać. Tygrysy i lwy objadły się już następnego dnia. Lisy - dopiero po konsultacjach z wilkami, a resztek zdążyły jeszcze dopaść sępy i hieny.

To wielkie żarcie jednym już się odbija, inni - jak choćby tchórze, borsuki czy leniwce - mają kaca z powodu opieszałości, własnej zresztą. Niezrozumiała jest natomiast postawa rekinów, które tym razem trzymały się z boku obserwując rozwój wypadków. Ta bierność - niestety musiała kosztować - rekin imieniem Bill nazwiskiem Gates - właściciel dolaronośnego oceanu pod nazwą Micro-

soft - stracił jak sam przyznał - trochę.

Że za owe - trochę - żywić by można głodującą Koreę co najmniej przez miesiąc - tego pewno sobie sympatyczny pan Bill nie skojarzył. Tak samo jak premier ludowych jeszcze Chin na oczach całego świata nie kojarzył co do niego mówi inny Bill - Clinton - o łamaniu praw człowieka, egzekucjach, więźniach politycznych i okupacji Tybetu - i w kilka minut później - z twarzą pokerzysty powtarzał, że egzekucje, więźniów politycznych i Tybet wymyślił dziennikarze. Amerykańscy zresztą. Kiedy to mówił - kamery - amerykańskie zresztą - nie pokazały twarzy Clintona.

Szkoda - chciałbym widzieć jak wygląda facet, któremu na oczach połowy świata wciska się po prostu kit. Może gdyby robił to jakiś mało ważny watażka z archipelagu Samoa albo demokratycznie wybrany prezydent z zacisznego zakątka Europy Wschodniej?

Ale tu - chiński niedźwiedź - a na dodatek z ciepłym jeszcze kontraktem na zakup 50 samolotów w kieszeni. Zresztą zaraz po jego podpisaniu sytuacja w dżungli uległa wyraźnej poprawie - niedźwiedź odpuścił, a byk nieśmiało wyjrzał zza ogrodzenia. Odetchnął też głęboko bohaterski naród Chin - i przekonany, że wielki biały brat w Waszyngtonie musiał coś pokręcić i z Tybetem, i z więźniami - zabrał się ochoczo do pracy, by do końca tysiąclecia zbierać wnukom pierwszą ratę na przelot nowiutkim Boeingiem z Szanghaju do Pekinu.

Na szczęście na przelot z Warszawy do Krakowa nie muszą pracować trzy pokolenia rodaków, więźniów politycznych u nas nie ma, niedźwiadkowi pana Rozłuckiego rosną dopiero zęby, a w ogóle to mamy nowy rząd - i co nas obchodzi cała ta dżungla.

Byle w naszym zagajniku był spokój. A od tego jest gajowy - więc nie mąćmy sobie głowy - czego i państwu życzę na cały tydzień.

O hibernacji

„Uwaga, uwaga, uwaga - w związku z wcześniejszym niż planowano nadejściem zimy - na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej ogłasza się stan hibernacji pierwszego stopnia aż do odwołania” - jak przyjęlibyście państwo taką informację, podaną w niedzielny poranek we wszystkich programach radia i telewizji? Proszę nie mylić stanu okresowego zamrożenia ze stanem wyjątkowym czy wojennym - jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Szukające, prawda? Zamrozić cały kraj - społeczeństwo, gospodarkę, politykę - i poczekać do wiosny. Niemożliwe? - dlaczej - skoro ok.. kilkunastu lat przestawiamy czas z letniego na zimowy i odwrotnie - darowując sobie lub odbierając godzinę - nie możemy sobie pozwolić na czasowe wyłączenie się z europejskiego i światowego obiegu?

Przecież informacje o „zamrożeniu stosunków pomiędzy takim to a takim państwem” słyszymy często. Jeśli można zamrozić stosunki międzynarodowe - nie można wewnątrzpaństwowych?

Od dyplomatycznych poczynając - na pozamałżeńskich kończąc?

Po pierwsze - jakież to byłby oddech dla naszej gospodarki. Zmęczona pogonią za normami unii europejskiej, szarpana pospieszonymi prywatyzacjami, szczypana raz po raz oskarżeniami o dumping i inne ingi oraz izmy - mogłaby trochę ochłonać.

Po drugie - taka okresowa hibernacja mogłaby mieć zbawienny wpływ na naszych polityków, posłów, senatorów, ministrów, wojewodów, nie mówiąc o prezydencie i premierze.

Rozgrzane powyborczymi zmianami serca, rozpalone nowymi możliwościami głowy, żarzące się od planów i intryg mózgi - mogłyby ochłonać, ostygnąć, wrócić do stanu normalności. Iluż gorączkowych decyzji możnaby uniknąć? Ile sporów personalnych za-

żegnać? Ilu ludzi przed skutkami owej administracyjnej maszyny uchronić? Z korzyścią dla nich samych, ale i dla kraju.

Po trzecie wreszcie - okresowa obowiązkowa ogólnopolska hibernacja krótkoterminowa ostudziłaby z pewnością nas - czyli społeczeństwo. Wszelkie - nawet potencjalne - ogniska społecznego niezadowolenia dałoby się wygasić.

Okresowe zamrożenie rozbuchanej krwi w żyłach młodszej części populacji spowodowałoby zmniejszenie liczby napadów, rozbojów i morderstw. Szczególnie groźne dla społeczeństwa jednostki możnaby zamrozić na dłużej. I tak dalej. Warianty hibernacyjnego systemu penitencjarnego opracować by mogła specjalna komisja.

Nie wspomnę już o drogowcach, którzy nie musieliby walczyć z zimą - czy o energetykach, którym wiosną z czystym sumieniem wypłacić by można extra premie za oszczędności.

Jestem przekonany, że wprowadzenie okresowej hibernacji Polski przyjęliby ze zrozumieniem nasi zachodni i wschodni partnerzy. Nato i Unia Europejska nie musiałyby spieszyć się z zaproszeniem nas do rozmów, a prezydent Jelcyn miałby w końcu głowę i czas by ostatecznie dogadać się z Japonią co do Wysp Kurylskich.

Chyba że - i to jest niebezpieczeństwo - kanclerz Kohl umówiłby się z Jelcynem na ryby spod lodu gdzieś nad Niegocinem. Mogliby nas wtedy potraktować jak wielkie lodowisko - a gdyby im się ta sytuacja spodobała... aż strach pomyśleć.

Chyba nam to jednak nie grozi. Jesteśmy narodem o największym spożyciu czystego spirytusu na głowę. I w związku z tym obawiam się - czy da się nas po prostu zamrozić.

A jeśli nowy minister zdrowia zapowiada, że pieniądze dla anestezjologów szukać będzie min. w podwyżkach cen alkoholu - czy wobec takiego apelu możemy pozostać obojętni?

Póki co więc - mimo ewidentnych korzyści - hibernacja nam nie grozi.

Lepsi, gorsi

Mój dobry znajomy - prawnik oblatany w zagranicznym światku finansowym - powiedział mi kiedyś, że jego klienci - wyruszając na biznesowe rozmowy do naszego kraju - zabierają ze sobą dwie teczki - dużą i małą. Pierwsza musi być koniecznie skórzana, mieć znak najlepszej firmy - i świadczyć o pozycji jej właściciela i zasobności jego portfela.

Druga powinna być mniejsza, nie rzucać się w oczy - a zaufanie budzić nie znakiem producenta, lecz zawartością. Duża teczka potrzebna jest - gdy się rozmowę o interesach rozpoczyna, mniejsza - gdy trzeba je owocnie zakończyć. Kolor skóry, jej jakość oraz markę producenta dobiera się w zależności od szczebla, na jakim toczą się rozmowy. Podobnie jest z zawartością. Ponoć kiedyś było łatwiej - wystarczyło potwierdzenie przelewu do któregoś z banków w Szwajcarii. Teraz jest o tyle gorzej, że bez gotówki dogadać się nie idzie. Nawet wachlarz kart kredytowych we wszystkich kolorach - wyłożony jak pasjans na stole - przekonać nie potrafi - tak się naród uwstecznia, miast iść z postępem. Tylko cash i cash - czyli gotówka.

I choć nikt, nigdy, nikogo nie złapał za rękę - w potocznej opinii Zachodu jesteśmy najbardziej przekupnym społeczeństwem w Europie. Oczywiście - po Rosjanach - co wyczytać można było niedawno między innymi w Polityce.

Nie wiem jednak, czy Rosjanie są od nas lepsi także w innej dziedzinie - organizacji publicznych przetargów. U nas ciągle wygrywa nie ten, kto oferuje najwięcej, nie ten - kto przedstawia solidny biznes plan - ba, zdarza się nawet, że przetarg wygrywa firma - która nie wpłaciła nawet należnego wadium. Ot, co!

A ostatnio polską specjalnością stają się przetargi błyskawiczne. I tu prawdziwy powód do dumy - rekord w tej dziedzinie należy

do naszego miasta - 5 hektarów za 10 milionów - a wszystko w minutę. No i niech nas pobiją Rosjanie, Amerykanie czy Francuzi ! Właśnie - Francuzi - biją nas na głowę w sztuce kochania - ale co to ma wspólnego z biznesem. Chyba, że u nich wprowadzono już oficjalnie płciowe stosunki biznesowe. Można załatwiać interesy podczas lanczu - można i w łóżku. Jest to wielce prawdopodobne - bo czyż inaczej Francuzi byliby lepsi od Kanadyjczyków?

A to właśnie faceci uganiający się na co dzień za reniferami byli dotychczas uznawani za najlepszych w ars amandi - tak przynajmniej wynikało z ankiety, jaką każdego roku organizuje jeden z największych na świecie producentów prezerwatyw. Wyniki tegorocznej opublikowała wczoraj Gazeta Wyborcza.

I górą Francuzi - nie dość, że kochają się 151 razy w ciągu roku, to na wymarzonych partnerów do łóżka wybrali Amerykanów - panie - Brada Pitta, panowie zaś - Sharon Stone. Ciekawe - czy Polki wybrałyby Pazurę czy Lindę, a panowie - Kasię Figurę, a może Dorotę Segdę.

U nas takich badań producent prezerwatyw nie robi. Ledwie co debiutował na giełdzie papierów wartościowych, a tu minister od nauki ogłosił, że wychowania seksualnego w szkołach nie będzie - i akcje spadły w dół. Jak to wszystko od wszystkiego w życiu zależy.

Polacy i Polki wypadli w owej ankiecie słabo - kochają się rzadko i krótko - ale są za to zadowoleni z siebie i wierni. I tu bijemy Rosjan - wybitnych egoistów - oraz Chińczyków z Hong Kongu - ci są ciągle w pracy. Szkoda, że nikt nie zapytał o zdanie obywateli Chin Ludowych - ich opinia w tej kwestii mogłaby być rewolucyjna.

Chociaż - kto dziś zna to słowo - 80 rocznica największej w dziejach świata rewolucji minęła bez echa. Nawet defilady na Placu Czerwonym nikt nie transmitował. Bardziej nas dziś ciekawi współżycie seksualne od klasowego.

Górą Francuzi. Na szczęście w przetargach na czas - jesteśmy nie do pobicia.

Wielbłąd, a sprawa polska

No i staliśmy się sławni. Z dnia na dzień, na całym świecie, w telewizji, w gazetach, nawet w Internecie. Nie ma w tym zasługi premiera Buzka i jego sejmowego expose, ani księdza Henryka Jan-kowskiego, nie jest to też zasługa Jana Englerta i jego nowej wersji Dziadów, nie maczał w tym palców ani Bagsik, ani Gawronik. Od poniedziałku piszą o Polsce i mówią prawie wszystkie liczące się gazety, stacje telewizyjne i radiowe - a żeby było śmieszniej - powód owej sławy ma wcale nie współczesny - demokratyczny i kapitalistyczny rodowód. Wprost przeciwnie - wywodzi się z okresu szczytowego rozkwitu gospodarczego dojrzałego socjalizmu.

Chodzi o polski samolot rolniczy Dromader, który według informacji amerykańskiego wywiadu specjaliści z Iraku przerobili na zdalnie sterowaną maszynę mogącą zrzucić broń bakteriologiczną. Pod koniec lat osiemdziesiątych „Wielbłądka” kupowali u nas wszyscy - od towarzyszy z NRD poczynając na bratnim narodzie afrykańskim kończąc. Zakłady w Mielcu wyprodukowały prawie 700 takich maszyn. Najwięcej trafiło... do Stanów Zjednoczonych.

A teraz - właśnie Amerykanie - wyszpiegowali nasz samolocik w Iraku.

Jeśli żołnierze nauki od Saddama Husajna potrafili - w pustynnych bunkrach, bez dostępu do nowoczesnej technologii, posiłkując się li tylko doświadczeniami przekazanymi przez bratni naród radziecki - przerobić Dromadera na maszynkę do rozsiewania śmierci, aż strach pomyśleć - na co mogli ją przekonstruować towarzysze z Laosu czy Ludowej Republiki Jemenu. Nie mówiąc już o Amerykanach. Kto wie, czy w udanych misjach Challengeera nie ma swojego udziału nasz samolocik. Tego nie dowiemy się nigdy. Podobnie - jak nikt nie jest w stanie udowodnić, czy cała afera z Dromaderem nie jest przypadkiem dziełem amerykańskich służb specjal-

nych.

Przepraszam - może oglądam za dużo filmów w rodzaju „Raport Pelikana”, „Czwarty Protokół” czy „Polowanie na Czerwony Październik” - ale to sami Amerykanie poprzez takie obrazy pokazali światu kulisy wielkiej polityki. Może scenariusz filmu pod tytułem „Kryptonim Dromader” ktoś już pisze? Jaki scenariusz? - prościutki. Oto jeszcze przed operacją Pustynna Burza amerykańskie siły specjalne stacjonujące w Berlinie Zachodnim, dysponujące kupionymi w Polsce Dromaderami dokonują zamiany jednego z samolotów na inny - odpowiednio wyposażony, przeznaczony do transportu broni jądrowej bądź bakteriologicznej.

Maszyna jedzie z byłego NRD-ówka jako dar socjalistycznych Niemiec do Bagdadu, gdzie ma służyć do celów rolniczych. Rozpada się jednak berliński mur, Irak wikła się w wojnę w Zatoce Perskiej - i o bezcennym darze Saddam zapomina. A ponieważ już wcześniej wiadomo było, że Irak prowadzi doświadczenia z bakteriami - wystarczy, że w czasie operacji Pustynna Burza trójce amerykańskich agentów udaje się na pokład zapomnianego Dromadera dostarczyć kilogram czy dwa bakterii wąglika - i już. Teraz pozostaje tylko dodać dziennikarza albo kuso odzianą, smukłonożą żurnalistkę, która całą sprawę wytropi i wydrukuje pod dobrym tytułem - np. „Polska - z wielbłądem Saddama do NATO!”

Wytrawnemu scenarzyście pozostaje tylko ubrać to w pościgi, strzelanki, trochę trupów i super zdjęcia trickowe. Sukces murowany. Komisarz Halski jest bez szans - chyba, że film powstawałby w kooperacji. Przy dobrym scenariuszu roboty byłoby na jakieś dwieście odcinków, a Marek Kondrat mógłby w końcu zagrać u boku Nicole Kidman i Harrisona Forda. Byłby hit i nominacje do Oscara, a Bolek, Lolek i Olin - pękliby z zazdrości.

Po tak długim weekendzie - różne pomysły przychodzą do głowy. Jestem przekonany, że sprawa polskiego samolotu nie zagrozi nam drogi do NATO. Sądzę jednak, że nowy rząd powinien zrobić remanent-co też myśmy ostatnio sprzedawali, kiedy i komu.

Tak na wszelki wypadek.

Pieski świat

Pisanie o własnym psie może być odebrane jako szczyt megalomanii- zgoda. Sądzę jednak, że bardziej etyczne jest pisanie o swoim psie, niż o sobie. Nie da się jednak własnego psa cytować - szkoda, bardziej to uczciwe, niż cytowanie siebie przy każdej okazji - co uważam za szczyt narcyzmu w wersji skrajnie zdeformowanej. Zwroty w rodzaju - „pozwolę sobie siebie samego zacytować”, czy „jak napisałem dawno, dawno temu” - robią wrażenie tylko i wyłącznie na osobie je wypowiadającej, słuchaczy przyprawiają raczej o niesmak niż o uwielbienie.

Kiedy po porannym spacerze - jak zwykle - sypnąłem mojemu psu do miski garść ciemnobrazowozielonych kulek - spojrzał na mnie wymownie, jakby chciał powiedzieć - znów to samo! Nie masz nic innego! Jeśli powiedział to bardziej stanowczo - może i lepiej, że nie mogę go cytować.

O co ci chodzi, morda? - zapytałem. Przecież lubisz te swoje kulki, zajadasz się nimi od lat, a tu raptem co? Przekrzywił łeb, mlasnął jęzorem - może zrozumiał.

Usiadłem obok niego na podłodze, sięgnąłem po ciemnozielonobrazową kulkę, nadgryzłem - Nieźle! - wcinaj. Klapnął obok miski, łeb położył na łapach i czeka, jakby chciał powiedzieć - sam sobie jedz.

Czy ty możesz sobie -morda -wyobrazić, o ile mniej skomplikowany stałby się świat, gdyby ktoś wymyślił takie kulki dla ludzi? Wstajesz o szóstej, golenie, prysznic, śniadanie, kawa -a tak - kilka kulek, szklanka wody bez gazu -i już. Krojenie chleba czy bułek, smarowanie masłem, margaryną, mixem czy innym antycholesterolowym mazidłem, później jeszcze jakiś ser, szynka czy salceson - wiesz ile to zabiera czasu? Morda - a tak - garść kulek i po śniadanku. A możesz sobie morda skojarzyć - jak bardzo szczęśli-

we byłyby wszystkie matki, które o świcie odprawić muszą męża i dwójkę, trójkę a niekiedy i czwórkę dzieciaków. I jeszcze zrobić im kanapki! A tak - po dziesięć kulek do kieszeni - i w drogę!

Mój pies przyczołgał się bliżej miski. - Jestem pewien - ciągnąłem dalej - że w krótkim czasie mielibyśmy do dyspozycji jedzonko w kulkach we wszystkich odmianach, smakach i zestawieniach. Twoje kurczaki z warzywami, czy wołowinka z przyprawami - to dopiero początek. Nasze, ludzkie suche jedzonko, możnaby produkować w tysiącach kolorów i smaków. Na śniadanie - żółte - serowe, w kolorze bordo - z dżemem i brązowe - chlebkowe.

A wyobraź sobie, morda, wieczorne przyjęcie dla znajomych. Na stole półmiski - każdy w innym kolorze - na nich już nie tylko kulki, lecz także serduszka, trójkąci, precelki... bez liku. Goście siadają - obok talerza każdy ma kartkę z opisem smaków i kolorów i smacznego. Ze sprzątaniem po kolacji nie byłoby kłopotów.

Zresztą -co tam w domu - restauracje, stołówki, zakłady zbiorowego żywienia - oszczędność czasu, energii, surowców, a wszystko - ekologicznie czyste.

Ba - dla poszczególnych regionów świata produkować by można jedzonko specjalnie wzbogacone, z dodatkiem witamin, środków pobudzających, środków odchudzających, a nawet zwiększających lub zmniejszających potencję i pociąg do płci przeciwnej. W ten prosty i humanitarny sposób opanować by można niekontrolowany przyrost naturalny w Chinach albo drastyczny spadek liczby urodzin w Niemczech... Możliwości byłyby ogromne...

Mój pies warknął groźnie położył łeb na brzegu miski. Dopiero teraz zauważyłem, że sporo z niej ubyło, a mnie zaczęło dokuczać pragnienie.

Patrzył, jak gdyby widział mnie pierwszy raz. W jego oczach wyczytałem coś, czego nie odważyłbym się nigdy zacytować. Nawet, gdyby było to możliwe.

O elegancji

Sądzę, że i państwu zdarza się na co dzień powitanie w stylu: - Aaa, dzień dobry, co tam słyhać w eleganckim świecie... Przyznam szczerze - kiedy słyszę coś takiego, nie wiem jak mam się zachować. Odruchowo spoglądam na swój przyodziewek - czy przypadkiem nie ma gdzie jakiej plamy bądź dziury, poprawiam włosy, sprawdzam także czy pantofli nie utyłałem w błocie.

I zanim jeszcze odpowiem, że wszystko świetnie - przez głowę przebiega myśl - kpi ów ktoś, czy o drogę pyta.

Elegancki świat. Czy to świat z okładek kolorowych pism, amerykańskich tasiemcowych seriali i telewizyjnych doniesień o kolejnych skandalach w wyższych sferach, czy też może jest to świat wielkiej polityki, wielkich pieniędzy - i wielkich afer.

Czy kryterium elegancji jest pałac państwa Przesmyckich - obfotografowany ze wszystkich stron przez polskich paparazzi, czy też nowa kreacja pani Pendereckiej, a może nowy garnitur prezydenta, albo najnowszy samochód Urbana.

W jednej z warszawskich kawiarni byłem świadkiem takiego oto zdarzenia. Przedpołudnie, większość stolików zajęta, gwar rozmów, zapach dobrych perfum i kawy - tak dobrej, że za filiżankę zapłaciłbym czwartą część mojej pensji. Przy stoliku trzej mężczyźni - garnitury od Armaniego, na przegubach Rolexy, na stoliku Remy Martin. Sygnał telefonu - naturalnie komórkowego. Treści rozmowy nie pamiętam - bo pośród steku słów uznanych powszechnie za wulgarne uchwyciłem tylko - wchodzimy, kasa, płac i palancie. A rozmowa - mimo wszystko tak ją nazwijmy - trwała z dziesięć minut.

Co znaczy zatem we współczesnym świecie słowo - elegancja? Czy sprowadza się li tylko do marki i ceny garnituru, zegarka, teści, krawata i spinek? A może jest to nasz, polski sposób rozumienia

elegancji? Dżentelmen w płaszczu od Bossa pcha się do wyjścia przed towarzyszącą mu kobietą, zapomniawszy uprzednio o podaniu jej płaszcza w szatni.

Co wspólnego mają elegancja i dobre wychowanie? Czy eleganckim jest mężczyzna nie używający słów wulgarnych? Czy elegancka kobieta, ze znakomitą makijażem i oszalałymi perfumami może kłać jak szewc?

Można być eleganckim bez garnituru za 40 milionów. Bez komórki - i z nią. Można być eleganckim mając swój własny styl - a w garażu malucha, nie Jaguara. Co wcale nie oznacza, że będąc właścicielem owego Jaguara - nie można być eleganckim. I w ubiorze, i w obejściu, na co dzień i od święta.

Mówimy - elegancki - a myślimy nie tylko o wyglądzie - ale o kulturze osobistej, grzeczności, szacunku. Szkoda, że tak często jedno nie idzie w parze z drugim.

Multimedia

O szóstej trzydzieści - zamiast przeraźliwego dzwonka - usłyszałem przemiły głos:

Dzień dobry, pora wstać, witaj w piątek, 6 tego marca, życzę ci cudownego dnia - i łagodna muzyka wypełniła cały pokój. Zanim zaparzyłem kawę i przyrządziłem śniadanie - ten sam głos poinformował mnie o wszystkich dzisiejszych spotkaniach, o listach które nadeszły elektroniczną pocztą, a także o stanie mojego konta po wczorajszych zakupach.

Przeszedłem do pokoju, zanim wypilem kawę - przejrzałem dzisiejsze gazety, kilka serwisów informacyjnych, odpisałem na kilka listów. Raz jeszcze przeczytałem ukończony w nocy artykuł i jednym naciśnięciem klawisza wysłałem go do redakcji.

Kiedy zbierałem się do wyjścia - rozległ się głos mojego komputerowego maklera. Radził -by w związku z pierwszymi sygnałami giełdowej zwyżki dokonać pewnych zmian zawartości portfela. Rzuciłem okiem na ekran - wykresy nie kłamały. Kliknąłem - wykonaj - i wyszedłem.

To nie jest początek sensacyjnej powieści. Dla wielu amerykańskich czy japońskich biznesmenów w ten sposób rozpoczyna się każdy dzień. Komputery opanowują coraz nowsze dziedziny życia. Są już nie tylko na giełdach, w bankach, konsorcjach i sztabach, ale w bibliotekach, szkołach, czytelnich, coraz częściej też w domach.

Dzięki nim można nie ruszając się z domu zajrzeć do księgozbioru Biblioteki Kongresu Amerykańskiego, wybrać się na wycieczkę do Luwru, sprawdzić stan konta w banku, zrobić nawet zakupy. Nie mówiąc już o plotkach i pogaduszkach. Wystarczy zajrzeć na strony grup dyskusyjnych Internetu.

Znany i chętnie cytowany socjolog - McLuhan - powiedział kiedyś, że świat jest jedną wielką wioską. Kiedy to mówił - nie

mógł przewidywać - że stanie się to tak szybko. Przestrzegał jednak przed skutkami tego zjawiska. Wychodzi na to, że miał rację. Im bardziej świat staje się globalną wioską informatyczną - tym bardziej samotni stają się jego mieszkańcy. Im łatwiej poruszamy się w internetowym światku - tym trudniej odnajdujemy się w towarzystwie. Wysyłamy co dzień dziesiątki elektronicznych listów - a tak trudno napisać czuły list, napisać ręcznie, do najbliższej osoby.

Tak bardzo czując się społecznością świata - coraz bardziej tracamy osobiste, jednostkowe cechy.

Jedną z nich jest wolność. Między innymi wolność wyboru. Zawsze przecież nacisnąć można klawisz „zamknij system”. Tak samo - jak w każdej chwili wyłączyć można odbiornik telewizyjny.

Technika idzie człowiekowi w sukurs od dziesiątków lat. Ułatwia życie, pomaga w pracy, bawi i uczy. Najważniejsze jest - byśmy zauroczeni jej możliwościami - nie zapomnieli o możliwościach własnych.

Wiosna

Zafundowałem sobie weekend bez telewizji. I nie był to żaden protest - spowodowany takimi czy innymi przekonaniem, ani wyraz poparcia dla innych form spędzania wolnego czasu, nie kryją się za takim postępowaniem absolutnie żadne żądania polityczne itd. Po prostu - zafundowałem sobie weekend bez telewizji.

Globalnie - i kompleksowo. Nie żebym na ten przykład zarzucał publiczną jedynekę na rzecz którejkolwiek ze stacji komercyjnych, albo na odwrót. Albo - z powodu bardziej artystycznej koncepcji reklamy margaryny przeniósł moje zainteresowania z jeszcze jako tako kulturalnej dwójki do naćkanej mydłanymi serialami stacji... lepiej nie mówić.

Jedynym powodem dla którego zafundowałem sobie weekend bez telewizji była... wiosna.

Przynajmniej kalendarzowa. Z jej to powodu poszedłem na spacer po jakże romantycznych ulicach mojego ukochanego osiedla.

I jak wielkie było moje zaskoczenie, gdy na każdym niemal kroku spotykałem wiosnę!

Naprawdę. Najpierw - i to już na sąsiedniej ulicy - całkiem wiosennie ubrany posiadacz samochodu osobowego marki... nie wymieniam, bo byłaby to kryptoreklama... ustawiwszy swoje caucuszko, pachnące fabryką i świeżo zaciągniętym kredytem bankowym - wprost na trawniku - przez dobre dwie godziny biegał wokół niego z wiaderkiem, szmatkami, szamponami, kremami, nabłyszczaczami itd. Trudno się dziwić - wszak moje auto świadczy o mnie... Tylko dlaczego brudna piana, woda, wszystkie te chemikalia musiały wsiąkać w trawnik. Jaka trawa wyrośnie w tym miejscu za tydzień, czy dwa?

Ale już po kilku minutach ten wiosenny obrazek puściłem w

niepamięć – zaskoczony nowym wiosennym widokiem. Oto przed jednym z bloków – nie powiem, ładnych i zadbanych – okraszonych parkingami z zawartością dobrze świadczącą o pozycji mieszkańców – otóż przed jednym z tych bloków leżał sobie przewrócony i wybebeszony śmietnik. Na podstawie jego zawartości możnaby dokładnie opisać status społeczny, wysokość zarobków, a przede wszystkim gusta smakowe i preferencje gastronomiczne ludzi budynek ów zamieszkujących. Ale nie to mnie zdziwiło – złapałem się na myśli, że jest wczesne niedzielne popołudnie, świeci wiosenne słońce – a ów śmietnik nikomu nie przeszkadza. A już zupełnie dobił mnie widok elegancko ubranego mężczyzny, który wyszedł z bloku z wiaderkiem śmieci i i ujrawszy co się stało – bez mrugnięcia okiem wyrzucił zawartość kubelka... na leżącą stertę.

Pewno też się spieszył na wiosenny spacer – pomyślałem i ruszyłem dalej. Daleko jednak nie uszedłem – oto bowiem na skraju osiedla dopadł mnie gryzący w oczy dym unoszący się z pobliskich łąk. O pladze wiosennego wypalania traw telewizja trąbi rokrocznie – i co? Płomienie sięgały na wysokość metra – wiatr ze wschodu kierował je w stronę lasu, wiatr zachodni natomiast w stronę... stacji benzynowej stojącej o dwieście, może trzysta metrów bliżej...

Ponieważ w ciągu czterech godzin jakie minęły od mojego wiosennego spaceru nie usłyszałem odgłosu wybuchających zbiorników z benzyną – wywnioskowałem, że ktoś musiał jednak wezwać straż ogniową. Na szczęście – takowa istnieje.

Niestety – straży głupoty ludzkiej – ciągle jeszcze nie ma. A szkoda- westchnąłem.

Włączyłem telewizor - i obejrzałem cudowny film o wiosnie na torfowisku.

Ogłoszonko

Kiedy w jednej z gazet przeczytałem wielki tytuł – „Rozwiążemy ci język” – natychmiast pobiegłem do lustra. Był na swoim miejscu – ani zasznurowany, ani spięty spinaczami do papieru czy do bielizny. A więc nie o zabieg chirurgiczny chodzi – pomyślałem. Usiadłem przy kubku kawy – może sprawa ma aspekt psychologiczny?

Może chodzi o odblokowanie którejś z klatek w mózgu – i człowiek staje się rozmowniejszy, bardziej twórczy w plotkowaniu, bardziej podatny na sąsiedzkie pogaduszki o tym, co to Kowalski żonie, a co listonosz żonie Kowalskiego, o czym wie żona listonosza, a nie wie żona Kowalskiego itd. W takim razie jedna z moich sąsiadek musi już być po kilku takich odblokowaniach – bo jest i na bieżąco i w bardzo szerokim zakresie.

„Rozwiążemy ci język” – chyba o to chodzi, bo przecież nie o szkolenie w zakresie pisania donosów na sąsiadów czy znajomych, nawet za pieniądze. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno wzywano delikwenta do właściwego urzędu, pokazywano wypchaną papierami teczkę, podsuwano do podpisania takie to a takie oświadczenie – a w razie odmowy dopiero można było usłyszeć – no, to my teraz nakłonimy was do mówienia... A tu – kultura prawie europejska – w popularnym piśmie, ładną wielką czcionką - Rozwiążemy ci język...

Nawet przez myśl człowiekowi nie przeszło – że może to urzędnicy urzędu powołanego do czujności szukają współpracowników. Chyba – że obcy wywiad... nie to zbyt obcesowe...

I już, już miałem zatelefonować pod wydrukowany tłustą czcionką numer telefonu – gdy kątem oka dostrzegłem jakże ważną informację – szkoła języków obcych...

To wiele wyjaśnia – choć nie wszystko – bowiem naprawdę

nie wiem, kto nam ów narząd- czyli język miał zasnuwać – chyba nie Mikołaj Rej z Nagłowic.

Że też nikt nie wymyśli hasła – „Sznurowanie języka, bezboleśnie, tanio, rachunki –VAT”- telefon. Niektórym z pewnością by się przydało i to na dłuższy czas. Skierowania mógłby podpisywać marszałek sejmu, albo szefowie klubów parlamentarnych. Po dwóch tygodniach główne wydanie wiadomości w publicznej pierwszej telewizji trwałoby 10 minut! A o ileż krótsze byłyby debaty na Wiejskiej! Zaoszczędzony w ten sposób czas można by przeznaczyć na przykład na głośne czytanie Mickiewicza protestującym robotnikom Ursusa.

Gorzej ze szczeblem wojewódzkim, czy gminnym – bo komu tutaj dać bloczek z drukami skierowań? Chętnych aż za dużo.

Jakie to dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy po lekturze porannych gazet.

Nic –tylko wiać gdzie się da. Na urlop, na weekend – najlepiej za granicę. Przyjmą nas tam z otwartymi rękami – nawet z chorobą. Tak! - w takim na przykład Izraelu to nawet z łuszczycą. Nie do wiary? – proszę sobie przeczytać inne ogłoszenie:

Promocja – wyjazd w czerwcu - Łuszczyca – kuracja nad Morzem Martwym.

Przepraszam - czy bilet powrotny wliczony jest w cenę?

Życzę państwu zdrowego dnia, w kraju nad jeszcze żywym Bałtykiem. A jeśli trafi się państwu jakieś ciekawe ogłoszonko – proszę o mnie pamiętać.

Nie przeszkadzaj

Od dwunastu lat żyjemy w państwie wolnym, suwerennym i demokratycznym. Zdążyliśmy się nawet do najróżniejszych form tej wolności, suwerenności i demokracji przyzwyczaić - i już nas nie dziwią wywieszki w rodzaju – „Wstęp tylko dla posiadaczy Karty Stałego Klienta”, czy – „Właściciele kart VIP obsługiwani są poza kolejnością”.

Kapitalizm na swoje prawa, demokracja też – i sam już nie wiem, czy tablica z napisem „Teren prywatny- wstęp wzbroniony” zagrządzająca dostęp do obskurnej działki, z której śmierdzi padliną – bardziej zniechęca, niż ostrzega.

Tabliczki najróżniejszej maści pojawiają się w co najmniej dziwnych miejscach. Zakaz fotografowania – to normalka. Zakaz akwizycji i handlu obnośnego – też. Ale już zakaz strajkowania poprzez okupację – na drzwiach urzędu marszałkowskiego? Co za czasy?

Dyrektorka jednej z suwalskich szkół – w poczuciu wolności, suwerenności i demokracji – na drzwiach swojego gabinetu umieściła tabliczkę treści następującej: „Nie przeszkadzaj, bo wylecisz”. A obok rysunek postaci dopiero co ugodzonej sążnistym kopniakiem w część ciała zwaną powszechnie - miejscem gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

W czym mieliby jej przeszkadzać uczniowie, nie mówiąc już o podwładnych?

Może w zakamarkach gabinetu pani dyrektor - w tajemnicy przed całym światem – odrabiała pracę domową przed kolejną sesją na zaocznych studiach ekonomii placówek oświatowych?

Jeśli tak, to czego się wstydzić?

Może potajemnie, w wolnych chwilach, kończyła lekturę Quo vadis, bo klasa, w której ma wychowawstwo właśnie poszła do ki-

na, a wstyd się przyznać, że...

Nie sądzę, by w gabinetowym zaciszu oddawała się urokom powtarzanego w południe brazylijskiego serialu, albo – nie daj Bóg – uwodzicielskiej sile nowego wuefmena...

Amerykanie twierdzą wprawdzie, że szybki seks nikomu jeszcze nie zaszkodził, ale w szkole, w godzinach pracy, i to w służbowym gabinecie?

Tabliczki na drzwiach już nie ma. Zniknęła po interwencji jednego z nauczycieli, który – co nie było do przewidzenia – częściej teraz myśli o tym, co zrobić, by nie zniknąć z grona pedagogicznego, niż o temacie następnej lekcji. Tak się bowiem składa, że uczy akurat przedmiotu, w którym kwalifikacje podnosi właśnie pani dyrektor. A etat w szkole jest tylko jeden. Tabliczka jest więc do wzięcia.

Jestem pewien, że nie zgłosi się po nią dyrektor szkoły numer 6 w Białymstoku. On na drzwiach nie tylko gabinetu, ale i szkoły, a może i największego supermarketu w mieście - z chęcią powiesiłby tabliczkę innej treści – "Oddam w dobre ręce, najchętniej z dopłatą, ucznia drugiej klasy". 8-letni Dawid – postrach rówieśników i grona pedagogicznego – zachowuje się w szkole niczym robocop wrzucony do pudełka z pokemonami.

Dzieci się boją, rodzice protestują, dyrekcja nie wie, co robić, bo przepisy stanowią tak, a nie inaczej. A może by tak pomysłą panią dyrektor z Suwałk przenieść do białostockiej szóstki? Osoba z tak specyficznym poczuciem humoru z pewnością znalazłaby na Dawidka sposób. Nawet jeśli na drzwiach gabinetu pojawić by się miała tabliczka z napisem:

„No exit” – co w dowolnym tłumaczeniu oznacza – „Wyjścia nie ma”.

Górnicki

Kiedy kilka lat temu ówczesny minister kultury w sposób kategoryczny zażądał od swojej sekretarki: - Umówcie mnie z Czapskim! – nie mógł przypuszczać, że będzie to jedno z ostatnich poleceń, jakie z za wysokości ministerialnego biurka wydał. Wyśmiany przez media, prześladowany przez elity, napiętnowany przez przyjaciół - wydawałoby się skompromitowany na amen – powinien zniknąć z życia już nie tylko politycznego, ale i społecznego na wieki.

A jednak nie – minęło trochę czasu, powiało z innej strony – i oto specjalista od dziedzictwa narodowego znów pojawia się w mediach, tym razem jako ekspert z zupełnie innej dziedziny.

Powiedzenie – Umówcie mnie z Czapskim – zadomowiło się w języku polskim na dobre, zastępując niekiedy wysłużony już i wyświechtany zwrot o pisaniu na Berdyczów - choć prawdę mówiąc sami eksperci nie wiedzą, czy wpisać je do podręcznego słownika urzędnika administracji państwowej, czy też do księgi tumanologii stosowanej III Rzeczypospolitej.

Na szczęście – jak twierdzą źródła dobrze poinformowane – Czapski w grobie się nie przewrócił. A powinien.

Po całej tej historii żyłem w przekonaniu, że w dziedzinie twórczości urzędniczej nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. A jednak!

Pana eks –ministra od Czapskiego przebiła, a może przebił skromny urzędnik Referatu Organizacyjno- Gospodarczego Urzędu Miejskiego jednego z uroczych miasteczek województwa Podlaskiego.

Na białej kopercie opatrzonej stosowną pieczęcią urzędu i stemplem pocztowym pracownia ręka urzędnika wykaligrafowała starannie – wszak pismo idzie do województwa – co następuje:

Książnica Podlaska... tak, tak – książnica – czyli miejsce gdzie spotykają się książki, bo przecież nie w Książnicy; ulica Kilińskiego 16, Białystok – więc jednak chodzi o Książnicę Podlaską, czyli dawną Bibliotekę Wojewódzką, kod pocztowy, jak trzeba, a nieco niżej – nie mniej starannie – Pan Łukasz Górnicki... !

Zgadza się ! – jegomość był bibliotekarzem ! Tyle że na dworze Zygmunta Augusta. No i dawno nie żyje - zmarł w 1603 roku. Pisma niestety, nie przeczyta. Chyba, że za wstawiennictwem ministra Podkańskiego da się załatwić widzenie, najlepiej na zamku w Tykocinie...

Piękna cię czeka przyszłość, kulturo polska, skoro dbają o ciebie tak światli urzędnicy. Teraz już wiem, kto nas obroni przed armią Bigbraderów, czy zastępami urzędników z Brukseli – on, skromny, niepozorny, szary człowiek z referatu organizacyjno – gospodarczego.

...pani Basiu, niech mnie pani umówi z Freudem, najlepiej na jutro...

Cztery w jednym

Stare ludowe porzekadło mówi, że nie da się – przepraszam za wyrażenie, ale cytuję – być z jednym tyłkiem na dwóch weselach. Kto próbował – ten wie, że korzyść z tego żadna, nie mówiąc już o przyjemności.

Mądrość ludowa dobra była na czasy komuny, teraz jest wolność i kapitalizm – więc organizatorzy życia kulturalnego w Białymstoku – zastąpili mądrość ludową prawami rynku – i w jednym i tym samym mieście, tego samego dnia, o tej samej godzinie – zaproponowali widzom cztery wernisaże – czterech różnych wystaw.

Nawet jeśli ktoś miał samochód, z kierowcą, i tak wszędzie być nie mógł. Czy wszędzie być musiał? Nie – ale Białystok, to nie Warszawa czy Kraków, gdzie takie wybory należą do codzienności – i spróbujcie Państwo znaleźć się w sytuacji osoby, która chciała być i w Arsenale, i w Marszandzie, i pod Arkadami i w Ratuszu! Choćbyś flaki wypruł – nie ma szans.

Czyżbyśmy padli ofiarą spisku, nie zaś przypadku? Spisku, który miał na celu sprawdzenie – kto przyjdzie akurat do nas, nie do konkurencji. Skoro prawa rynku, to i prawo konkurencji również. Tylko – czy galeria pod Arkadami może konkurować z Arsenalem? Albo Marszand z Ratuszem?

Paranoja. Chyba, że ów spisek miał również pokazać – jaką publikę mają poszczególne placówki – wszak w tak zwanym środowisku zwykło się mówić, że - kto chodzi do Marszanda, nie pójdzie do Arsenalu. Ale takich wystaw, jak w Marszandzie, czy Arsenale – nie organizuje się li tylko dla środowiska. Tak zwany przeciętny zjadacz kultury, nie zorientowany w układach i układzikach, zawiściach i sympatiach – chciałby zobaczyć i absolutnie nowoczesną instalację, i naprawdę znakomitą sztukę warsztatową.

A może tak powinno być? Niech koncerty w białostockiej Fil-

harmonii, w Akademii Muzycznej, w Galerii Sleńdzińskich i w Zespole Placówek Kształcenia Artystycznego odbywają się tego samego dnia o tej samej godzinie. Miłośnicy literatury też nie mogą być lepsi – wieczory i spotkania autorskie tylko w czwartki, – w Książnicy, na Uniwersytecie, w Civitas Christiana i Bóg wie w jakich jeszcze miejscach – wyłącznie o 18-tej.

Obowiązkowo. Wydział Kultury Urzędu Miejskiego mógłby nawet wydać stosowne rozporządzenie. Wtedy każda placówka wiedziałaby, jaką ma publiczność, w jakiej strukturze wiekowej itd. Pomysł jest świetny. Wreszcie byłoby wiadomo, komu dać mniej pieniędzy, a które placówki po prostu zamknąć. Niech rządzi rynek.

Może naprawdę warto spróbować?

Tarasewicz

O ileż uboższa byłaby literatura, gdyby jej autorów nie inspirowała sztuka.

Ileż arcydzieł poetyckich nie powstałoby, gdyby ich autorzy nie zapatrzyli się na rzeźbę Wenus z Milo, nie zatrzymali się przy Grupie Laookona, nie mówiąc już o obrazach braci Breuglów, Caravaggia, czy rysunkach Durera.

Nawet słynne puszki Andy Warhola doczekały się poematów wierszem i opowieści prozą.

Sztuka zawsze inspirowała artystów. Oczywiście, nie tylko ona. I nie tylko sztuka czasów minionych. Współczesny obraz, rzeźba, nawet tak modna instalacja – również działa inspirująco.

Ba, źródłem natchnienia może być nawet Adam Małysz, na cześć którego – jak w środę poinformowała jedna z komercyjnych stacji telewizyjnych – poświęcił swój nowy utwór symfoniczny białostocki kompozytor Robert Panek. Gdzie odbędzie się prawykonanie? – media na razie nie podały. Zresztą – talent tego akurat kompozytora – pozwala mu na napisanie dowolnej kompozycji na każdą właściwie okazję.

Wróćmy do sztuki. Współczesnej, jak najbardziej. Rzecz dotyczy bowiem obrazu Leona Tarasewicza. W marcu 1999 roku warszawska poetka Magdalena Raczyńska tak się zachwyciła jednym z płócien mistrza, że napisała wiersz. Dzieło rozpoczyna się słowami: „przybliżałam się do cieplej tętnicą szyjną / bijącą coraz mocniej w okoliczną skórę...”, kończy zaś – „idę polami w świetle rozdzielonym na trzcin mozaikę brunatność skib ziemi / zmarszczki na dłoniach rozpraszane w sposób/ podobny gdy od wewnątrz patrzę bezpieczna odległość?”. Znamcy twórczości Leona Tarasewicza bez kłopotów domyślą się, o jaki cykl obrazów chodzi.

Kiedy Magdalena Raczyńska ów wiersz pisała przypuszczała

nie mogła, że oto w trzy lata później ukaże się on drukiem w „Zeszytach Literackich”. No i ukazał się – w najnowszym 77 numerze – proszę sprawdzić.

Wiersz, jak wiersz – ale tytuł: - „Tarasewiczu”. I na dodatek małą literą. Licentia poetica, powie ktoś - nie takie rzeczy już wymyślano – jak pisownia nazwiska małą literą. Chodzi o formę gramatyczną – jeśli to dedykacja – reguła stanowi, że „Tarasewiczowi”, jeśli zachwył – Och, Tarasewiczu, to z wykrzyknikiem, jeśli o kimś – jasne, że „O Tarasewiczu”.

A tu ni pri czom – Tarasewiczu. I nic dziwnego, że dzieci w piaskownicy mówią – Krzysiu, oddaj Waldku łopatkę.

Poezja może być agramatyczna, ale poeta analfabetą być nie może. Licentia poetica to nie parawan dla językowej nonszalancji, paniu poetku. Magdu Raczyńsku z Warszawy.

O wystawie efemerycznej

Nie wiem, czy państwo zauważyli, ale od pewnego czasu do wartościowania wielu zjawisk kultury, jak choćby - spektakle teatralne, pokazy filmowe, czy promocje książek - zwykło się stosować kategorię zapożyczoną z zupełnie innej dziedziny życia – stanowiącą, iż – publiczność i tak głośuje nogami.

Czyli - im więcej na widowni, czy w galerii, tym lepiej – przynajmniej resztki pieniędzy, które na kulturę wspaniałomyślnie przeznaczają każda kolejna ekipa, owe ukrywające się za dziesiątymi częściami procenta ochłapy – czytaj – dotacje – nie mają szansy się zmarnować.

Gdyby taką miarą potraktować na przykład życie plastyczne w Białymstoku – wszystkie wystawy dałoby się podzielić na dwie grupy – pierwsza, ekspozycje, które pokazywane są dłużej, niż potrzeba – i druga – wystawy, które na ścianach galerii wiszą krócej, niż powinny.

Są jeszcze takie, które w ogóle nie powinny się w galeriach pojawiać, ani państwowych, ani prywatnych, chodnikowych, pasażowych, murkowych, ogrodzeniowych, łącznikowych, schronowych, strychowych itd.

A propos strychu – przed dwoma tygodniami - w Galerii Uroczyska w Supraślu otwarto wystawę malarstwa Michała Janczuka, Kazimierza Jurgielanica i Marka Chomczyka. Odbył się wernisaż, było sporo gości, nie za dużo czerwonego wina, dużo dobrego malarstwa, kilka szybkich transakcji... wino się skończyło, artyści poszli na jednego głębszego, goście pojechali do domu, drzwi zamknięto na klucz i po wystawie. Minął tydzień, obrazy wróciły do pracowni - i tak naprawdę nikt ich – poza gośćmi wernisażu nie oglądał.

Strych Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Supraślu -

choć nie zagospodarowany – jest ogromny i dzięki temu cała trójka autorów mogła tam pokazać dużo – naprawdę dużych płócien. Z drugiej jednak strony – jaki sens ma taka ekspozycja, skoro – by ją obejrzeć wykonać trzeba następujące czynności – dojechać do Supraśla, odnaleźć wspomnianą szkołę, odnaleźć woźną, u której jest klucz do drzwi prowadzących na strych, przekonać ją – iż bez obaw może nam ów klucz dać, pod warunkiem, że nie trzeba na to zgody dyrektora szkoły albo komisarza wystawy.

Artyści mówią – przyszły trudne czasy – każdą możliwość pokazania malarstwa, czy to w luksusowym hotelu, czy na niewykończonym strychu, trzeba wykorzystać. I trudno im odmówić racji – skoro w ten sposób zarabiają na życie. Natomiast widzowie, publiczność, czyli my wszyscy konsumenci kultury – pukamy się w czoło pytając – komu są potrzebne takie wystawy? Skoro nie ma szans, by je obejrzeć.

Wiem – problem dotyczy grupki, no może grupy osób – przyjaciół i znajomych królika. Statystycznie rzecz ujmując – ułamka populacji. Ale te ułamki zainteresowane malarstwem, poezją, teatrem, fotografią, tańcem, muzyką składają się na procenty – ukrywają się za nimi żywi ludzie, ostatni Mohikanie, których nieszczęściem jest to, że uwielbiają zapach werniksu, kochają żywych poetów czytających wiersze, czy nieczysto zagrany dźwięk podczas koncertu w filharmonii. Ostatni, którzy potrafią tak kochać.

Czy takiego strychu nie ma w Białymstoku? Niechby sobie olbrzymie płótna Marka Chomczyka wisały i z pół roku. Jeśli nie strychu – może jakiś opuszczony budynek. Stara kotłownia, zrujnowana fabryka. Dajcie ją artystom.

Kilka lat temu, w Kolonii, w Niemczech, trafiłem do miejsca niezwykłego.

Oto władze miasta przekazały grupie artystów starą fabrykę cygar. Nawet specjalnie nie ucierpiała podczas alianckich nalotów pod koniec II wojny światowej. Przez wiele lat nikt nie wiedział, co z tym zrobić. Grupa malarzy, pisarzy, muzyków z byłej Jugosławii, Grecji, Turcji, nawet Czech i Polski odremontowała ją własnymi rękami, założyła ośrodek i stowarzyszenie Multi Kultu – no i się zaczęło. Cztery sale wystawowe, kawiarnia z winiarnią, własne wydawnictwo, sala koncertowa – i program artystyczny na pięć lat do

przodu.

W zamian – zwolnienie z podatku, zwolnienie z opłat dzierżawy, dotacje na przeróbki i remonty, a także dofinansowanie jednego, dwóch –najbardziej wartościowych projektów w ciągu roku.

Takiej opuszczonej fabryki cygar w Białymstoku nie ma. Ale strych, czy bezużyteczny magazyn... palców zbraknie, by zliczyć.

Czy są w Białymstoku tacy ludzie? Z pewnością – tak.

Czy problem polega na tym, że władze Kolonii różnią się od władz Białegostoku? Odpowiedź pozostawiam państwu.

Dziwny jest ten świat

Ten świat przestał być dziwny. Już dawno. Stał się anonimowy, pospieszny, hałaśliwy, rozpędzony w pogoni za mamoną – a przez to stał się okrutny. Trzeba aż śmierci – faktu nieodwracalnego, bo ostatecznego – żeby ten właśnie świat przypominał sobie o człowieku – dosłownie i w przenośni - nie z tego - świata. To jest właśnie najbardziej w tym wszystkim okrutne.

Nie krzyczały jego nazwiskiem pierwsze strony kolorowych gazet, nie grały jego piosenek muzyczne kanały telewizyjne, od czasu do czasu któryś z jego przebojów zagrało radio. Pracował w samotności. Z chorobą i bólem też zmagał się samotnie. Zabrakło sił.

Trzeba było ostateczności – by w radiu usłyszeć „Wspomnienie”, a w telewizji zobaczyć migawki z paru festiwalu.

Dla kilku zapomnianych przez media facetów nadarzyła się okazja, żeby się ludziom przypomnieć. Wystarczy powiedzieć kilka ciepłych słów.

Wielu innych gryzie teraz ze złości palce, że do nich telewizja się nie zgłosiła. Niektórzy już wczoraj, a może dopiero dziś myślą, jak tę przedwczesną śmierć zdyskontować. To jest właśnie okrutne.

Takie jest niepisane prawo tego świata, że to śmierć - poprzez swoją ostateczność – i nieodwracalność - przywraca pamięć o nieobecnych, a zapomnianych wynosi na pomniki.

Czesław Niemen nie potrzebuje pomnika. Ma go w każdym z nas.

W każdym, kto chociaż raz zatańczył z ukochaną osobą jego „Pod papugami”, w każdym - kto w samotną noc walczył z samym sobą słuchając z winylowej płyty jego głosu. Stary adapter Bambino, kilka pocztówkowych płyt, stare czarne longpleje. I prywatki z Niemenem...

Takiego świata już nie ma. Kiedy podczas sylwestrowego balu muzycy zagrali właśnie „Wspomnienie” – na parkiecie pozostało kilka par, a młodzi yupies – rozgrzani wielkim hitem „Niech żyje wolność...” - usiedli do stolików chłodzić się zmrożoną czystą.

Przecież nie muszą wiedzieć, że pierwszy raz pocałowałem moją dziewczynę tańcząc właśnie piosenkę Czesława Niemena.

Jest jak kamień milowy w historii muzyki. Takie osobowości kształtują gusta i postawy, wyznaczają trendy na wiele lat. Odciskają piętno na pokoleniach.

Gdyby nie Czesław Niemen i jego muzyka... każdy z nas inaczej dokończy to zdanie dla siebie.

Dziwny jest ten świat... a dalej - jak to było? – lecz ludzi dobrej woli jest więcej... Ten świat przestał być dziwny. Stał się nieprzewidywalny. Czy są w nim jeszcze ludzie dobrej woli?

Może to ci, którzy w chwilach szczególnych – zamiast tabletki na uspokojenie – puszczają sobie „Sen o Warszawie”?

Nie wątpię, że tacy są. Tylko, czy jest ich – przepraszam – nas - naprawdę więcej?

Świat przestał być dziwny. Ale – jakikolwiek by nie był – na szczęście mamy jego piosenki. Z nimi jest po prostu łatwiej.

I uwolnij nas od nienawiści

W bloku z wielkiej płyty, jakich mamy w naszym kraju tysiące, w mieście którego nazwy nie powiem, nic to albowiem do rzeczy nie przyda – jak pisał biskup Krasicki – mieszkały obok siebie dwie samotne kobiety. Obie jęszcze pracujące, obie po przejściach, obie z nawykami i przyzwyczajeniami. Jedna miała psa, który pod nieobecność właścicielki wył przeraźliwie do sufitu, druga – miała kota – który wypuszczany na dni całe - z lubością siusiał sąsiadce na wycieraczkę.

I oto pewnego dnia obie panie spotkały się w sądzie. Traf chciał, że kota znaleziono w piwnicy powieszono na sznurku na rurze wodociągowej, a dwa czy trzy dni później – pies zdechł w męczarniach w pobliskim lasku po tym, jak ktoś mu podał truciznę w kiełbasie.

Ku zdziwieniu sądu obie panie przyznały się do zbrodni jako motyw podając – nienawiść. Z tym, że ta pierwsza mówiła o nienawiści nabytej, druga zaś o wrodzonej, chorobliwej wręcz nienawiści do kotów.

Przywołałem tę „zwierzęcą” historię tylko i wyłącznie dlatego, że te ludzkie – o których jakże często donoszą gazety – są z reguły i bardziej tragiczne w skutkach, i bardziej drastyczne w szczegółach. Bo czyż chcielibyście słuchać o mężu, który z nienawiści do żony, pod groźbą nabitego pistoletu, kazał jej współżyć z ogórkiem? Chyba raczej nie, więc pozostajmy przy zwierzętach.

Skąd się w człowieku bierze nienawiść? Czy mamy ją w genach, czy wysysamy z mlekiem matki? A jeśli tak, to skąd wzięła się w jej mleku, albo w genach naszych rodziców. Mówić się zwykło, że od wielkiej miłości krok do nienawiści. Gdyby jednak nienawiść była pochodną miłości – czy byłaby tak ślepa, dzika, bezrozumna, gwałtowna, zawzięta... jakich by jeszcze przymiotników nie

użyć – wszystkie będą prawdziwe. Właśnie – nie trzeba być filologiem, żeby zauważyć, iż wszystkie te określenia tak samo odnosić się mogą do nienawiści, jak i do miłości. Więc byłabyż to prawda, że nienawiść i miłość to jedność przeciwieństw?

Jeżeli miłość jest nam dana przez Stwórcę – to czy nienawiść pochodzi od Szatana?

Skąd się w człowieku bierze nienawiść? Może w dniu narodzin mamy jej w sobie tyle samo, ile miłości. I dopiero potem – sami – w życiu rozwijamy jedno i drugie uczucie. I tak, jak nagła miłość potrafi nas zniewolić, tak głupstwo, błahostka, słowo, gest, jakiś czynunek – potrafi obudzić w nas nienawiść.

Dzika, bezrozumna, zagorzała... tragiczną nieraz w skutkach.

Więc skąd się bierze w nas nienawiść? Z braku miłości. Zajrzyjcie w głąb siebie – czy to nie jest przypadkiem tak, że nienawidzimy tego, czego nie potrafimy pokochać?

Szkolny felieton

Kiedy jako jeden z pierwszych roczników zaliczałem ósmą klasę podstawówki - słowa „molestowanie” nie odmieniały przez przypadki gazety, radio i telewizja. Nie pamiętam, czy można je było znaleźć w słowniku języka polskiego. Ale to wcale nie przeszkadzało panu od matematyki przy byle okazji – szczególnie na zajęciach z geometrii i to przy tablicy – dotykać ukradkiem piersi co bardziej rozwiniętych koleżanek.

Pani od wufu była mniej wymagająca – jej wystarczał widok prężących się na drabinkach młodzieńców w pozycji wiszącej. Prawdziwą frajdę miała dopiero wtedy, gdy przy drabinkach próbowaliśmy stanąć na rękach. Kilka lat później – już w trakcie studiów – podobną minę widziałem na twarzy wuefisty, gdy któremuś z nas nie udało się do końca skok przez konia.

Nikt wówczas nie słyszał o mobingu i może właśnie dlatego pani od chemii - opiekująca się w liceum szkolnym sklepikiem – stawiała sprawę jasno: będą w sklepiku batony krymskie, będzie piątka z chemii. No i piątka była. Może właśnie ten rodzaj zażyłości sprawił, że na balu maturalnym ze swoją życiową samotnością rozliczyć się chciała używając klapy jedynej marynarki mojego najlepszego kolegi.

Mnie w ten wieczór spotkało nie mniej nobilitujące wyróżnienie – nasz wychowawca, na co dzień spec od niemieckiego o przemiłej ksywce Gering, bezlitosny i okrutny, wymagający i surowy, pozwolił w geście uznania mojej dorosłości stuknąć się ze sobą kieliszkiem szampana. Po czym przymknął oko na to, co z wielkim strachem kryliśmy pod stołem.

Nie zapomnę też pani od rosyjskiego, która przez całe miesiące katowała nas płytkami gramofonowymi z czasopisma Krugozor, by w tenże studniówkowy wieczór najczystsą polszczyzną zaśpie-

wać „O mój rozmarynie”. Może właśnie wtedy dotarła do mnie ta najbardziej oczywista z prawd, że nauczyciele – to też są ludzie. Najzwyklejsi. Łękliwi i bezbronni, jak nasz pan od łaciny, który bez swoich grubych jak mikroskopy okularów stawał się bezradny jak dziecko.

Dlatego właśnie, choć minęło tyle lat, ciągle ich pamiętam.

Ta barykada ma obie strony. I jedna i druga jest ludzka. Zmienił się tylko – niestety - układ sił. Nie dlatego, że narkotyki, trendy, mody i język, którego sama młodzież bez ściągawki nie rozumie. Dla wielu z nich nauczyciel przestał być autorytetem. Bo pozycja nie ta, bo pieniądze nie takie, bo co dziś znaczy inteligencja i komu to w ogóle potrzebne. Zmieniła się hierarchia wartości – nie da się ukryć, że to skutek zmian, jakie przechodzimy. Ale z drugiej strony – coraz więcej młodych ludzi w Polsce chce się uczyć i studiować. Potrzebują nie tylko nauczycieli i wychowawców. Potrzebują wzorów i autorytetów.

Czy mogą je znaleźć w gimnazjach i liceach? Coraz o to trudniej.

I nie jest to tylko wina nauczycieli.

Nato buduje bazę

Kiedy po blisko dwóch miesiącach nieobecności pojawiłem się w mojej wsi nad graniczną rzeką Świsłocz – nikt z sąsiadów nie zapytał na dzień dobry – jak się czuję, co słycać, jak tam po zimie. Nikt. Wszyscy – jak jeden – rzucali na powitanie szeptem: – Słyszał, sam, Amerykany na Wierobiach się kręcili, mówią - że bazę budować będą. Natowska będzie, taka jak w Niemczech, ale większa.

No to nieźle – pomyślałem – póki drogi do Bobrownik asfaltowej nie było – nikt tu niczego budować nie chciał. Teraz asfalt, że i samoloty lądować mogą – to i NATO się pcha. Nie mówiąc już o Honkerach czy wielgachnych – jak z filmu „Konwój” wyładowanych po brzegi ciężarówkach – ciągnących w stronę Walił, Gródka czy Michałowa.

Posiadacze złóż żwiru i piasku i przedsiębiorcy importujący z za rzeki cement już liczą zyski, cieszą się właściciele okolicznych tartaków, nie wspominając już tych, którzy na kółka odstawili bezrobotne póki co kamazy, tatry, koparki, ładowarki, nawet zwykłe stary i żuki. Będzie robota – i to na dłuższy czas.

W gminie już ustawia się kolejka chętnych do pracy – i choć nikt na razie nie wie, czy potrzeba więcej cieśli, czy betoniarzy i spawaczy – walą wszyscy. Będzie robota. Nawet jeśli sezonowa, to będzie. Zgłaszają się kucharki – przecież taki tłum wojska trzeba wykarmić, a nawet kelnerki – wszak ktoś im musi jedzonko podać.

Zacierają ręce okoliczni rolnicy – w końcu sprzedać będzie można zakopcowane ziemniaki – jak to Amerykanie bez frytek? - i zapasy zboża jeszcze sprzed trzech lat. Interes zapowiada się świetnie – co niektórzy już planują podwojenie produkcji wołowiny / nawet Bush je hamburgery/, inni myślą o zasianiu kukurydzy - i kupnie aparatów do jej prażenia. Złoty interes!

A że dzielni chłopcy z dalekiej Ameryki lubią się rozerwać – przydrożne bary zmieniają się w saloony, a przydrożne dziewczyny w damy do towarzystwa na telefon. Mało tego – producenci żytniówki spod znaku księżycy na chybcika zlewają ją do dębowych beczek, by jak najszybciej przypominała w smaku ulubiony burbon amerykańców. Interes kręci się na całego – nie tylko po tej, ale i po tamtej stronie granicy.

Nawet pogrążona w niebycie kultura budzi się z letargu. W Domu Kultury rusza nowoczesna kręgielnia z salonem bilardowym, w remizie – kino filmów w oryginalnej wersji językowej, a w bibliotece - kawiarnia internetowa na pięćdziesiąt stanowisk, z której w godzinach zajęć szkolnych może bezpłatnie korzystać młodzież. To nie wszystko – w wydzierzawionym od władz budynku starej piekarni rusza wojskowe studio telewizji satelitarnej. Ba – w każdym kiosku ruchu kupić można Timesa, New Yorkera i The Washington Post oraz zestaw pocztówek promujących piękno okolicy – oczywiście w języku angielskim.

Inny świat.

- No, patrzy sam – sąsiad zaciąga się głęboko wcale nie amerykańskim papierosem – jedna baza, a świat się odmienił. A niechby może i przyszli, co?

Kumulacja

Jeszcze do niedawna słowo „kumulacja” zalegało w przepaściach Słownika Wyrazów Obcych, a tylko przy okazji sięgali po nie peerelowscy politycy – tłumacząc, że kumulacja niepokojów... musiała doprowadzić do eskalacji działań...

O co chodzi – starsi słuchacze doskonale pamiętają, a młodzi wiedzieć nie muszą.

Nadeszła upragniona demokracja – i wydawało się, że słowo kumulacja wyjdzie z powszechnego użycia.

Jak zawsze – językowi przyszedł z pomocą naród, który dosłownie z dnia na dzień przestał wygrywać w popularnych zakładach sportowych – w związku z czym ktoś przypomniał sobie o słówku - kumulacja.

Pojawiła się pula trzech czy czterech milionów - przyprowadzając naród o ból głowy. Ponieważ znów nikt nie potrafił wygrać - hasłem do narodowego zrywu kolekturowego stało się – SIEDEM milionów.

Amerykanie mieli wprowadzić swoją loterię z ponad dwustoma milionami – ale co nasze, to nasze. Zresztą jak się porówna zarobki, to i tak nasze górą.

W końcu ktoś wygrał ponad 9 milionów – oczywiście złotych – i karuzelę trzeba było rozkręcić na nowo. Oczywiście – nikt za nas tego nie zrobi – rozkręcamy ją sami – ale kto nie chciałby z dnia na dzień stać się bogaty.

Listę wydatków na wypadek trafienia szóstki każdy ma swoją - nowy dom, samochód, lokata w banku, podróż dookoła świata...

Lecz gdyby tak sprawdzić kto z nas uwzględnił na tej liście darowiznę na dom dziecka, szpital, czy hospicjum – moglibyśmy być mocno zaskoczeni.

Nasza zwykła, ludzka tęsknota do bogactwa jest – niestety -

odwrotnie proporcjonalna do szczodrości, litości czy najzwyczajszego współczucia.

Wyobraźmy sobie sytuację odwrotną – oto wróżka z bajki gwarantuje nam wygraną. Nie całą pulę – jak dziś – 20 milionów – ale połowę. Pod jednym warunkiem – że 9 i pół - spośród 10-ciu wygranych milionów oddamy potrzebującym.

Kto się zgadza – ręka do góry?

Szczęście należy w życiu prowokować – mówią jedni. Szczęściu trzeba pomóc – twierdzą inni. Mówi się również i tak – szczęściu w życiu należy wychodzić naprzeciw. Trzymam kciuki – niech wreszcie ktoś to wygra - bo tak naprawdę nie jestem w stanie przewidzieć - jakie odruchy i zachowania może w nas, Polakach, wywołać kumulacja kumulacji, czyli pula rzędu 100 albo 200 milionów.

Życ z granicy

Od kiedy wymyślono granice między państwami – zawsze znajdowali się ludzie, którzy potrafili z nich żyć, to znaczy czerpać z tego faktu wymierne korzyści. Zakładali kramy, kramiki, karczmy i gospody. Kramiki zmieniały się z czasem w prawdziwe delikatesy, a gospody w luksusowe zajazdy i hotele.

Od początku też - obok tych uczciwie zarabiających – istnieli i tacy, którym ani w głowie było załatwianie pozwoleń, rejestrowanie się tu i ówdzie, wreszcie płacenie podatków. Pracowali na czarno – przerzucając w jedną stronę na przykład skóry i sukno, w drugą – mięso, słoninę et cetera. Z czasem przerzucać zaczęli luksusowe samochody, później broń, wreszcie ludzi.

Granica zawsze pozwalała – mniej, czy bardziej legalnie – troszkę lub całkiem sporo - zarobić.

Owszem, zdarzało się, że gospodarczy boom przerywało nagłe bum – i trzeba było fabrykę zamknąć, a luksusowy samochód sprzedać, żeby kredyt spłacić.

Ale jak to się mówi - bogatemu diabeł dzieci kołysze – jakoś można było wyjść na swoje. Jak nie na skarpetkach i rajstopach, to na meblach, czy panelach. Detal zamienić wystarczyło na hurt – i już.

Granica zawsze pozwalała jakoś żyć. W Gołdapi na przykład wystarczyło mieć rower. Do przejścia jest wprawdzie kilka kilometrów, ale najbardziej technicznie zaawansowani kolarze potrafili do granicznego sklepu wolnoctwowego obrócić cztery razy dziennie. Wystarczyło za każdym razem przywieźć tylko dozwoloną ilość papierosów i wódki – dzieńka wychodziła całkiem, całkiem.

Mam znajomego, mieszka niedaleko przejścia w Bobrownikach, zainwestował w roczną wizę białoruską, wyjeżdża rano, wraca po trzech godzinach. Paliwo, papierosy, wódka – wszystko w

ilości zgodnej z przepisami. Na czysto wychodzi mu dziennie około 60 złotych. W niedzielę i święta nie jeździ.

Granica zawsze pozwalała żyć. Chociaż - tak między nami mówiąc – inny to handel, niż jeszcze kilka lat temu. Wystarczy przejść się po ruskim bazarze przy Jurowieckiej czy Kawaleryjskiej. Nie uświadczysz dziś ani astrachańskiego kawioru z jesiotra, ani koca z wielbłądziej wełny. Tylko –igarety, wódka, spirt. Chociaż na litewską ceramikę można jeszcze czasami trafić.

Granica pozwala żyć. Nawet wówczas – gdy jej nie ma. Czego najlepszym przykładem są polskie bazyry na dawnej granicy z Niemcami przeżywające od 1 maja prawdziwy boom gospodarczy.

Ciekawe, czy tak samo byłoby u nas, na wschodzie?

Jesień przyszła

Nikt na nią specjalnie nie czeka, nikt za nią nie tęskni, nie wygląda przez okno – a ona i tak przychodzi. Każdego roku o tej samej porze. Regularnie.

Poetom kojarzy się z babim latem, a na ten przykład urzędnikom – z ziemniakami. Dlaczego? – bo jesień to czas wykopków, a urzędnik jest jak ziemniak – jak na wiosnę posadzą, to we wrześniu wykopią. Nie znacie tego porzekadła?

Przecież to ciągle jedno z najbardziej aktualnych przysłów polskich. Chyba, że po wczorajszym trzęsieniu ziemi zaczniesz obowiązywać nowe, ot choćby takie:

„Gdy w koniec lata trzęsie się ziemia, marszałka z zarządem w trzy pacierze nie ma!” – ładne, prawda? Ludowe.

Mądrość ludowa, wolna i niezależna - nie spętana krawatami w znanych wszystkim barwach - daje o sobie znać na każdym kroku bez pomocy takich czy innych mediów.

Tylko skąd mądrość ludowa, wolna i niezależna – wie, że do wykopania jest cały zarząd, skoro wszyscy mówią, iż tylko jeden z jego członków?

Ale ona taka już jest – ta mądrość ludowa - snuje się między opłotkami, na przyzbie usiadzie, pod sklepem z ludźmi małe jasne wychyli, do chałupy zajrzy, a czasem to i pod pierzynę noś wściboli – taka ona już ta mądrość ludowa jest.

I dlatego wie. I ona ludziom tłumaczy, że to nic złego, jak się urzędnik w urzędnicze zakocha – i to aż tak, by się jej problemami w podległym sobie referacie w godzinach, a majątkiem po godzinach pracy zająć.

I ona przecież nic przeciwko uczuciu nie ma – wszak Laura i Filon też nie w godzinach zajęć, tylko inną porą pod jaworem o funduszach strukturalnych rozmawiali.

A może to trzęsienie ziemi wcale nie na porzekadła było? Może to już się do nas lodowiec wybiera – i stąd takie ziemi poruszenie? A jeśli tak, to tym bardziej mądrość ludowa nic przeciw uczuciu mieć nie będzie, bo we dwoje przecież zawsze cieplej, gdziekolwiek by się człowiek nie znalazł.

Lato skończyło się trzęsieniem ziemi, strach pomyśleć – jak się może zacząć jesień. Z reguły najpierw ogarnia nas nostalgia za latem. Wspomnienia, opowieści, fotografie... Później pojawia się ów dziwny stan melancholii – czyli nic innego, jak okrucy lata zmiksowane z wyobrażeniem śnieżnych świąt. Jeśli w takim stanie spojrzymy nie daj Bóg na kalendarz – depresja murowana.

I wówczas lepiej nie przypominać sobie przysłówia o wykopkach...

W takim momencie proszę sobie przypomnieć – jak wyglądał nieć babiego lata w złocistym słońcu września... Naprawdę pomaga.

O śmierci medialnej

Nie ma chyba dnia, żeby gazety czy stacje telewizyjne nie informowały o wyczynach naszych demokratycznie wybranych posłów. Ale nie o tych ustawodawczych sukcesach z wielkiego gmachu przy Wiejskiej, tylko całkiem innych.

A to pan poseł poszedł do galerii i zapomniał, że ma włączony długopis – wiemy wszyscy, jak się to skończyło.

A to pani poseł wczesnym popołudniem, bo około 15.30 prowadziła auto na bani. Przykłady można mnożyć.

Pan poseł od sztuki współczesnej na okoliczność swojego niezamierzonego postępu zdołał nawet zamówić ekipę telewizyjną. A kiedy w ubiegłym tygodniu w tej samej galerii zawiązywało się Podlaskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych – kamery nie było. Mniejsza o to. Idzie o co innego.

Gdyby tak z dnia na dzień gazety, stacje radiowe, a telewizja przede wszystkim – przestały się interesować idiotycznymi występami pań czy panów z immunitetem – ich los w następnych wyborach byłby przesądzony.

A tymczasem dzieje się zupełnie odwrotnie – Pan poseł od sztuki współczesnej, wobec którego na dodatek prokurator prowadzi postępowanie w sprawie głosowania na dwie ręce – przez dobry tydzień bryluje na wszystkich możliwych kanałach.

Pani poseł podejrzana o sfałszowanie list wyborców występuje w co drugim programie publicystycznym – nic sobie z zeznań partyjnego kolegi nie robiąc.

Nie wspomnę już posła, który dziwnym trafem zapada na zdrowiu tylko wówczas, gdy ma zaproszenie do sądu na rozprawę, czy o pani poseł z kilkoma niespłaconymi kredytami na sumę kilkunastu milionów rozprawiającą o reformie podatków.

Jako obywatel demokratycznego kraju i wyborca świadom

swoich praw i obowiązków domagam się zastosowania wobec takich osób kary śmierci medialnej.

Do następnych wyborów do parlamentu. Znikasz, brachu, z gazet, z radia, z telewizji. Nie ma cię w żadnym dzienniku, ani słowa, ani wzmianki, nic.

Zapadasz w medialny niebyt – czy w niebyt polityczny również? – o tym będą decydować twoi wyborcy. Więc się staraj.

Nie wiem, czy taka śmierć medialna nie byłaby w wielu przypadkach znacznie bardziej skuteczna, niż odebranie immunitetu.

Jednego jestem pewien – w przyszłym sejmie kilkunastu, a może i kilkadziesiątu postaci z pewnością by już nie było.

W kwestii gryfa

Któż z nas nie lubi ładnych widoków. Może jeśli nie widoków na przyszłość - to chociaż widoków z okna. A nie od dziś przecież wiadomo, że im wyżej się siedzi – pardon – mieszka, tym widok piękniejszy – choć perspektywa patrzenia na to, co na dole - ulega znaczącej zmianie – skutek czego obraz tego, co w dole może być nieco zdeformowany. Generalnie chodzi o to, że im wyżej się siedzi – pardon – mieszka - tym mniej widać. Oczywiście bez lornetki.

Kierowani potrzebą piękniejszego widoku z okna – bo o piękniejszej przyszłości przed kolejnymi wyborami trudno raczej mówić – urzędnicy z białostockiego magistratu postanowili zafundować sobie gryfa.

Nie tak całkiem dawno zafundowali sobie co prawda dywan z kwiatów na rondzie przy Alei Piłsudskiego i Pałacowej – ale widocznie nie poprawił on widoku z kolejnych pięter urzędownca przy Słonimskiej.

Czy kwiaty nie takie, czy źle posadzone, projektant nie ten - a może kolory ktoś pomylił – nie wiadomo. Prawdę mówiąc – kiedy w upalny, słoneczny dzień, w pełni smogu i słońca – patrzy się z 9-tego piętra magistrackiego biurowca na ów dywan - niewiele widać.

Ale kiedy w pełni słońca – i smogu - na bramie pałacowej za jaśniejze złotem gryf – to dopiero będzie widok. Jak za hetmana Branickiego ! Tyle tylko, że nawet dwu i pół metrowy gryf – siedzący, to ważne – widziany z 7-ego czy 9-tego piętra biurowca przy Słonimskiej – bardziej przypominać może siedzącą kurę, niż lwa z głową orła. Tyle, że złotą. A taki widok samopoczucia pewno nie poprawi.

Gryf ma kosztować miasto – czyli nas – podatników – 70 tysięcy złotych. Za te pieniądze można na przykład:

- wydać przemyślaną i sensownie opracowaną graficznie serię pocztówek o Białymstoku: - pocztówek, których nie będzie wstyd wysłać za granicę,
- albo - pozbierać do kupy wszystkie mniej i bardziej udane przewodniki po mieście i wydać jeden, porządny, wzorując się na przykład na przewodniku po Wilnie Tomasa Venclovy;
- można też za owe 70 tysięcy złotych ustawić w centrum kilka nowych tablic z aktualnym planem miasta, na którym zaznaczone będą najciekawsze zabytki – z legendą w trzech przynajmniej językach,
- albo – przeznaczyć część tych pieniędzy na pomoc Galerii Marszand, której po podniesieniu czynszu grozi zamknięcie,
- za owych 70 tysięcy złotych można by też zamurować bramę obok sklepu Desy, likwidując na zawsze źródło straszliwego smrodu w centrum starówki – a jeszcze by trochę grosza zostało,

Nie mówiąc już o tym, że pieniądze te mogłyby zostać przeznaczone na przykład na stypendia dla szczególnie uzdolnionych młodych muzyków, poetów, aktorów czy malarzy – przyznawane raz w roku przy okazji Nagród Artystycznych Prezydenta.

Nie będę wliczał dalej. Nie mam nic przeciwko gryfowi na bramie Pałacu Branickich. Tylko jakoś nie bardzo potrafię sobie wyobrazić białostoczian zadzierających wysoko głowy z wyrazem dumy na twarzy – że oto historia zatoczyła koło i rzeźba znów jest na swoim miejscu.

I że jakie to piękne, i jacy jesteśmy z tego dumni.

No, nie potrafię. Obawiam się natomiast, że o tej pamiętce z okresu rządów tej a nie innej formacji – za kilka czy kilkanaście lat, a może wcześniej – mówić się będzie – Złota kura – z czasów Tura.

I dlatego o tym wszystkim dziś państwu powiedziałem.

Kupić bank

Niedzielne wczesne popołudnie. Ulica Mickiewicza w Białymstoku, przy jednym z wieżowców tłum ludzi. Zwalniają przejeżdżając ulicą samochody, przechodnie zatrzymują się z pytaniem – co się stało. Co niektórzy spoglądają w górę wypatrując w oknach kandydata na samobójcę – wieżowce w tej okolicy cieszą się złą sławą.

Skoro jednak nie ma ani policji, ani karetki – to nie to. Dopiero gdy zauważam przyklejony do wieżowca niewielki budynek z tabliczką banku przy wejściu – wszystko staje się jasne.

Jadę dalej – Rynek Kościuszki – tutaj przy drzwiach banku stoi tylko pięć osób. Na razie – za niespełną godzinę, w porze sprawdzania listy kolejkowiczów – zbierze się tu prawdziwy tłum.

Kupić akcje. Za wszelką cenę. Już to kiedyś przerabialiśmy. Z różnym skutkiem. Znajomi, którzy sprzedali samochód, żeby kupić akcje Banku Śląskiego – dzisiaj mają dwa domy i trzy samochody.

Inni – do dziś dnia nie mogą odzyskać pieniędzy, które właśnie wtedy pożyczili swoim znajomym na kupno akcji. Takie są blaski i cienie wchodzenia na giełdę.

A więc najpierw kupić – odstać w kolejce, nie opuścić godzin sprawdzania listy, przyjść skoro świt – a jeszcze lepiej wieczorem poprzedniego dnia, broń Boże z gotówką, pieniądze powinien rano donieść ktoś z rodziny, a jeszcze lepiej dopiero jak będziemy kilka osób przed okienkiem.

Po pierwsze – kupić. Po drugie mieć – i czekać na pierwsze notowania. Czekać – z myślą – czy od razu wystawić na sprzedaż, zarabiając kilka - czy kilkadziesiąt procent, czy poczekać miesiąc, kwartał.

Biec codziennie rano po gazetę z tabelą kursów, zaciskać palce – gdy idzie do góry, zaciskać wargi – gdy spada. I pytać samego

siebie – będzie lepiej, kiedy – czy będzie gorzej. Trzymać, czytając z wypiekami na twarzy wszelkie rekomendacje, czy zupełnie bez rekomendacji wystawić na sprzedaż.

I tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Ale mieć. Być na giełdzie.

A może sprzedać. I kupić coś z komputerów, albo coś z ropą. Może spożywką?

Albo spółki budowlane? To wciąga, coraz bardziej.

Trzeba mieć dużo czasu i mocne nerwy. Bardzo mocne nerwy.

Co wcale nie oznacza, że wszystkim rodakom, którzy od dziś poczują się prawdziwymi milionerami – nie życzę powodzenia. Wprost przeciwnie – niech to będzie interes życia.

I żebyście już nigdy nie musieli grać w totka.

Ocalić Herberta

Informacja, która ukazała się w mediach była nad wyraz lakoniczna:

„Wdowa po Zbigniewie Herbercie zamierza sprzedać archiwum poety do zbiorów Biblioteki Rzadkich Książek i Rękopisów w New Haven w stanie Connecticut.

I dalej – wojewódzki konserwator zabytków w Warszawie Ryszard Głowacz rozpatruje właśnie sprawę wydania zgody na wywóz pamiątek z Polski”.

Informację tę gazety wydrukowały 14 października.

Tydzień później jedna z gazet codziennych zamieściła rozmowę z krytykiem filmowym Tomaszem Raczkim, opatrzoną tytułem: „Dziedzicę po Zygmuncie”, w której przyznaje się on do tego, że zmarły niedawno wybitny znawca filmu Zygmunt Kałużyński przepisał mu cały swój majątek – mieszkanie, olbrzymi księgozbiór literatury francuskiej i angielskiej, rękopisy, a także prawa autorskie do jego książek”.

Tylko na pozór zestawienie obu tych faktów medialnych sprawia wrażenie przypadkowego. Na pozór – bo i w przypadku Herberta, i Kałużyńskiego chodzi o intelektualną spuściznę ludzi wybitnych, niepospolitych, niezwykłych.

O spuściznę, która pozostać powinna w kraju, jako dorobek nie jednostek, ale jako dorobek narodowy.

W przypadku spuścizny po Zygmuncie Kałużyńskim – wszystko zależy od Tomasza Raczka. Będzie chciał – to wyda jego książki za granicą, sprzeda prawa autorskie, a księgozbiór odsprzedać może na przykład Akademii Francuskiej. Na razie mówi otwarcie o realizacji testamentu duchowego zmarłego przyjaciela – czemu ma służyć założone właśnie wydawnictwo Latarnik. Jeśli w swoim postanowieniu Tomasz Raczek wytrzyma – będzie to najlepszy probierz

przyjaźni, jaka łączyła go z Kałużyńskim.

Znacznie bardziej skomplikowana jest kwestia spuścizny po Herbercie. Jeszcze za życia – poeta - część rękopisów i zbiorów osobiście przekazał do biblioteki uniwersyteckiej w Yale. W testamencie życzył sobie, aby po jego śmierci trafiła tam reszta. Katarzyna Herbert chce za pieniądze uzyskane ze sprzedaży utworzyć fundację. Miałyby ona przyznawać stypendia osobom, które chciałyby badać rękopisy Herberta w Stanach Zjednoczonych.

Wiadomo nie od dziś, że znając ambicje Amerykanów i ich możliwości finansowe – całe Herbertianum wyjedzie z Polski bardzo szybko. Przeszkodzić temu nie jest w stanie konserwator zabytków – bo- zacytujmy - „dokumenty te nie mają statusu szczególnie ważnych dla kultury narodowej”.

Minister kultury z kolei – wcale nie myśli – w jaki sposób *taki status* spuściznie po Herbercie nadać – i skąd wziąć pieniądze, by do ich wywiezienia nie dopuścić. Prawdziwym szczytem abnegacji jest natomiast wypowiedź dyrektora Biblioteki Narodowej – Michała Jagiełły, który stwierdził na łamach gazet, że przeszkód prawnych w wywiezieniu dokumentów Herberta nie ma.

Tak wypowiada się dyrektor placówki mającej w nazwie przymiotnik „narodowa” – którego, nie powiem jakim obowiązkiem, jest zrobić wszystko, by spuścizna po Herbercie pozostała w kraju.

Może nie oliwy do ognia, ale żalu w serce dołała jeszcze Katarzyna Herbert, która w wypowiedzi dla radia powiedziała: - Przez 6 lat od śmierci męża nikt nie zainteresował się jego zbiorami. Żadne muzeum, placówka naukowa, uniwersytet, nawet żadna osoba prywatna, która chciałaby zająć się ich uporządkowaniem. Boję się, że- by to wszystko co pozostało po Herbercie nie utonęło w jakiejś powodzi, albo nie spłonęło w przypadkowym pożarze.

Smutne. Prawdziwe.

Jedyną osobą, która publicznie stwierdziła, że pamiątki po Herbercie są dla polskiej kultury bezcenne, a ich miejsce jest w Polsce – jest dyrektor warszawskiego Muzeum Literatury – Janusz Odrowąż – Pieniążek. On z kolei pieniędzy na ich kupno nie ma.

Żeby był dobrze zrozumiany – nie chodzi o 100, 200 czy 500 tysięcy złotych bądź dolarów, za które Katarzyna Herbert odsprzedać by mogła spuściznę po Herbercie. Nie. Chodzi o to, że nie ma

w tym kraju odpowiednich instrumentów prawnych, dzięki którym dokumenty, rękopisy i zbiory pozostałe po Poecie uznać by można za wartość narodową – i objąć zakazem wywozu z Polski.

Spuścizny po Aleksandrze Waciu, Konstantym Jeleńskim, Witoldzie Gombrowiczu czy Jerzym Giedroyciu nie da się do Polski sprowadzić. Ale na litość boską – zróbmy coś – by mogła w ojczyźnie pozostać spuścizna po Szymborskiej, Mrożku, Zagajewskim, czy księdzu Twardowskim. Jako dobro kultury narodowej.

Chyba, że przymiotnik „narodowy” nic już w tym kraju nie znaczy.

Operetka z operą w tle

Na zdjęciach, które we czwartek pojawiły się w białostockich gazetach widać wyraźnie trzech tenorów – przepraszam - animatorów białostockiej Opery – pana od ziemi, pana od pieniędzy i pana od budowy. Dziwnym trafem nie znalazł się na nich czwarty – tak się składa - pomysłodawca całego przedsięwzięcia – czyli pan od muzyki.

Pan od ziemi obiecuje, że parcelę pod Europejskie Centrum Muzyki i Sztuki znajdzie – choćby trzeba było kogoś wykupić czy wywłaszczyć. Obiecuje - jakby zapomniał historię z mieszkańcami ulicy Białowieskiej w Białymstoku, którzy na razie ani się wykupić, ani wywłaszczyć nie dali – więc z Trasy Kopernikańskiej mamy – na razie – nici.

Pan od pieniędzy z takim optymizmem obiecuje znaleźć 50 milionów na budowę Opery, jak gdyby chodziło o 50 tysięcy na Stowarzyszenie Szukamy Polski.

Zapomina przy tym, że kadencja marszałka trwa określony czas, a nie wiadomo, czy następcy zamiast opery nie wybiorą przypadkiem autostrady do Warszawy. Marzy przy tym o pieniądzach z Unii Europejskiej, ale jeśli nasi pravicowi europosłowie – urzędują w Europarlamencie jeszcze większą operetkę niż kilka dni temu – o kasie na białostocką Operę – Europejską zresztą - trzeba będzie zapomnieć.

Pan od budowy wreszcie - twierdzi, że mógłby rozpocząć budowę już jutro, multikino otworzyć za rok – zapomniał chyba, że sprawa wałkuje się w Urzędzie Miejskim w Białymstoku od pięciu lat.

A tu raptem nagle miałyby ruszyć z kopyta? A konkurs na projekt?

A przetarg... a protesty, sprzeciwy, skargi, unieważnienia...

chyba nie zna białostockich realiów.

Jeden tylko pan – pan od muzyki – konsekwentnie mówi o roku 2010 jako o realnym terminie wystawienia w Operze Podlaskiej „Strasznego dworu”.

Nie mówi, przynajmniej na razie, czy z udziałem naszych, białostockich solistów, czy też gwiazd formatu krajowego, europejskiego czy światowego.

Nie wiem, czy przyjedzie do Białegostoku Jose Carreras. Chodzi mi tylko o to, żeby Europejskie Centrum Muzyki i Sztuki – Opera Podlaska – nie stało się jeszcze jednym miejscem do chałturzenia za duże, nie ukrywajmy pieniądze.

Są na szczęście pewne przesłanki, jak jaskółki na zachmurzonym niebie, że Opera Podlaska stanie się szansą dla młodych ludzi stąd – oto staraniem pana od muzyki właśnie i władz Filii Akademii Muzycznej w Białymstoku powstał wydział wokalny tej uczelni.

I kto wie, czy wraz z murami Opery Podlaskiej nie będą rosły talenty na miarę jeśli nie Carrerasa, to Ładysza co najmniej.

Spoglądam więc na to zdjęcie trzech tenorów – pardon - animatorów, ściskam palce za powodzenie całego przedsięwzięcia, z prawdę ogromnym wewnętrznym przekonaniem, że tutaj, w Białymstoku, w sąsiedztwie Wilna, Petersburga i Mińska ma ono wielki sens – ale drugim okiem z niepokojem spoglądam na gazetową notkę na sąsiedniej stronie.

Na „Pakt dla kultury” ogłoszony przez Prawo i Sprawiedliwość. Wspieranie kultury ludowej, zachęcanie młodzieży do inicjatyw kulturalnych, wspieranie inicjatyw naukowych i edukacyjnych na Ukrainie i Białorusi.

Kandydatem PIS-u na ministra kultury po przyszłorocznych wyborach będzie Kazimierz Ujazdowski.

Najtrudniej być prorokiem we własnym kraju – ale strach pomyśleć co będzie, jeśli zamiast Opery Podlaskiej zechce nam zafundować Podlaski Oddział Muzeum Wolności?

Na takie myśli jest tylko jedno lekarstwo – chór niewolników z opery Nabucco – Verdiego. Na razie – jeszcze z płyty.

14 XI 2004

O poezji, żubrach i sprawiedliwości

Zdarzyło się oto w mieście wojewódzkim, że urzędnik od wojewody – czyli przedstawiciela rządu - tzn. państwa - przybiega do poety – etatowego pracownika placówki będącej w gestii marszałka – czyli samorządu - z prośbą o egzemplarz książki z wierszami. Oczywiście – z wierszami poety, nie marszałka.

Poeta zaniemówił - czyżby wojewoda zapłonąć miał raptem miłością do mowy wiązanej? A może poczuł coś w rodzaju natchnienia – co urzędnikom państwowym też się ponoć zdarza – chwycił za pióro, a że nie bardzo wiedział – jak strofy składać – przeczytać pierwej zapragnął.

Ani jedno, ani drugie. Po prostu jeden z gości pana wojewody – na widok tradycyjnej reklamówki z suwenirami i materiałami promocyjnymi – bąknął coś półgębkiem o wierszach wspomnianego wyżej etatowego pracownika placówki, o książkach, bo słyszał, ktoś wspominał, coś czytał – i czy to wszystko prawda...

I że bardzo chętnie zamiast mapy województwa, kalendarza imprez na rok co się powoli kończy, drewnianego żubra i wiązki zwietrzałej trawki, której żubry wcale nie jedzą - widziałby w reklamówce tom wierszy wzmiankowego wyżej poety...

Jeszcze się dopijała kurtuazyjna kawa, a już urzędnik od pana wojewody wbiegał do gabinetu z egzemplarzem książki. Jak się okazało – ostatnim, jaki poeta posiadał. Ale co – biedak - miał uczynić – oddał, władza prosi – a z nią lepiej nie zadzierać.

Logika kazałaby spodziewać się, iż następnego dnia urzędnik od wojewody zaprasza poetę na kawę, by omówić warunki wydania owej książki z wierszami w przyzwoitym nakładzie i szacie graficznej, tudzież kwestie finansowe – czyli honorarium – wszystko naturalnie z myślą o podobnych sytuacjach w przyszłości. Po prostu – poeta ma książkę, a władza suvenir, który dorzucić może do żubra i

trawki, bez wstydu – bo i książka ładna, i wiersze dobre.

Ale życie jest życiem – i z logiką ma niewiele wspólnego. Dlatego też następnego dnia poeta pił kawę sam, u siebie, za własne pieniądze kupioną, myśląc – dlaczego tak łatwo oddał ostatni egzemplarz swojej książki.

Łudził się jeszcze przez jakiś czas, że chyży urzędnik od wojewody zatelefonuje, ale po kilku dniach mu przeszło.

Zdarzenie to na pozór banalne, sytuacja – rzecz by można – sporadyczna.

Ot – jak mówią w Białymstoku – *zamanęła* się komuś książka z wierszami zamiast zębów i trawki.

A może nie zamanęła? Może to wyraźny sygnał, że drewniana rzeźba zębów, czy bociana – zwietrzała trawka i kalendarz imprez na kończący się rok – już nie wystarczą?

Że być może w urzędniczych szafach trzeba mieć książki z wierszami rodzimych poetów, albumy z reprodukcjami obrazów miejscowych malarzy, albo płyty z muzyką tutejszych kompozytorów? Nie wspominając już o porządnym przewodniku, czy albumie fotograficznym – prezentującym całe województwo.

Czas drewnianych zębów i wiązki zwietrzałej trawki dawno się skończył.

Od pół roku jesteśmy w Unii Europejskiej – przepastne urzędnicze szafki warto by już przewietrzyć.

Błagam - tylko bez skrajności. Breloczki z podobizną posła co to w Arsenale długopisem wymachiwał nieświadom, że ów jest włączony – uważam za przesadę. Kubki ze zdjęciem radnej, która chciała być cenzorem – również.

A propos posła – chodzi po Białymstoku plotka, iż poszukuje on adwokata, co by go bronił w sądzie w sprawie o zniszczone obrazy. Życzę powodzenia.

A jeśli już dojdzie do rozprawy – proszę wysoki sąd, by zasądził stosowną nawiązkę – w odpowiednio wysokiej do rangi zbrodni proporcji - na dodruk książki z wierszami wspomnianego wyżej poety.

I to w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy. Niech wie, że sprawiedliwość jest na świecie, a każdy dobry uczynek prędzej czy później – ale w końcu zostanie nagrodzony.

O kulturze, pieniądzach i obyczajach

Zahuczało, zafurczało wśród podlaskich elit kulturalnych. Pomruk niezadowolenia słychać w jednej części miasta, westchnienie zdziwienia – w innej, a jęk rozgoryczenia i bezsilności z okolic centrum.

Stronnicy, zwolennicy, miłośnicy, kadzidlarze i domorośli na prawiacze świata nie skrzykują się wprawdzie jeszcze w zbrojne partie, choć z tego, czy innego partyjnego obozu dało się już słyszeć oznaki niezadowolenia.

Oto jedna z gazet opublikowała zarobki dyrektorów podlaskich placówek kultury. No i okazało się, że jeden dyrektor Teatru Dramatycznego ma pensji tyle, ile szefowie Książnicy i Muzeum Podlaskiego razem.

Z kolei dyrektor Filharmonii zarabia miesięcznie mniej więcej równowartość tego, co dyrektorzy białostockich domów kultury razem wzięci.

Nie zauważyłem wprawdzie - a okazja po temu była znakomita - by szef Muzeum Podlaskiego patrzył krzywo na szefa Książnicy, od którego zarabia mniej – ale i nie zauważyłem – przyznać to trzeba - jak spoglądał na szefową galerii Arsenał, która według tego zestawienia też zarabia od niego więcej.

Można by oczywiście snuć teraz domysły, kto komu przestanie podawać rękę, kto do kogo przestanie telefonować, a kto z kim przestanie rozmawiać – można – ale po co? Przecież u nas, w Białymstoku – takie sytuacje są nie do pomyślenia.

No bo niby dlaczego dyrektor Lechowski miałby zazdrościć dyrektorowi Niesiołowskiemu poborów prawie dwukrotnie wyższych? – z jakiego powodu?

I dlaczego dyrektor Białostockiego Teatru Lalek miałby patrzeć krzywo na swojego vis a vis z Dramatu? - dla marnych kilku-

set złotych, jakie dzielą ich w tej drabince? Bez sensu.

A dyrektor domu kultury Śródmieście – ze swoją pensją 2 tysięcy złotych – miałyby komukulwiek zazdrościć poborów rządu 7-miu, 6-ciu, czy 5-ciu tysięcy. Choćby na przykład dyrektorowi WOAKU? Też bez sensu, prawda?

Jeśli ktoś komuś mógłby czegoś zazdrościć – to chyba Marcin Nałęcz Niesiołowski – pani dyrektor Filharmonii Wrocławskiej – Lidii Geringer, która inkasuje co miesiąc – jak podała Gazeta Wroclawska – ponad 18-cie tysięcy.

Nie mówiąc już o dyrektorze Muzeum Podlaskiego – który pewno nie wie, że Maciej Łagiewski – szef Muzeum Miejskiego we Wrocławiu – zarabia miesięcznie prawie trzykrotnie tyle, co on – bo ponad 9,5 tysiąca złotych.

Dziesiąty na liście opublikowanej przez Gazetę Wroclawską jest Józef Wiłkomirski – dyrektor Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu – z miesięcznymi dochodami 7 i pół tysiąca złotych.

Czego tu zazdrościć, prawda? I o co kruszyć kopie, z jakiego powodu nie rozmawiać, nie telefonować? Przecież to tylko pieniądze. I aż pieniądze.

Zresztą – kudy tam i Wrocławowi, i Białemustokowi – do stolicy, gdzie szefowie takich scen, jak Roma czy Syrena zarabiają około 10 tysięcy złotych miesięcznie. Przecież z tego powodu nikt na nikogo wilkiem spoglądać nie będzie.

Sprawą kultury osobistej jest nie liczyć cudzych pieniędzy, a już tych wydatkowanych na kulturę – narodową – tym bardziej.

Właśnie – tym bardziej, że kanał kultura jest zagrożony. Miał być od pierwszego stycznia, teraz mówi się o kwietniu. Miał być nadawany z Warszawy, a tu raptem do prawo do jego emisji dopomina się Kraków.

Najgorsze, że nawet rada programowa publicznej telewizji konkretnego, jednego pomysłu na ów kanał nie ma – i strach pomyśleć, w jaki się może wpuścić kanał. A i nas – widzów – przy okazji.

Pomysłu nie ma, pieniędzy nie ma. Jest za to porozumienie władz samorządowych w temacie współtworzenia kanału kultura, pod którym i podpisy podlaskich włodarzy się znalazły.

Nie wiadomo, czy chodzi o ogólnopolską zrzutkę kasy na ów

superkulturalny program – czy też o zrzut lokalnych produkcji kulturalnych na rzecz owego kanału.

Jeśli to pierwsze – to po prawdzie – trudno powiedzieć, skąd Białystok mógłby taką kasę wziąć. Z tym drugim – byłoby już o wiele, wiele łatwiej.

I właśnie z tego powodu dobrze się stało, że ów nieszczęsny ranking zarobków podlaskich menedżerów kultury – środowiska – mimo zakusów co poniektórych – nie skłócił.

Łatwiej teraz będzie choćby o wspólną dyskusję o tym, co nasz region może, a co powinien – w kanale kultura pokazać. Pod warunkiem, że zostanie do jego współtworzenia zaproszony.

O pałacyku, saperach i historii

Kiedy zupełnie nieopatrznie zwierzyłem się ostatnio w towarzystwie, że zamierzam napisać felieton o pałacyku gościnnym w Białymstoku – jeden z moich znajomych zapytał – czy zmieniłem zawód?

Raczej nie - odpowiedziałem – Na pewno – nie ustępował znajomy – bo wygląda na to, że zostałeś saperem! Włazisz na minę!

Nie zdążył mi już niestety wyjaśnić, co miał na myśli – skończyły się darmowe drinki i ulotnił się po angielsku – chyba na następny wernisaż.

Saperem? Nie słyszałem, żeby w pałacyku przy Kilińskiego znalazł ktoś jakąś minę, bombę, niewypał, czy niewybuch.

Owszem – bombowo brzmiały tytuły w jednej z lokalnych gazet opisujących a to bale organizowane w pałacyku przez zaradnego radnego, a to prezentacje garnków, które w jednej wersji były darmowe, w drugiej – słono kosztowały – ale żeby mina?

A może chodziło o dobrą minę i pani naczelnik organizującej garnkowe wieczory, i pana prezydenta – który o całej historii miał nic nie wiedzieć.

Może i rzeczywiście nie wiedział – bo gdyby wiedział i nic nie zrobił, to by dopiero była bomba. Ale niewypał? – chociaż zaraz, zaraz – takiego właśnie określenia użył jeden z moich warszawskich znajomych, historyk sztuki z wykształcenia, po obejrzeniu zdjęć wnętrza wyremontowanego pałacyku.

Zostawmy te zaszłości. Za późno na dyskusję i o wydanych pieniądzech – choć to trzy miliony naszych, podatników złotych – i o artystach, którzy je wzięli, i o tym – dlaczego środowisko białostockich historyków sztuki tak łatwo zgodziło się na przedstawiony projekt. Zostawmy te niewybuchy.

Spróbujcie w niedzielne przedpołudnie ów zabytek obejrzieć –

od środka naturalnie. Nie ma szans. Spróbujcie zorganizować tam spotkanie z poezją czy wieczór muzyki przy gitarze. Bez szans. Spróbujcie spotkać się tam na przykład z grupą młodzieży, która chce porozmawiać o literaturze. Nic z tego.

Łatwiej urządzić tam bal czy prezentację drogich garnków. Pardon – są jeszcze konferencje prasowe prezydenta, uroczystości wręczenia nagród, podpisywania umów i porozumień itd. Ale ile takich okazji jest w roku?

Nie więcej, niż wystawnych ślubów – za które i tak trzeba płacić.

Myślałem przez moment, by Pałacyk przy Kilińskiego stał się dla Białegostoku Domem Sztuki. Niech się tam odbywają spotkania literackie, wieczory muzyki, spotkania autorskie ze znanymi ludźmi. Tak – by każdego dnia coś się tam działo – i by nigdy już nie zdarzyło się, że w czterech różnych miejscach o tej samej godzinie rozpoczynają się w Białymstoku cztery różne imprezy kulturalne.

Po chwili jednak pomysł uznałem za bezsensowny – jaki interes ma w tym choćby dyrektor Ratusza, który mając własne sale musiałby w pałacyku płacić i za wynajm, i za szatnię, i za obsługę, i za dyżurnego strażaka, i za... bez sensu.

A może Pałacyk Gościnny mógłby stać się białostockim centrum kultury. Przenieść by tam można wydział kultury miasta, wydział kultury marszałka, resztki tego co po kulturze zostały u wojewody. Nawet całe szefostwo od animacji kultury z pobliskiego WOAKU – izby urzędników animowało, a jak trzeba to i reanimowało. Korzyść byłaby taka, że zwolnić by można całą kamienicę obok – a na to tylko czekają twórcy koncepcji studenckiego centrum kultury. Z tego co zauważyłem, studenckie życie toczy się w klubach i pabach i kto, jak kto – ale studenci żadnych centrów nie potrzebują. Potrzebują ich raczej urzędnicy - a tych można razem – do Pałacyku. To dopiero byłoby centrum.

Dlaczego jednak – pomyślałem sobie – Pałacyk przy Kilińskiego musi służyć kulturze? Skoro służy organizacji balów i pokazów garnków – może bardziej go w tym kierunku wykorzystać?

Jeśli jakiś zagraniczny koncern chce wejść do Białegostoku – proszę bardzo – niech przez miesiąc, dzień w dzień, organizuje pokazy, promocje, konkursy...

A kasa za wynajem – do kasy miasta.

Chcą się na Sylwestra elity pobawić w stylowych wnętrzach – proszę bardzo – wejściówki po tysiąc od osoby – kasa do sejfu miejskiego skarbnika.

W takim wnętrzu nawet zwykły śledź smakować będzie jak łosoś - może by i degustacje? A może niech przez osiem godzin dziennie przyjmuje tam interesantów rzecznik prezydenta? To by się dopiero nasłuchał. I rzecznik wojewody, i marszałka, i konsumentów... Z pretensjami – do pałacu. Slogan reklamowy gotowy.

Wystarczy. To władze miasta powinny tę minę rozbroić. Bo to one przyjęły taki, a nie inny projekt, to one wydały trzy miliony złotych na remont.

I to one powinny wypędzić kupczących ze świątyni. Dosłownie i w przenośni.

Wiocha i prowincja

Słowo prowincja i wiocha znaleźć można w każdym słowniku języka polskiego – niezależnie od tego, czy jest bardziej czy mniej trendy, to znaczy – niezależnie od tego, czy jest owocem pracy szkoły krakowskiej, czy warszawskiej, nie wspominając falenickiej i otwockiej.

Ten bardziej trendy – czyli słownik pod redakcją Andrzeja Markowskiego – prowincję tłumaczy jako: - po pierwsze – tereny oddalone od centrów, po drugie – obszary zapóźnione w rozwoju – zwłaszcza kulturalnym; i po trzecie – ludzie z tychże obszarów odznaczający się niskim poziomem kulturalnym i cywilizacyjnym.

Pod hasłem „wiocha” znajdziemy dwa znaczenia: - pierwsze - liczba pojedyncza używana w znaczeniu zbiorowym – jako ludzie pochodzący ze wsi; drugie – ludzie nie umiejący się zachować.

Niestety, słownik nie hierarchizuje pojęć – i w związku z tym nie udało mi się ustalić – które z pojęć jest szersze. To znaczy, czy wiocha jest częścią prowincji – czy też odwrotnie. Wbrew pozorom – nie jest to ani takie łatwe do określenia, ani bez znaczenia.

Bo czy wiochą jest jedzenie czipsów w trakcie przedstawienia teatralnego, czy też o prowincjonalności świadczy klaskanie pomiędzy poszczególnymi częściami koncertu na przykład fortepianowego.

Czy o wiosze świadczy sweter ubrany do filharmonii – czy o prowincji ukradkowa rozmowa przez komórę podczas wieczoru autorskiego znanego lokalnego poety. Zresztą – tak na marginesie – czy owo „lokalny” – jest oznaką wioskowości, czy prowincjonalności. Zupełnie tak samo jest ze słynnym, ulubionym przez prasę przymiotnikiem „białostocki” czy „suwalski” – poeta, malarz, fotografik, artysta – poeta, pisarzem, artystą, malarzem jest się niezależnie od miejsca zamieszkania. To tak – jakby Zagajewski – poeta

krakowski, w Paryżu poetą już nie był.

Może za jakiś czas popełni ktoś pracę dyplomową na temat: „Kategoria wiochy w życiu kulturalnym współczesnej polskiej prowincji na przykładzie województwa...” – proszę wstawić wybrane – i wtedy wszystko będzie naukowo wyjaśnione, ale na razie praca taka nie powstała – więc bez słownika ani rusz.

Mówię dziś o tym dlatego, że jeden z moich znajomych dzieląc się wrażeniami z piątkowego wieczoru w białostockiej filharmonii powiedział:

- Stary, to nie jest wiocha! Zdębiałem – A co - Nie było dzinśów, swetrów i grających komórek? - To jest publiczność na poziomie europejskim! Po czym wysłuchałem litanii pochwał. – Przepraszam – pytam – a do kiedy w takim razie to była wiocha? I tu mój znajomy wyraźnie się zmieszał, unikając odpowiedzi.

Zapytacie – a prowincja? Może to akurat słowo wymknęło się wielkiej bez wątpienia gwiazdzie – jaka w piątkowy wieczór w filharmonii wystąpiła?

Broń Boże.

Zwrot – „Jak na prowincję całkiem niezłe” – usłyszałem w czwartkowy wieczór, w Białostockim Teatrze Lalek, na promocji nowego albumu fotograficznego Wiktora Wołkowa. I to niestety – z ust jednego z miejscowych, nie chcę powiedzieć – białostockich – twórców - nawiasem mówiąc – wcale nie geniusza w swojej dziedzinie.

Kto w ów wieczór w lalkach był – ten wie, że widzowie i goście wernisażu nie zmieścili się na teatralnej widowni, stali po bokach, stali w drzwiach, stali w teatralnym foyer. Kto na wernisazach bywa - wie, że taka publiczność to na tego typu spotkaniach rzadkość. Ma też z pewnością świadomość - że było to jedno z najciekawszych ostatnio spotkań kulturalnych w mieście.

W centralnej, stołecznej Warszawie na otwarciu wystawy fotograficznej przychodzi 20–40 osób. Na spotkanie autorskie około 50–tki, chyba – że jest to wspomniany wyżej Zagajewski. Wtedy jest ze setka.

A tutaj – cały teatr.

Prowincję ma się w sobie. Jest to sposób myślenia, postawa wobec świata, wobec innych ludzi – i wobec siebie. Jest to też spo-

sób działania i tworzenia.

Centrum świata jest tam, gdzie jest człowiek, twórca.

Dowodem na to jest i Ewa Podleś, która tak samo traktuje śpiewanie w Białymstoku, jak w Metropolitan Opera; i Wiktor Wołkow – efektami swojej twórczości wyrastający ponad Warszawę, czy Kraków.

Powtórzę raz jeszcze – prowincję ma się w sobie. Czy ktoś jest poetą, malarzem, urzędnikiem czy posłem. Prowincja nie jest kategorią zarezerwowaną wyłącznie dla twórców kultury.

Kiedy sami w sobie, dla siebie - nie potrafimy z nią wygrać – zdarza się, że wówczas wyłazi z nas wiocha. Najbardziej ordynarna i prostacka, nie dająca się ująć w żadne słownikowe kategorie.

Zdanie zacytowane przeze mnie wcześniej: - Jak na prowincję całkiem niezłe – to przykład takiej właśnie wiochy.

Przykro mi - ale na to nie ma ani słowników, ani lekarstwa.

Mikołaju, Mikołaju...

Mikołaju, Mikołaju – spraw, by w naszym polskim kraju...

Tak mógłby się rozpoczynać okolicznościowy wierszyk na dziś. Wierszyk do recytowania w przedszkolu, na pierwszej lekcji w szkole, w biurze – przy porannej kawie, w gmachu Rady Ministrów, a kto wie – czy nie nadawałby się do recytowania w Sejmie, Senacie – i koniecznie przed rozpoczęciem obrad speckomisji.

Kiedy zastanawiałem się nad trzecim i czwartym wersem tej rymowanki – już miałem pewne wątpliwości. Czy pójść po linii patriotyczno- tradycyjnej – w rodzaju:

„W znoju i codziennym trudzie – żyli mądrzy, prawi ludzie...”

Czy też – raczej w stronę publicystyki z elementami postglobalnego neoromantyzmu:

„Giertych, Kulczyk, Gruszka, Miller – pokochali się na chwilę, co by z tego było nie wiem – może byłoby jak w niebie”.

Ale po chwili zreflektowałem się, że z nazwiskami lepiej ostrożnie, choć można już różne związki rejestrować – lepiej miłości nikomu na siłę nie wmawiać.

Może niech będzie tak:

„Mikołaju, Mikołaju – spraw by w naszym polskim kraju nikt nie kłamał, nie obrażał – drzwi otwartych nie wyważał, naród zaś – czy noc, czy z rana - plusy miał u Wasermana”.

Ponieważ znów padło nazwisko – uznałem, że ten wariant jest nie do przyjęcia. Szkoda mi się zrobiło tego pierwszego wersu, tak ładnie brzmi, tyle nadziei zawiera, tyle pozytywnego chęćstwa –

i co z nim zrobić?

A może tak pomyślałem:

„Mikołaju, Mikołaju – nie przyjeżdżaj ty do kraju – tego – gdzie winą jest duża – zepsować pośły – tak, że kasie służą – a czucie ojczyzny dawno w nich już przysło – jedźże Mikołaju – od razu – za Świsłocz.”

Absolutnie! Dzieci w przedszkolu mogłyby to i powiedzieć, ale członkowie Rady Ministrów przed porannym posiedzeniem? Absolutnie.

Każdy z nas ma swoje życzenia Mikołajkowe. Dla jednego będzie to podpisanie kontraktu, dla innego dobra ocena w szkole, jeszcze ktoś pomyśli o nowym samochodzie, a inny – o parze ciepłych skarpet czy bochenku chleba.

Inaczej więc skończę moją rymowankę:

„Mikołaju, Mikołaju - spraw, by w naszym polskim kraju,

Wśród dorosłych, pośród dzieci – każdy dziś się z czegoś cieszył.”

Święta kręca

Święta będą wesołe. I nie ważne – po lodzie, czy po wodzie – będą wesołe. Zgodnie z tym, czego od lat sobie wszyscy życzymy – wesołych świąt.

Skąd ten optymizm na szesnaście dni przed Wigilią? Z przekonania, że jak przez cały rok było wesoło – to na święta nie może być smutno.

Oczywiście najbardziej wesoło byłoby, gdyby zjednoczone siły telewizji publicznej i komercyjnej wyemitowały w wigilię, w pierwszy i drugi dzień najbardziej porywające fragmenty pracy speckomisji. I jednej, i drugiej.

Z przyjemnością i –nie ukrywam – z łezką w oku obejrzałbym historyczny już dialog premiera Millera z posłem Ziobro, wywody posłanki Beger o korytarzach w Agorze, nie mówiąc już o dowcipnych wcinkach pięknej Anity, czy odzywkach posła Gruszki.

A do tego tylko kolędy. Wodeckiego, Eleni, Krystyny Gizowskiej, Edyty Górniak – czy wolno wymieniać to nazwisko? W radiu chyba jeszcze tak!

Zresztą – kto dziś nie śpiewa kolęd. Niektórzy producenci odgrzebali wykonawców chyba z wykopalisk – licząc na szybką i łatwą kasę. Zajrzałem na półki w pierwszym lepszym sklepie i aż mnie strach ogarnął.

Są nawet hip – hopy.

Więc – speckomisja i kolędy. Palce lizać. Zgodziłbym się nawet na przerywniki w postaci odkurzonych i powtórnie pokolorowanych arcydzieł w rodzaju „Nie ma mocnych”, „Sami swoi”, „Jak rozpętałem II wojnę światową” i „Skarb”. Czy wyobrażacie sobie święta Bożego Narodzenia bez Kargula i Pawlaka? Prędzej bez Durczoka i Orłosa.

Co wcale nie jest takie niemożliwe – wzięwszy pod uwagę wy-

gnańczy los cenionego prezentera Piotra Kraški – co to rano w Rzymie, w południe w Strefie Gazy, a wieczorem już w Kijowie. Człowieczy los – jak śpiewała Anna German.

A jeśli telewizja nie pokaże w święta ani speckomisji, ani kolęd w wykonaniu Karin Stanek? – to co, nie będzie wesoło?

Już jest wesoło – i z dnia na dzień będzie weselej. A raczej – bardziej gorąco. Czy wujkowi kupić zapalniczkę, czy portfel? A teściowa – czy skrzywi się na widok bezplamowego obrusa? A ciocia Basia? – co myśmy jej kupili przed rokiem? I tak dalej, a im bliżej – tym gorzej. I goręcej. I weselej – na tyle, że i relacji z prac speckomisji oglądać nie trzeba.

Chyba, że wezwie na przesłuchanie Świętego Mikołaja?

Czy Święty pamięta swoje pierwsze spotkanie z Ałganowem? – zagrzmi trybun numer jeden. I co Święty przekazał doktorowi Kulczykowi? – dogrzmi trybun numer dwa.

Nie, aż tak wesoło być nie musi. Święta i tak wszystkich nas nieźle kręca.

Kulczyk cacy, Kulczyk be !

Wracałem z psem ze spaceru. Przy wejściu do jednego z bloków, jakich w mojej dzielnicy mnóstwo - stała grupka pięcio, może sześciolatków. Jeden z nich naciska przycisk domofonu. Odzywa się dziecinny głos: - Kto tam?

Krzysiek, wyjdiesz? - Odrabiam lekcje. - Krzysiek, na pół godziny. Jest cała paczka, pobawimy się. - A w co? - No, w komisię i Kulczyka.

- Nie chcę, znów mi każecie być Kulczykiem.

I kiedy wydawało mi się, że za chwilę dowiem się, na czym zabawa polega - tubalny głos w domofonie zagrzmiął: - Nie wyjdzie, odrabia lekcje, dajcie mu spokój.

Po czym cała grupka rozpierzchnęła się jak stado wróbli.

Jak też taka zabawa musi wyglądać? I dlaczego akurat Krzysiek znów musiał być Kulczykiem? Chyba nigdy się tego nie dowiem. Podobnie - jak tego, w jaki sposób rodzą się takie zabawy.

Widać już nie tylko politycy, posłowie i sfery finansjery żyją sprawą poznańskiego biznesmena, ale nawet dzieci. Chociaż przed dziećmi byli jeszcze artyści. I poznańscy, i warszawscy, i wrocławscy. Wszyscy, którzy w jakiś sposób poczuli zapach i smak pieniędzy made in Kulczyk. A więc i ci, którym dał na spektakl kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale i tacy - jak Teatr STU - za których zapłacił zaległy czynsz. Listy, protesty, dyskusje na żywo w telewizji.

O pieniądzach, o władzy, o prawie i moralności. Momentami przerażające.

Okazuje się, że można działać na granicy prawa i bezprawia, zarabiając kokosy na mniej czy bardziej legalnych biznesach - a wystarczy dać kasę na remont na przykład Jasnej Góry i wszystko jest ok.? Czy to przypadkiem nie jest przyzwolenie na podwójną moralność?

Czy w obawie przed złem większym nie jest to akceptacja zła mniejszego?

Pod apelem w obronie dobrego imienia Jana Kulczyka podpisali się intelektualiści, pisarze, dziennikarze, twórcy kultury. Nazwiska znane i cenione.

I właśnie oni - z racji pozycji, dorobku i poglądów - nie mogą ani prokuraturze, ani speckomisji odbierać prawa przesłuchania pana doktora.

Prawo - i równość obywateli wobec niego to jedno, a filantropia i zamiłowanie do sztuki - to drugie. Jedno nie może wykluczać drugiego. Premier Włoch Silvio Berlusconi stanął przed sądem oskarżony o korupcję - i całe Włochy czekają na wyrok.

Jan Kulczyk mógł być sponsorem kilku festiwali, kilkunastu oper czy przedstawień i niezliczonej ilości drobniejszych przedsięwzięć - ale w obliczu prawa jest tak samo odpowiedzialny, jak każdy z nas. I jeśli jakiegokolwiek naruszenie prawa zostanie mu udowodnione - niech go spotka zasłużona kara. Bo jeśli się okaże, że Kulczyk jest be - to jest be.

Ale jest też druga strona medalu - Kulczyk cacy. Nie ukrywajmy - bez jego pieniędzy nie byłoby w Polsce wielu interesujących zdarzeń kulturalnych. Wiedział i wie doskonale - jakie przedsięwzięcie kulturalne wesprzeć finansowo. Nie rozdawał pieniędzy na prawo i lewo - a darowizną na remont Jasnej Góry zjednał sobie przychylność tysięcy Polaków. Kulczyk cacy.

Nie ukrywajmy - kultura polska z takim, a nie innym budżetem - potrzebuje - przepraszam za wyrażenie - Kulczyków - jak kania dżdżu. Nie tylko w Poznaniu, Krakowie czy Warszawie. Ale w Hajnówce, Augustowie, Sejnach czy Dąbrowie Białostockiej. I niekoniecznie muszą to być miliony - w wielu wypadkach chodzi o kilkanaście, czy kilka tysięcy. A nieraz - i kilkaset złotych.

Miejscowi - czyli lokalni biznesmeni - może by i dali parę groszy, ale nijak nie mogą sobie tego odpisać. Istniejąca ulga z tytułu darowizny na organizację pożytku publicznego takiej możliwości im nie daje.

Nic się tu - nie zmieniło. Pamiętam - kiedy, 10 lat temu wydałem moją drugą książkę z wierszami wsparł jeden ze znajomych biznesmenów - zaproponowałem stosowną adnotację w książce, i

logo na okładce.

Panie Wiesławie, po co mi to. Żeby mnie wszystkie możliwe kontrole nachodziły. Książka się ukazała, nawet zdobyła gdzieś jakąś nagrodę.

Kulczyk be, - czy Kulczyk cacy. Temat do przemyślenia przy niedzielnej porannej kawie.

Stan wojenny

To już dwadzieścia trzy lata. Jedno pokolenie. Ilu pokoleń trzeba, by do końca wyjaśnić okoliczności wprowadzenia w Polsce stanu wojennego?

Dwóch, trzech... czy więcej? Do jakich dokumentów trzeba dotrzeć, by dowiedzieć się prawdy?

Prawdy należy i trzeba dochodzić. Tej prawdy - szczególnie. W imię pamięci tych, którym stan wojenny zabrał życie - tak.

Dla moralnej satysfakcji wszystkich, którym życie odmienił - również. I dla prawdy historycznej... I dla przestrogi... z myślą o potomnych.

Dwadzieścia trzy lata. Mój syn miał wtedy 9 miesięcy. Był za mały, by pamiętać, że w tamten niedzielny poranek nie było tele-ranka. A i w mojej pamięci zacierają się coraz bardziej obraz generała Jaruzelskiego przemawiającego grobowym głosem w niby kolorowym, wysłużonym rubinie.

Nawet do starych magnetofonowych kaset, na których nagrywałem wówczas wszystkie telewizyjne oświadczenia i wystąpienia, a z Wolnej Europy serwisy informacyjne i komentarze - nawet do tych kaset niezbyt często powracam.

Dwadzieścia trzy lata. Zacierają się wspomnienia. Najbardziej pamiętają ci, których te dni doświadczyły najbardziej. Zapomnieć próbują inni - ci, którzy wtedy znaleźli się po drugiej stronie.

Takie rocznice, jak dzisiejsza, są okazją, by tamte wydarzenia przypomnieć. By powiedzieć o nich dzieciom i wnukom. A te - nie ukrywajmy - nie zawsze i niekoniecznie chcą słuchać. - Dziadku, to jakaś prehistoria.

Czy pamiętanie i przypominanie o tak ważnych i tak brzemiennych dla losów państwa wydarzeniach to tylko powinność i obowiązek historyków?

Czy także nauczycieli, pisarzy, dziennikarzy, rodziców? Nas wszystkich...

Dwadzieścia trzy lata. Szmata czasu, a ciągle jeszcze nie wiemy wszystkiego, nie wiemy do końca, nie wiemy – jaka jest prawda.

Czy generał Jaruzelski wybrał mniejsze zło? Czy też – jak twierdzi autor jednej z powstających właśnie książek o kulisach stanu wojennego – generał sam o interwencję prosił, ale wysłuchany nie został.

Poczekajmy na książkę. Może naprawdę przyniesie coś nowego.

I tak już będzie – że przy okazji każdej kolejnej rocznicy ukazywać się będą książki, pojawiać się będą nowe teorie, spór toczyć będą historycy.

I tylko w nas, ludziach, pamięć o tamtym grudniu stopniowo będzie się zamazywać. I to właśnie jest w nas najbardziej ludzkie... że czas goi najbardziej bolące rany...

15 XII 2004

Pomarańczowa Ukraina

Pomarańczowy tłum zniknął z Placu Niepodległości w Kijowie. Po 17-tu dniach, o których napisano, że wstrząsnęły nie tyle światem i Europą, ile duszami i sercami samych mieszkańców Ukrainy.

Obudziliśmy się z letargu – mówią o sobie – przejrzelśmy na oczy.

Ale walka dopiero się rozpoczyna. 26 dzień grudnia pokaże – czy w dziejach tego państwa będzie to jeden z najważniejszych dni.

Czy w umysłach jego obywateli stanie się dniem początku – dniem wyjścia z cienia nie z szalikami, chustami, sztandarami w kolorze pomarańczy – ale z podstawami demokratycznego, nowoczesnego, europejskiego państwa – wolnego, niezawisłego i niezależnego.

Obie nacje – polska i ukraińska – na przestrzeni wieków nigdy się specjalnie nie lubiły. Polacy za Ukraińcami nie przepadali, a Ukraińcy – szczególnie od czasów Piłsudskiego sympatią nie darzyli Polaków. Potem było kilka spektakularnych akcji i operacji, nierozstrzygnięta do dziś kwestia cmentarza Orłąt Lwowskich, wzajemne, pełne kurtuazji wizyty prezydentów obu państw i oficjalnie to wszystko.

Aż tu nagle, raptem, na placu Niepodległości w Kijowie pokazały się biało-czerwone flagi, okrzyki i śpiewy w języku polskim, telewizje pokazały polskich i ukraińskich studentów stojących ramię w ramię w pomarańczowych szalikach.

Mało tego – do komisji rekrutujących niezależnych obserwatorów następnej tury wyborów prezydenckich na Ukrainie zgłaszają się w Polsce młodzi ludzie, którzy dobrowolnie i bez przymusu chcą uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu.

Czyżby więc powszechna opinia o tradycyjnie złym wzajem-

nym nastawieniu i odnoszeniu się była nieprawdziwa? A może to mit, którym nas – i w Polsce i na Ukrainie – przez lata karmiły kolejne ekipy? Starannie dobierając i środki, i tym bardziej dawki?

Stało się coś jeszcze – coś, co mnie w tym wszystkim zastanawia najbardziej – że oto młodzi ludzie w Polsce – uczniowie liceów, studenci, młodzież i bezrobotna, i ta pracująca – ci młodzi ludzie bardziej zaczęli się interesować tym, co na Ukrainie – niż tym, co w kraju. O czym to świadczy?

Nie chciałbym wysnuwać wniosków pochopnych i przedwczesnych – ale czy aby nie jest to wyraźny sygnał, że tego wszystkiego, co się w Polsce dzieje – całej tej kulawej, skorumpowanej i skompromitowanej polskiej demokracji – mają po prostu dość.

I że – być może – chcą demokrację budować gdzie indziej.

Zapach świąt

Pytanie – jak pachną święta Bożego Narodzenia – jest pytaniem tak banalnym, że aż niepoważnym. Wiadomo – i wiedzą to wszyscy – pachną choinką - zielonym żywym drzewkiem, stojącym jeszcze na balkonie, czekającym na ten dzień, kiedy tata wniesie je do domu, osadzi w trójnogu albo krzyżaku, chyba – że będzie to choinka w doniczce.

A jeśli będzie to drzewko sztuczne – odpowiedź na pytanie o zapach świąt będzie już inna.

Jaka? – no właśnie – zastanawiałem się nawet, czy nie ogłosić dziś specjalnego konkursu – o zapach – ten nie choinkowy - świąt.

Czy wygrałyby suszone grzyby? Bez nich nie da się ugotować prawdziwego polskiego wigilijnego bigosiku.

A może byłyby to zapach pieczonego indyka – tak, tak – koniecznie z pomarańczami i pachnącą, chrupiącą skórką.

Czy też zapach smażonego szczupaka – jedyny i niepowtarzalny – jakże inny choćby od zapachu smażonego morszczuka.

Być może pewnym kandydatem do tego tytułu byłby zapach jeszcze cieplej, bo wyjętej właśnie z wędzarni – szynki własnej roboty, w pończosze, wiązanej tradycyjnie sznurkiem.

A przecież w kolejce do tytułu „zapachu świąt” stanąć by mogły i inne wonie.

Na przykład – zapach tartego świeżego chrzanu. Albo śledzia po żydowsku, nie mówiąc już o woniach pieczonego schabu, klopsa z jajkiem, czy dopiero co wyjętego z prożiża - sernika.

A może gdzieś obok nas żyją ludzie, dla których zapach świąt to woń bochenka świeżego chleba. Albo zapach pomarańczy czy mandarynek, których na co dzień nie mają. Nie mówiąc już o najzwyklejszych jabłkach.

Może w ten przedświąteczny czas zapukajmy do ich drzwi, za-

pytajmy – jak żyją... i co słyhać. I jak tam przed świętami...

Przecież może się okazać, że najbardziej potrzebują dobrego słowa, otuchy i najzwyczajszego gestu ludzkiej miłości. A tego akurat nie kupią w żadnym supersamie, czy hipermarkecie.

Święta już za kilka dni. Mówię o tym właśnie dziś, w poniedziałek – specjalnie. Spróbujmy tak ten tydzień ułożyć, by nie zabrakło nam czasu ani na świeżą, pachnącą choinkę, ani na smażonego szczupaka czy klops z jajkiem, ani na wizytę u fryzjera, czy zapukanie do sąsiadów.

Nie da się ukryć – świętami pachnie coraz bardziej. Szkoda tylko, że nie pachnie śniegiem.

Lubię w dzień Nowego Roku...

Lubię w dzień Nowego Roku... – gdyby o dokończenie tego zdania poprosić tytułem eksperymentu jakiś tysiąc, a lepiej i dwa tysiące – rodaków – jestem przekonany, że odsypianie sylwestrowej nocy wygrałoby z leczeniem kaca.

Nie sędzę również, by rodzinny spacer po parku mógł wygrać z oglądaniem telewizji.

Niestety, nikt jeszcze takich badań nie przeprowadził, więc o noworocznych preferencjach rodaków wiemy niewiele. Domyślać się jedynie można, że nie należy do nich ani czytanie książek, ani słuchanie muzyki.

Ciekaw jestem – ile osób, spośród na przykład tysiąca ankietowanych, pośród ulubionych zajęć pierwszego dnia roku wymieniłoby oglądanie w telewizji transmisji koncertu noworocznego filharmoników wiedeńskich.

Wynik można z góry przewidzieć. Niewielu.

Należę zatem do grupy wybrańców. Nie z łaski bożej, ani z łaski czyjejkolwiek – ale wybrańców z własnej, wolnej woli. Od kilkunastu lat, w dzień Nowego Roku, lubię usiąść z filiżanką kawy albo resztkami sylwestrowego szampana w dłoni i włączywszy telewizor głośniej, niż normalnie – przenieść się na dłuższą chwilę w inny świat – przepiękna sala Wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego udekorowana kwiatami aż z San Remo, wytworne toalety pań z pobłyskującymi tu i ówdzie brylantami, ciemne garnitury panów, cisza której nie zakłócają dźwięki niewyłączonych komórek, no i muzyka.

I tak od kilkudziesięciu lat. Wiedeńscy melomani nie wyobrażają sobie – że można rozpocząć nowy rok nie będąc na tym koncercie.

To tak – jak gdyby ten nowy rok wcale się nie rozpoczął. Taka

jest tradycja, a tradycja to rzecz święta.

Chociaż z ową świętością też różnie bywa. Przez długie lata nie do pomyslenia było, żeby w składzie orkiestry filharmoników wiedeńskich znalazła się kobieta.

A tymczasem właśnie wczoraj – proszę bardzo – pośród statecznych siwizn, sumiastych wąsów i okazałych, wymuskanych wręcz bród – filigranowa figura uroczej skrzypaczki. Siedziała wprawdzie w ostatnim rzędzie, ale fakt jest faktem. Nie iżbym miał cokolwiek przeciw kobietom, broń Boże.

Jeszcze jeden bastion tradycji padł. Ciekaw jestem, jak zareagowałby na to pewien starszy pan, którego ponad dwadzieścia lat temu spotkałem w pociągu Wiedeń – Lubljana, a który – jak to się w podróży okazało – był skrzypkiem w orkiestrze filharmoników wiedeńskich przez czterdzieści lat?

Od niego właśnie usłyszałem o zwyczajach w orkiestrze panujących, o zasadach i regułach w niej obowiązujących, o tytanicznej wręcz pracy – jaką wykonywali muzycy na próbach. No i oczywiście – o pieniądzach.

Mój towarzysz podróży zwierzył mi się, że przez cały okres grania w orkiestrze otrzymywał państwową pensję. Była ona tak wysoka, że nie musiał ani szukać żadnych zajęć ubocznych – czyli chałtur – ani nawet o czymś takim myśleć. Jego zadaniem było ćwiczyć – i grać jak najlepiej. Koszty wszelkich kursów doskonalących opłacało państwo, nie mówiąc już o kupnie instrumentu, czyli skrzypiec.

I kiedy wczoraj słuchałem jak filharmonicy wiedeńscy grają – przypomniałem sobie tego starszego, nieco przygarbionego już pana – i pomyślałem, że jest to metoda. Tych kilkudziesięciu muzyków może poświęcić się tylko i wyłącznie doskonaleniu swoich umiejętności.

Nie muszą kombinować – w tercetach czy kwintetach dorabiać na wernisażach, akademiach czy innych samorządowych bądź państwowych uroczystościach, albo na całkiem prywatnych weselach i chrzcinach.

Nie muszą urywać się z prób, latać z jednego końca Wiednia na drugi, żeby kilkadziesiąt czy kilkaset euro dorobić. Ćwiczą, słuchają, ćwiczą – i grają.

Nawet stanu konta w banku sprawdzać nie muszą.

Ale to są Austriacy. A u nich jest ordnung. I oni mają to we krwi. I w głowie – to znaczy w świadomości, a nawet jeszcze głębiej – mają to zakodowane gdzieś w podświadomości.

My, Polacy, jesteśmy inni. I dlatego właśnie – nie dam choćby małego palca uciąć, że taki sposób finansowania kultury sprawdziłby się u nas.

Mamy Nowy rok – i kolejny eksperyment z finansowaniem kultury. Tak naprawdę – nikt do końca nie wie, na czym ów eksperyment ma polegać.

Ani urzędnicy wszelkiego szczebla, a tym bardziej twórcy. Z tą różnicą, że twórcy – na szczęście wiedzą – czego chcą w tym nowym roku dokonać.

I oby ich tylko natchnienie nie opuściło.

Kropla miodu, szczypta dziegciu...

Pierwsze dni stycznia to najbardziej optymistyczne dni w roku. Nawet w okolicach świąt Bożego Narodzenia i świąt Wielkanocnych wskaźnik pozytywnego nastawienia do życia nie jest w nas tak wysoki, jak na początku nowego roku.

Wiadomo – pożegnaliśmy stary rok. Jaki by nie był, ile zdrowia i pieniędzy by nas nie kosztował, co by się nie wydarzyło – już po nim. Było, minęło.

Ten nowy musi być lepszy. Powinien być lepszy. No właśnie – musi, czy powinien.

Optymiści powiedzą oczywiście – musi być lepszy. Zawiera się w tym „musi” świadomości własnej energii, wewnętrznej siły by uczynić wszystko, aby tak rzeczywiście było – ale i pierwiastek wiary w moce nadprzyrodzone, które sprawią, że będzie lepiej.

Pesymiści – czyli wszyscy, którzy do życia podchodzą bardziej ostrożnie – odpowiedzą, że żadne „musi” – tylko „powinien”, a właściwie – to „może” być lepszy.

Owo „powinien” to niestety, ale przyzwolenie, a raczej zgoda na to, że jeśli będzie inaczej – świat się nie zawali. To – w przeciwieństwie do optymistów – chłodna kalkulacja możliwości i wyraz niewiary w ingerencję w nasz los kogokolwiek innego, niż my sami.

Jeśli zaś w miejsce „powinien” mówimy – że „może” ten nowy rok będzie lepszy – daje o sobie znać nasza apatia i niechęć do jakichkolwiek zmian.

Niech będzie tak, albo siak, jeśli lepiej – dobrze, jeśli gorzej – też dobrze. Ręce opuszczone, głowy zwieszona, ani iskry w sercu, ani błysku w oku. Przykryć się gazetą i przeczekać. A raczej przepelznąć ten rok, przejść, przeczłapać niezauważonym przez nikogo, nie spostrzegłszy co się wokół dzieje.

Optymiści to ludzie – pisze w jednym ze swoich esejów profesor Jerzy Kopania – którzy czują, że świat istnieje po to, byśmy mogli być szczęśliwi.

Pesymiści natomiast odczuwają inaczej – że oto świat jest tylko i wyłącznie po to, by nas dręczyć.

Jasne jak słońce staje się zatem to, iż skoro już znaleźliśmy się na tym świecie, skoro jesteśmy – istniejemy – nie ma większego sensu istnienie z udęczeniem, więc nie opłaca się – z punktu widzenia człowieka – bycie ciągle dręczonym – kalkulacja jest zatem prosta – lepiej być optymistą.

Jest jeszcze trzecia grupa – to ci, dla których jest dokładnie wszystko jedno, jaki ten nowy rok będzie. Trzeba go po prostu przeżyć – tak, jak poprzedni, i jeszcze poprzedni.

Nie patrzą w gwiazdy, nie czytają horoskopów, nie stawiają tarota. Nie mając specjalnych powodów do radości ani do zmartwień na okoliczność tego nowego roku nie czynią noworocznych postanowień, nie zapełniają terminarzy planami i zadaniami.

To ci, którzy kroplę miodu na języku smakują dokładnie tak samo, jak kroplę dziegciu.

No, a powiedzcie sami – czy mając tak rozwinięte kubki smakowe – można poczuć smak życia?

Naklejki i wywieszki

Na drzwiach niektórych galerii w Krakowie, Gdańsku i Lublinie pojawiły się ostatnio naklejki głoszące, iż: „Wystawa nie jest przeznaczona dla członków i sympatyków Ligi Polskich Rodzin”.

Akcję pod hasłem „Stop LPR” zainicjował historyk i krytyk sztuki Łukasz Guzek – w proteście przeciwko ingerencji polityków Ligi Polskich Rodzin w politykę wystawienniczą galerii. I to ingerencję dwojakiego rodzaju – bezpośrednią – jak choćby zniszczenie instalacji Maurizia Catellano w warszawskiej Zachęcie, czy instalacji Radosława Szłagi w białostockim Arsenale, czy też pośrednią – poprzez wpływanie na lokalne samorządy finansujące przedsięwzięcia i placówki kultury.

Co prawda przykładów tej pośredniej ingerencji nikt jeszcze nie nagłośnił, ale potencjalna możliwość istnieje. Czego wyraz dosłowny dał całkiem niedawno jeden z białostockich posłów mówiąc, iż niech no tylko Liga wygra wybory, a pani Szewczyk przekona się, gdzie jest jej miejsce.

Może rura mu zmięknie, gdy się dowie, że dyrektor Arsenалу – Monika Szewczyk – mimo licznych doświadczeń z ingerencją bezpośrednią w treść prezentowanych w galerii instalacji – nie ma zamiaru umieszczać na drzwiach Arsenálu wspomnianej wyżej naklejki.

I słusznie – sztuka jest dla wszystkich – dla tych z maturą – i dla tych bez, dla tych którzy swój zachwyty potrafią wyrazić oklaskami – ale i dla tych, którzy dla wyrażenia dezaprobaty muszą posłużyć się maczugą, bo na tym etapie rozwoju wrażliwości nie z własnej winy się zatrzymali.

Jeśliby zaś spojrzeć na to z innej strony – że sztuka wcale nie jest dla wszystkich, tylko dla wybranych – czyli dla elit – pomysł pana Guzka wydaje się być genialny.

– Oto na budynku filharmonii pojawia się tabliczka – „Tylko dla członków Biznes Center Club i Podlaskiej Łoży Biznesu.”

Przy wejściu do białostockiego Ratusza gustowny napis informuje – „Wstęp wyłącznie dla członków Towarzystwa Mieszczan i Ziemian Polskich”.

Jestem przekonany, że na ścianie Muzeum Sybiraków przy kościele Św.Ducha w Białymstoku natychmiast pojawiłaby się co najmniej kartka z ostrzeżeniem:

„Wystawa nie jest przeznaczona dla członków Sojuszu Lewicy Demokratycznej”.

Kłopot byłby niemały z Muzeum Historycznym w Białymstoku, czy Muzeum w tykocińskiej Synagodze, ale za to żadnego problemu nie byłoby w Muzeum Wsi – gdzie po obu stronach bramy zawisnąć by mogły tabliczki z jednako prawie brzmiącym napisem „Tylko dla członów Samoobrony” i „Tylko dla członków PSL”.

Na szczęście nie jest jeszcze gotowe supraskie Muzeum Ikon, bo tam dopiero byłby problem. Bez referendum ani rusz.

Wyliczam tu co większe galerie i placówki muzealne, a przecież są jeszcze teatry, biblioteki, kina, domy kultury, ba – nawet osiedlowe świetlice.

To są oczywiście żarty.

Akcja rozpoczęta przez Łukasza Guzka jest próbą obrony przed cenzurowaniem sztuki. To artyści postanowili bronić się w ten sposób. Bronić się zawczasu – przed ingerencją polityków.

Sąd nie może im – politykom różnych formacji i kolorów – zakazać obcowania ze sztuką ani – niestety – kreślenia, bazgrania, niszczenia. Nie może – bo trudno przewidzieć takie sytuacje.

Ale artyści – po czasie, czyli po akcie ingerencji w dzieło sztuki – już się bronić nie mogą – mogą tylko dochodzić sprawiedliwości na drodze sądowej.

Nie byłbym jednak sobą, gdybym w tym pomysłcie nie wietrzył także pewnego podstępku. Ze strony twórców i organizatorów wystaw oczywiście.

Naklejka z napisem „Wystawa nie jest przeznaczona dla członków Ligi Polskich Rodzin” umieszczona przy wejściu do galerii ma także i wydźwięk promocyjny – uważaj, przechodniu – tu spotkasz

sztukę przez duże S, sztukę współczesną, sztukę kontrowersyjną – sztukę jakiej nie spotkasz w dziesiątkach galerii w tym mieście. Więc wal śmiało, płac za bilet i wchodź, Nie pożałujesz.

W ten oto sposób działania kilku posłów spod znaku LPR bardziej się mogą sztuce przysłużyć, niż zaszkodzić.

Może więc warto, pani Moniko, na drzwiach Arsenau, taką naklejkę umieścić?

I nie tylko Arsenau?

A już prawdziwym szczytem promocji i reklamy byłaby naklejka innej treści:

„Placówka monitorowana przez członków Ligi Polskich Rodzin”.

Bomba, prawda. Prawa autorskie zastrzeżone.

Pigułki

Pudełko nie było większe, niż talia kart do gry. Stało sobie za szybą apteki, pośród pudełek, pudełeczek, słoików, słoiczków i tubek, między plastrami na każdą dolegliwość, a kroplami na ból wszelaki. Wiadomo – jak to w aptece.

Najsampierw w oczy rzucił mi się większy napis – preparat przeciwmiażdżycowy. Normalka – jak to w aptece. To jest przeciw, tamto anty, to profilaktycznie, tamto doraźnie – jak w polityce, czy gospodarce – słowem jak w życiu.

Ale tak naprawdę moją uwagę przykuł dopiero ciąg mniejszych liter. Musiałem go przelecieć oczyma aż trzykrotnie, żeby uświadomić sobie – jaką informację przynosi: - Wyciąg z czerwonego wina.

Przeczytałem jeszcze raz. Pani magister zauważyła widać moje zachowanie, co zapytała – Mogę w czymś pomóc? - Nie, dziękuję. Wyszedłem.

Wyciąg z wina. Niewielka pastylka w kolorze... z pewnością nie dobrego, południowoafrykańskiego albo chilijskiego wytrawnego. Pastylka raz, pastylka dwa, pastylek w pudełku akurat na dwa tygodnie.

Popić wodą i już. Można wziąć i więcej – nikt nie powie, że wypiliśmy o dwa kieliszki za dużo.

Pal licha historię i tradycję. Nieważne, że wino to jeden z filarów kultury całego starożytnego i połowy nowożytnego świata. Tak – połowy – bo ktoś po drodze wymyślił niechcący wódkę.

Po co te wszystkie ceregiele – dobry lokal, kolacja przy świecach, rozmowa przy butelce najlepszego Chateau de Montfort, czułe słówka i komplementy, gra gestów i gra ruchów... Pal licha – po pastylce i do dzieła.

Życie staje się prostsze.

Zły dzień w pracy. Szef się czepia, koledzy przestali się odzywać, premia pod znakiem zapytania. Czujemy się fatalnie. Więc hyc – do apteki – pastylki przeciw melancholii, tabletki od depresji, plaster na syndrom wypalenia. Albo lampka koniaku w pigułce. Podwójna będzie bardziej skuteczna.

Wody tyk – i działa w mig. Świat różowieje w kilka minut.

Jakie wynalazki znajdziemy w aptece za dziesięć, czy dwadzieścia lat?

Maść na zakochanie? Pigułki na miłość małżeńską? A może plaster wierności? Brać rano i wieczorem, popić niewielką ilością wody. Ach – i jeszcze rozpuszczalne pastylki zapobiegające utracie poczucia sensu życia. Trzy razy dziennie, bez zapijania. Żarty, wolne żarty.

Wierzę, że znacznie szybciej będą to pigułki na Alzheimerera, powlekane tabletki antyrakowe, czy plaster przeciwważalowy.

I sądzę, iż nie jestem w mojej wierze odosobniony.

Groch z kapustą

Gdyby wśród podlaskich i białostockich decydentów od kultury był ktoś o nazwisku Groch albo Kapusta mógłbym zostać oskarżony o zniesławienie. Na szczęście nikogo takiego nie ma – więc z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że w białostockiej, a tym samym i podlaskiej kulturze mamy groch z kapustą.

W dodatku – groch niedogotowany i lekko nadpsuty, a kapusta nadkwaśna – przez co i zapach, i smak nie ten. Ni to kapusta, ni to bigos, nie wiadomo, jak się do tego zabrać, a tu – jak na złość – apetyt coraz większy.

Jeszcze dwa miesiące temu maestro Maksymiuk złożył podpis pod listem intencyjnym w sprawie budowy Opery Podlaskiej, a tymczasem nie dalej jak w piątek na konferencji prasowej oświadczył, że dyrygować to w niej nie będzie, a w ogóle to dlaczego w Białymstoku, a nie w Kielcach.

I mamy bigos – a raczej klops, bo oto honorowy dyrektor artystyczny Filharmonii wypiął się na urzędującego dyrektora – który – chyba na swoje nieszczęście z pomysłem Opery wyskoczył. Może gdyby nie wyskakiwał i ze starszym kolegą porozmawiał, o radę poprosił, czy nawet o pomoc – reakcja tego starszego, honorowego – byłaby inna.

Nie tylko maestro zwinął żagle.

Białostocki Oddział Stowarzyszenia Architektów Polskich wycofał się z prowadzenia konkursu na projekt Opery - tłumacząc, że architekci mają wątpliwości co do jej lokalizacji.

To ciekawe – bowiem żadnych zastrzeżeń nie mieli, gdy proponowali do siedmioosobowej komisji konkursowej czterech swoich ludzi. Ale kiedy się okazało, że komisja będzie liczyć pięć osób – swoich dwóch dać nie chcą.

Nie chcemy być listkiem figowym – powiedzieli gazetom – za-

pominając chyba, że są sytuacje, z których lepiej wyjść z twarzą nie zasłoniętą listkiem, niż z listkiem figowym zasłaniającym nie to, co trzeba.

Mimo wszystko – konkurs na projekt Opery został ogłoszony. Jest entuzjazm władz, są ponoć pieniądze – i to nie wirtualne, tylko unijne – mieć wypada nadzieję, że ktoś w urzędzie marszałkowskim wie, jak je z Brukseli wyrwać. Nawet jeśli ten ktoś jeszcze niedawno był przeciwko wejściu Polski do Unii.

Nie ma się z czego śmiać – jeśli kasy nie będzie – Europejskie centrum sztuki zmieni się w wojewódzkie i wyląduje nie w nowoczesnym budynku na miarę Tate Modern Gallery w Londynie – tylko w starych magazynach przy ulicy Węglowej w Białymstoku – dopełniając białostocki kompleks wojskowo – kulturalny, tak bardzo ostatnio lansowany przez władze miasta.

Nie słyszeliście? – też niezły bigos – wszystko w jednym: Muzeum Wojska, Książnica, Muzeum Karnego, Archiwum Państwowe. Wszystkie te placówki razem spokojnie zmieszczą się w magazynach naziemnych, a ile miejsca jest pod ziemią – nie wiadomo, tajemnica wojskowa.

Tylko proszę mi pokazać placówkę kultury, która chciałaby w tych wymarzonych dla kultury czasach zejść do podziemia?

Pomysł jest genialny – wyprowadzić wszystkie przybytki kultury z centrum miasta do starych magazynów, a odzyskane w ten sposób lokale puścić na przetarg – na butik, paby, sexshopy, kto da więcej.

Za zarobione w ten sposób pieniądze można nawet uruchomić specjalną, bezpłatną linię autobusową - Ratusz – Szaniec Kultury. Prawda, że ładna nazwa. Jest gdzieś w Polsce Bunkier Sztuki – w Białymstoku może być Szaniec Kultury. Dobrze brzmi, a i twierdzą sztuki i kultury łatwiej w razie czego obronić – choćby przed Wandalami spod znaku LPR.

Jeżeli ktokolwiek pomyślał teraz o Arsenale – że pasuje choćby nazwą do Szańca Kultury przy Węglowej – jest w błędzie.

Galeria Arsenał ma teraz inne zadanie – obdarowana i pobłogosławiona przez ministra kultury będzie tworzyć kolekcję „Znaki Czasu”.

Gdyby dwa pierwsze – подарowane przez ministra – znaki tej

kolekcji powiesić obok niektórych dzieł, które Arsenał posiada już w swoich zbiorach – specjalnie by oka nie przyciągały – ale nie o to chodzi.

Chodzi o to, żeby Arsenалу nie przenosić na Węglową. I żeby zbudować Operę. I żeby przez tę budowę nie ucierpiały inne placówki kultury. I twórcy też. A literaci szczególnie, bo coś ostatnio mało piszą – i nagrodę musi brać profesor Pawluczuk.

Groch z kapustą. Ale niech się o to martwi senator Jurgiel – to jego minister Dąbrowski namaścił w piątek na mecenasa białostockiej kultury.



Książka, którą oddajemy Wam do rąk, to wybór felietonów pisanych przeze mnie w ciągu 25 lat pracy w Radiu Białystok.

Dłuższych i całkiem krótkich, bardziej i mniej poważnych, bliższych raz felietonowi literackiemu, to znów radiowej publicystyce.

Przez te wszystkie lata odkładałem te moje teksty do zwykłej, szarej teczki. Kiedy zappełniła się pierwsza, szara, zacząłem odkładać do drugiej, tym razem zielonej. I tak się uzbierało.

Wybrałem do tej książki te moim zdaniem najlepsze.

Pisałem je zawsze z przekonaniem, że muszę, że powinienem, coś ważnego komuś powiedzieć.

Dzisiaj, po 25 latach pracy przy mikrofonie Radia Białystok, coraz bardziej nabieram przekonania, że dopiero teraz naprawdę mam coś do powiedzenia ...

Miłej lektury. I do usłyszenia.

Wiesław Szymański